

Janusz A. Zajdel

Cylinder van Troffa

SŁOWO WSTĘPNE

Uprzedzając wszelkie pomówienia i zarzuty, chciałbym od razu wyjaśnić przyczyny i cele, dla których postanowiłem udostępnić niniejsze opracowanie szerokiemu gronu czytelników.

Materiał wyjściowy, który w całości przytaczam, stanowi owoc pracy mojego zaginionego przyjaciela i towarzysza, Akka Numiego. Jest to, niestety, materiał niejako wtórny: w moim posiadaniu znalazł się plik arkuszy, będących, jak sądzę, brudnopisem jednej z kolejnych wersji pracy mojego przyjaciela. Zawiera on tekst przekładu pewnego manuskryptu, który umownie nazwę "zielonym zeszytem", a także wnioski, uwagi i wyjaśnienia pochodzące od Akka.

W pełni zdaję sobie sprawę, iż brudnopis taki - choć sporządzony niewątpliwie ręką Akka - nie może pretendować do rangi źródła historycznego, dotyczącego okresu, z którego pochodził oryginalny tekst, tłumaczony i interpretowany przez mojego przyjaciela. Nie mam jednakże celu stworzenia naukowego dzieła. Pracę o takim charakterze, o ile mi wiadomo, podjął Akk Numi na podstawie "zielonego" zeszytu". Jednakże, z uwagi na brak jakichkolwiek innych materiałów z "zielonym zeszytem" włącznie (zniknęły bowiem wraz z Akkiem), brudnopis stał się dziś jedynym dostępnym źródłem informacji.

Szczerze mówiąc, sam nie wiem, do jakiego stopnia znajdujący się w moich rękach tekst jest wiernym i pełnym przekładem zawartości "zielonego zeszytu". Sądząc z uwag, jakimi Akk przeplata w swych notatkach fragmenty tłumaczenia, jest to zapewne wolny przekład, opowieść skreślona własnymi słowami - osnuta na tle oryginału historia, stworzona jakby na marginesie równoległe powstałego naukowego opracowania, które miało dotyczyć, najbardziej zagadkowego i dramatycznego okresu dziejów tej planety.

Być może Akk podkreślił, uwypuklił albo nawet nieco ubarwił to, co dotyczyło samego autora zapisu w "zielonym zeszycie" - pomijając szersze opisy tła społeczno-obyczajowego i warunków środowiskowych. Wydobył tym samym osobę narratora na pierwszy plan, czyniąc z niego przewodnika po świecie tamtej epoki.

Za względną wiernością oryginałowi mógłby w pewnej mierze przemówić fakt, że w przekładzie zachowano formę narracji w pierwszej osobie.

Jednak każdego, kto jak ja dobrze znał Akka Numiego z jego skłonnością do literackiego traktowania historycznych tematów, uderzą niewątpliwie w tym tekście dość specyficzne nawiązania do klasycznej literatury Starego Świata, którą tak wysoko cenił mój nieodżałowany przyjaciel.

Nie natrętnie może, lecz wyraźnie ozwać się w jego tekście odwieczne motywy, w przewrotny nieraz sposób przetworzone pierwowzory literackie, mity, fabuły, aluzje, o które trudno raczej posądzać dość rzeczowego, jak się zdaje, prawdziwego narratora. Wśród tych ech i pogłosów orficko-dantejskiego inferna, dramatów Odysa, Faustusa i Romea - tracimy wiarę i ufność w czystą rzetelność przekładu.

Nic to jednakże! Jak rzekłem wprzód, nie chcę bogacić i bez tego nadmiernie rozdętej kolekcji mało wartych przyczynków do historii Epoki Rozszczepienia. Pragnę tylko wydobyć na światło choć część tego, co z niemałym trudem i zapałem zgromadził Akk Numi i co, jak miemam, ma nadspodziewanie ścisły związek z jego niewy tłumaczonym zniknięciem.

Tu wszakże raz jeszcze zastrzec się muszę i podkreślić, iż wnioski moje i uwagi (które sformułuję na końcu, po przedstawieniu treści notatek Akka) są właściwie kontynuacją myśli mojego kolegi, jego hipotez, których nie było mu dane rozwinąć, choć zawarł je implicite w swych przypisach i uwagach.

Uprzedzając własne konkluzje stwierdzam, że zniknięcie Akka nie było przypadkiem, podobnie jak to, że zniknął "zielony zeszyt" i pełny tekst jego opracowania; jak również to, że wraz z Akkiem zniknął profesor Per Offi - jego szef i promotor pracy doktorskiej.

Twierdzą ponadto, iż brudnopis, który znalazł się u mnie (przypadkowo czy nie - trudno rozsądzić), ocalał jedynie dzięki temu, że oprócz Akka nikt nie wiedział o jego istnieniu i miejscu ukrycia.

Rękopis znalazłem w kilka tygodni po zniknięciu obu uczonych. Porządkując moją kwaterę w pierwszej warstwie Miasta C, początkowo nie zwróciłem uwagi na treść znalezionych kartek, zapisanych ręką przyjaciela. Obecność brudnopisu wśród moich szpargałów nie zdziwiła mnie nawet, bowiem Akk wielokrotnie korzystał z mojej kwatery, gdy ja buszowałem w dolnych warstwach Miasta. Mieszkał wprawdzie gdzie indziej, jednak odkąd zainstalowano obok jego pokoju kompresor wentylacyjny, uskarżał się na hałasy i chętnie pracował u mnie.

Notatki znalazłem w chwili, gdy komisja powołana dla zbadania sprawy zaginięcia Akka i profesora zakończyła swą działalność, wieńcząc niewiele mówiącym protokołem długie tygodnie bezowocnych poszukiwań, przesłuchań i dochodzeń. Ustalono, że po raz ostatni widziano obu razem gdzieś pomiędzy czwartą a piątą warstwą Miasta, a więc w terenie mało zbadanym i przez to dość niebezpiecznym. Znany był także fakt zniknięcia wyników prac obu uczonych, lecz komisja nie przypisała temu jakiegoś specjalnego znaczenia. Nie było zresztą podstaw, by podejrzewać istnienie związku między tym faktem a zniknięciem archeologów. Zresztą wybierając się na dłużej w teren badań mogli zabrać swe teczki z notatkami.

Sprawą "zielonego zeszytu" w ogóle się nie interesowano. Prawdę mówiąc, nawet ja, bliski przyjaciel Akka, niewiele wiedziałem o tym dokumencie. Każdy z nas natrafiał tutaj, w Mieście C, tym rajem badaczy Starego Świata, na dziesiątki unikalnych, fascynujących znalezisk. Każdy też zasklepił się we własnym temacie i gdyby nie obowiązkowe seminaria, odbywające się dwa razy w miesiącu, żaden z nas nie wiedziałby nic o sprawach, jakimi zajmują się pozostali.

Usiłuję teraz przywołać z pamięci każde słowo Akka, dotyczące "zielonego zeszytu". Niewiele było tych słów. Akk najwyraźniej skąpił szczegółów, oszczędzając co ciekawszych informacji, by wystrzelić z nimi na którymś z kolejnych seminariów.

Wiem zaledwie to, że zeszyt ów był grubym notatnikiem, którego karty wykonane były z niezwykle odpornego tworzywa, przeznaczonego do notowania w trudnych warunkach, podczas wypraw kosmicznych. Notatki prowadzone były w jednym z języków Starego Świata, pochodzącym sprzed Epoki Rozszczepienia. Zdaniem Akka spisał je uczestnik wyprawy międzygwiazdnej, która znacznie opóźniona powróciła na Ziemię w czasach Rozszczepienia. Jeśli tak było w istocie, należałoby uznać zeszyt za cenny dokument, gdyż epoka ta nie pozostawiła po sobie zbyt wielu pisanych źródeł historycznych.

Rozmawiając wówczas z Akkiem nie wiedziałem, dlaczego nazywał zeszyt "Notatnikiem Nieśmiertelnego". Brałem to za jakiś szczególny żart. Dopiero teraz, po zapoznaniu się z rękopisem Akka, rozumiem, co miał wtedy na myśli.

Pozwólmy zatem mówić Akkowi Numiemu, a poprzez jego przekład - także owemu "Nieśmiertelnemu".

Niech publikacja tego tekstu będzie skromną formą uczczenia pamięci naszego zaginionego towarzysza, a moje końcowe wnioski - propozycją rozwikłania zagadki jego zniknięcia.

Le Djaz

NOTATNIK NIEŚMIERTELNEGO

*Przełożył, opracował
oraz opatrzył komentarzem
AKK NUMI*

WPROWADZENIE

Z wyglądu czaszki neandertalczyka nie sposób odczytać choćby cienia jego myśli i uczuć. Podobnie z opuszczonego, zdewastowanego miasta umarłej cywilizacji nie jesteśmy w stanie odtworzyć procesów i idei, które rządziły zamieszkującą je społecznością. Tym bardziej, jeśli dostępne badaniom elementy tego miasta - budowle, przedmioty użytkowe - nie są bezpośrednimi wytworami żywych ludzkich rąk, lecz produktami automatów.

Świadome nieuchronności losu, który je czekał, społeczeństwo planety w ciągu kilku zaledwie pokoleń utraciło całe zainteresowanie tworzeniem czegokolwiek, w szczególności zaś - utrwalaniem myśli i faktów. Bo dla kogóż miałyby je utrwalac? Tworzenie jest formą obrony własnego istnienia przed całkowitym kresem bytu jednostki. Populacja ludzka w każdej chwili swego trwania odkrywa, tworzy, buduje - by zapisać się we wdzięcznej pamięci pokoleń, które nastąpią.

Cóż by jednak motywować miało twórczość, kronikarską choćby, w sytuacji, gdy kres trwania kultury i cywilizacji - a więc bytu społeczeństwa - jest ściśle oznaczony...

Dlatego też "zielony zeszyt", nazwany przeze mnie "Notatnikiem Nieśmiertelnego", stanowi bezcenne źródło obiektywnych relacji o obu biegunach spolaryzowanej ludzkości w ostatnim stuleciu jej istnienia. Są to zapiski jedynego chyba człowieka, który - obiektywnie, bez osobistych uprzedzeń - miał okazję poznać i porównać stan społeczeństw ludzkich, zamieszkujących Ziemię i Księżyc w późnej fazie okresu Rozszczepienia.

"Nieśmiertelnym" nazwałem autora notatek między innymi z powodu niemożności ustalenia jego prawdziwego imienia, które w tekście zapisu nie występuje. Być może, na podstawie archiwalnych materiałów z Luny uda się stwierdzić tożsamość tego człowieka. Nie ma to jednakże zasadniczego znaczenia dla czytelnika jego notatek.

Opracowując przekład tego niezwykłego dokumentu na współczesny język filijski starałem się wydobyć z niego obraz osobowości i losów jednego z członków nie istniejącej już gałęzi ludzkości; losów nietypowych wprawdzie, lecz mimo to w jakimś sensie reprezentatywnych dla całej generacji, która musiała odejść. Jest to obraz jednostki, nie słabej i nie bezbronnej przecież - a jednak uwikłanej w dwa światy: utkany wspólnie z miliardami współbraci zewnętrzny świat cywilizacji, jak misterna sieć zaciskający się wokół swoich twórców; i drugi, przez ludzką istotę stworzony świat własnego wnętrza. ...Niejasne pozostaną dla nas motywy, które skłaniały Nieśmiertelnego do relacjonowania bieżących wydarzeń, przemieszanych ze wspomnieniami i rejestracją własnych stanów wewnętrznych. Czy, jak wspomina na początku, robił notatki jedynie z nawyku badacza? Pozbawione adresata miały zapewne służyć wyłącznie autorowi. Może w ten sposób, w obliczu rozpadu zewnętrznego świata, zamyślił uchronić i wzbogacić ów drugi - świat uczuć, wspomnień, przeżyć, dających powtarzać się wielokrotnie w pustoszejącym świecie, ku któremu zmierzał w swej częściowo tylko prawdziwej nieśmiertelności...

CZĘŚĆ PIERWSZA

LUNA I

Po przebudzeniu długo nie mogłem uprzytomnić sobie, gdzie jestem. Z czającym się gdzieś w okolicach skroni bólem głowy, z sennymi wizjami płaczącymi się jeszcze z rzeczywistością, w bladym świetle sufitowej lampy przez długie sekundy lustrowałem maleńkie pomieszczenie, próbując odtworzyć wydarzenia sprzed zaśnięcia. Nie wykonując najmniejszego ruchu ciałem, samymi tylko ostrożnymi skrętami szyi kierowałem wzrok na każdą z widocznych czterech płaszczyzn - sufitu i ścian, o tej samej brudnobiałej barwie i matowej gładkości.

To nie było wnętrze statku ani kabina rakiety. Stwierdzenie to jakby zwolniło w mojej podświadomości ten bezpiecznik, który zapobiega bezsensownemu nadrywaniu mięśni podczas prób poruszania czymkolwiek, gdy człowiek spoczywa przykrępowany ciasno do fotela. W jednej chwili usiadłem na posłaniu, a lekkość, z jaką udało mi się tego dokonać, pomogła mi przypomnieć sobie wszystko.

Więc jestem znowu tutaj, wróciłem. No może jeszcze niezupełnie, ale prawie... Mniejsza o drobiazgi, ważne jest to, że naprawdę wróciłem. Wróciliśmy.

Wraz z uczuciem lekkości całego ciała doświadczyłem niezmiernej ulgi, odprężenia, rozluźnienia jakiegoś wewnętrznego napięcia, którego istnienie wskutek wieloletniego przyzwyczajenia nie docierało przedtem do mojej świadomości. Dopiero teraz mogłem odczuć, jak było ono potężne i wszechogarniające przez cały czas, przez cały czas świadomie przeżyty tam, z dala od miejsca kojarzącego się zawsze ze swojskością, bezpieczeństwem, odpoczynkiem.

Spojrzałem na zegarek. Pokazywał dzień ósmy sierpnia, godzinę dziesiątą dwadzieścia dwie. Niewiele mówiły tutaj - ta data i godzina. Przywiezione stamtąd nie miały nic wspólnego z tutejszym czasem. Mój czas był tu obcy, choć przecież stąd wywieziony. Przepuszczony przez maszynę przyspieszeń i pół grawitacyjnych, rozbiegł się znacznie z tym spokojnie płynącym, miarowo tykającym czasem Układu.

Był jeszcze i trzeci czas, ten najprawdziwszy, odczuwany we mnie, w kościach, mięśniach, mózgu - biologiczny, efektywnie przeżyty, mierzony procesami przebiegającymi w komórkach ciała. Tego czasu nie potrafiłem określić dostatecznie precyzyjnie, lecz teraz nie miało to istotnego znaczenia. Wystarczyło mi wiedzieć, że w przybliżeniu dobiegał on lat czterdziestu. Była to zaledwie mała częśćka interwału czasowego, który wyznaczał naszą Długą Nieobecność.

Legowisko, na którym siedziałem, rozbudzony już i zorientowany, było niskim tapczanem, niewiele wystającym ponad poziom podłogi pomieszczenia. Tuż obok stała moja torba podróżna, otwarta, z wywleczonymi w pośpiechu częściami ubioru i innymi drobiazgami, porozrzucanymi wokół niej na szorstkiej dywanowej wykładzinie. Wczoraj, gdy wreszcie tu dotarłem, czułem się za bardzo zmęczony, by porządnie rozpakować bagaż. Padłem na posłanie, nie rozejrzawszy się nawet po przydzielonym pomieszczeniu, i przespałem ponad dwanaście godzin.

Lekki ból głowy trwał nadal, w płucach czułem niedobór tlenu. Znałem dobrze to uczucie. Nieraz przecież zdarzała się konieczność przestawienia pokrętła regulatora w położenie "E", gdy zasób powietrza w zbiornikach skafandra spadał poniżej normy. Trzeba było wówczas ograniczyć zbędne ruchy, starać się nie myśleć o niczym ważnym i czekać. Tak ujmowała to

instrukcja awaryjna. Co innego zazwyczaj dyktowały okoliczności i jeśli nawet nie dało się nic przedsięwziąć, to nie sposób było opanować myśli gorączkowo szukających wyjścia z sytuacji. Tak było na Drugiej, na Arionie, na Cleo - gdy wydawało się, że nadszedł koniec. Czuło się wtedy wprost fizycznie, namacalnie, jak niedobór tlenu paraliżuje umysł, przemienia myślenie w bezsensowne przelewanie lepkiej mazi pod czaszką, czyniąc nierozwiązalny problem z najprostszej nawet oczywistości. Ben nazywał taki stan "oddychaniem pustym powietrzem". Określenie było trafne, bo regeneracyjny układ skafandra, odsysając z wydychanego powietrza cały dwutlenek węgla, dodawał w tych sytuacjach tylko tyle tlenu, by utrzymać organizm przy życiu.

W pomieszczeniu, gdzie się znajdowałem, powietrze była niedotlenione, choć niewątpliwie doskonale oczyszczone ze szkodliwych substancji, z zapachów nawet. Wstałem trochę zbyt energicznie, znów na chwilę zapominając o niewielkiej grawitacji, mniejszej znacznie niż ta, do jakiej przywykłem podczas ostatnich kilku miesięcy. Unosząc odruchowo ręce w górę, zdołałem ochronić głowę przed zetknięciem z niskim sufitem, podczas gdy stopy oderwały się od podłogi.

Łazienka, a raczej ciasna kabina kąpielowa, przylegająca do mojego pokoju, była od dawna nie używana, bo z sitka natrysku pociekała rdzawa, zimna woda i dopiero po dłuższej chwili mogłem się umyć. Ubrałem się szybko i do reszty rozpakowałem torbę. Zgodnie z poleceniem zabrałem tylko parę osobistych przedmiotów. No i ten drobiazg. Przez chwilę trzymałem go na dłoni. Dziwne, że nikt nie sprawdził zawartości naszych bagaży. A zresztą może wcale nie takie dziwne. Byłoby nawet niezbyt grzecznie z ich strony, gdyby postąpili inaczej. Na wszelki wypadek owinąłem broń w ręcznik i rozejrzałem się w poszukiwaniu miejsca, gdzie mógłbym ją ukryć.

Kratkę ściekową w podłodze łazienki udało mi się bez większego trudu wyjąć, upchnąłem więc zawiniątko w kanale odpływowym, mocując kratkę na powrót w otworze.

Dopiero gdy z tym skończyłem, przyszła refleksja: dlaczego to zrobiłem? Właśnie - dlaczego? Czyżby pośród niewielu wydarzeń, jakie zaszły od chwili naszego przybycia, wśród niewielu zdań, które padły między nami i nimi, było coś szczególnego, co kazało mi tak postąpić. . Przesiadłem na brzegu tapczanu. Jak to było? Czy dostrzegłem wczoraj coś niezwykłego w wyglądzie, zachowaniu, słowach tych ludzi? Byliśmy przygotowani na wszystko i tak nastawieni, by nic nie mogło nas zdziwić ani zaskoczyć. A przynajmniej - by nie dać po sobie poznać zbyt dużego zaskoczenia. Sytuacja była wszak na tyle niezwykła, niecodzienna i nienormalna, że jakiegokolwiek ich zachowanie powinno uchodzić w naszych oczach za normalne i właściwe, powinno być przez nas uznane za zwykłą, obowiązującą procedurę. Co o nich wiemy? Zapewne mniej niż oni o nas. Chociaż... Czy w istocie wiele o nas wiedzą? Czy muszą wiedzieć?

W tym miejscu moich rozważań wyobraziłem sobie konsternację, jaką w moich czasach wywołałaby nagła wiadomość, że oto zmartwychwstała drużyna zakutych w stal rycerzy konno i zbrojnie ciągnie w kierunku miasta stojącego w miejscu, gdzie ongiś była warowna twierdza. Jak zachowaliby się w tej sytuacji moi współcześni? Może by skierowali owych wojowników wprost do muzeum historycznego? A może w nerwowym pośpiechu przystąpiliby do budowy średniowiecznego grodu - oczywiście wedle współczesnych

wyobrażeń - aby szacownych przodków przyjąć godnie i aby nie czuli się obco w jakże odmiennym od własnego świecie?

Ciekawe, czy rozbrojono by ich z mieczy i kopii? Czy zabrano by im rumaki i zbroje?

Właśnie! Co z "Heliosem", który pozostał na orbicie stacjonarnej? Co z naszymi lądownikami? Gdzie umieszczono nasze skafandry - nie ma ich wszak tutaj, pozostały gdzieś w komorach Śluzy.

Czy pozwolą nam wrócić na statek, zabrać wyniki naszych badań, eksponaty, sprzęt? Czy w ogóle interesuje ich dorobek wyprawy, zdobywany z takim wysiłkiem, okupiony istnieniem kilkorga spośród nas?

Nie wyglądało na to, by zamierzali z entuzjazmem rzucać się na przywiezione przez nas skarby. Nie pytali o nic, wydając jedynie suche polecenia, dopóki nie znaleźliśmy się tutaj. Potem zadawali dziwne pytania, o rzeczy dla nas oczywiste, a dla nich widać niejasne. Oszołomieni chwilą powrotu, nie zwracaliśmy na to dostatecznej uwagi. Byliśmy zresztą psychicznie nastawieni tak, by nie dać powodu do uznania nas za relikty zamierchłej przeszłości, za żywe skamieliny czy wręcz za niebezpiecznych przez swe nieokrziesanie dzikusów z innej ery.

Gdy tak zastanawiałem się nad wydarzeniami ostatniej doby, mój wzrok odnalazł leżący na dnie torby notatnik w zielonej okładce. Nie potrafię teraz powiedzieć, dlaczego zabrałem wśród innych drobiazgów z "Heliosa" ten zeszyt, zawierający sto cienkich arkusików metafolu. Był przystosowany do notowania w przeróżnych nienormalnych warunkach, odporny na wysokie i niskie temperatury, wilgoć, chemikalia i wszystkie czynniki, które zdolni byli sobie wyobrazić ludzie ekwipujący nas na wyprawę do planet Dżety. W istocie metafol niejednokrotnie sprawdził się w różnych opresjach i dzięki niemu ocalało wiele zapisów w sytuacjach, gdy zawiodły inne, bardziej może nowoczesne i wygodniejsze środki utrwalania informacji. Spełniał swoje zadanie na ogół wszędzie, a przynajmniej tam, gdzie człowiek odziany w skafander był jeszcze zdolny notować.

Widocznie pakując mój podręczny bagażów chwili opuszczania "Heliosa", poczułem się jak przed następną nową wyprawą badawczą w ten świat, który wprawdzie nie był dla nas nowy, lecz mógł okazać się równie nie znany jak tamte, odległe o lata świetlne. Od tego naszego też dzieliły nas lata; nie lata światła, mierzące dystans w przestrzeni, lecz lata, całe stulecia dystansu w czasie, który tak czy inaczej dla nas znaczył opóźnienie w stosunku do tych, co tu pozostali.

Trzeba notować - pomyślałem sięgając po zielony zeszyt. Nie wiadomo, co się jeszcze wydarzy, a w związku z tym, co okaże się ważne. Nie trzeba tracić dobrych nawyków, utrwalonych latami przeżytych w obcych światach. Te nawyki są teraz prawie wszystkim, co jest naprawdę nasze - życiem i światem, bo z tym tutaj światem łączyć nas mogą jedynie sentymenty.

Schowałem notatnik za bluzę razem z pisakiem zatkniętym za jego okładkę i wyszedłem z kabiny na wąski korytarzyk. Zza uchylonych sąsiednich drzwi dobiegały szmery rozmów. Wszedłem tam.

Przy długim stole siedziało kilkoro naszych: Ben, Agga, Komandor, Pavo i jeszcze dwie osoby. Pili z plastikowych naczyń, przegryzając czymś w kształcie foremnych

prostopadłościennych kromek o bladożółtym zabarwieniu. Wchodząc napotkałem wzrok Komandora - przeciągłe, trochę zbyt długie spojrzenia, jakby chciał mi w ten sposób coś przekazać lub ostrzec przed czymś, nim się odezwę. Kątem oka dostrzegłem jeszcze jedną osobę. Niski, drobny człowieczek o bladej cerze stał oparty o ścianę z dłońmi założonymi za plecy. Przelotnie spojrzałem w jego stronę, nim usiadłem przy stole wśród pozostałych. Patrzył przed siebie tępo, w zagapieniu, jakby nie dostrzegał nikogo; jego prawa stopa w miękkim pantoflu, oparta piętą o podłogę, wykonywała rytmiczny ruch. Było to lekkie przytupywanie, zdradzające zniecierpliwienie lub może napięcie psychiczne.

Ulokowałem się na wprost Komandora, który siedział twarzą do drzwi, mając obcego po lewej stronie i nieco z tyłu. Zauważyłem, że Komandor znów przez chwilę zatrzymał wzrok na mojej twarzy.

- Zjedz coś - powiedział po chwili, wskazując głową za siebie, gdzie w ścianie widniały wyloty podajników żywności.

Podszedłem tam i napełniłem kubek białym płynem, potem wydobyłem z komory podajnika tackę z dwoma kawałkami żółtej substancji i wróciłem na swoje miejsce. Człowiek pod ścianą przytupywał coraz szybciej i drobniej.

- Brakuje jeszcze dwóch osób - powiedział Komandor, przeliczywszy nas wzrokiem. - Nie ma Luzy i Karsa. Poszukaj ich, Pavo.

Po kilku minutach byliśmy w komplecie. Dwie kobiety i siedmiu mężczyzn. Wszyscy, którym udało się powrócić z tej trudnej, długiej, ale przecież w sumie udanej podróży... W każdym razie mogło być znacznie gorzej. Dla nas, bo tym, co nie wrócili, gorzej już być nie mogło. Tak przynajmniej sądziliśmy wracając, gdy daleka była jeszcze perspektywa spotkania z macierzystym Układem i gdy nikt nie spodziewał się komplikacji podczas wprowadzania statku na tor powrotny.

Mały, bladej skóry człowieczek oderwał się niepewnie od ściany, zrobił krok do przodu i odchrząknął. Spojrzeliśmy w jego stronę, co najwyraźniej go speszyło, bo milczał jeszcze przez kilka sekund.

- Taak... - zaczął wreszcie z ociąganiem, jakby wciąż zastanawiał się nad doбором odpowiednich słów. - Zostałem upoważniony... do wprowadzenia was... w sytuację. Mam przejąć opiekę nad wami w początkowym okresie waszego pobytu tutaj. Nie wiem, do jakiego stopnia jesteście zorientowani, więc pokrótce wyjaśnię, gdzie się znajdujemy. Jesteśmy w Osiedlu L-1, trzydzieści metrów pod powierzchnią. Osiedle jest w pełni samodzielne i samowystarczalne, przystosowane do pobytu około dziesięciu tysięcy osób przez dowolnie długi czas. Umożliwia to wykorzystywana do maksimum energia promieni słonecznych, przetwarzana na energię elektryczną przez umieszczone na powierzchni fotoelementy o dużej sprawności. Niezależnie od tego, na wypadek awarii systemu zasilania, dysponujemy relatronem zdolnym pokryć pełne zapotrzebowanie mocy. Odwołując się do waszych doświadczeń, mógłbym porównać nasze położenie do sytuacji załogi gwiazdolotu z układem zabezpieczenia warunków biologicznych, z tym jednak, że w przypadku naszego Osiedla czas trwania tej sytuacji nie jest praktycznie niczym ograniczony, a współczynnik ryzyka o kilka rzędów wielkości niższy aniżeli dla lotu do gwiazd.

- Zasadnicze pytanie: jak długo mamy tu pozostać? - Ben zniecierpliwiał się tym przydługim nieco wstępem na tematy ogólne.

Mały jakby się zmieszał, milczał dość długo, aż wreszcie wypalił tonem rozpaczliwie urzędowym:

- Nie zostałem upoważniony do odpowiedzi na takie pytanie.

- Jak to? - mruknął Komandor na w pół do siebie. - Czy mam przez to rozumieć, że jesteśmy więźniami?

- Nic podobnego, Komandorze! - Mały ożywił się nagle. - Traktujemy was na równi z pozostałymi mieszkańcami Osiedla. Powiedziałbym nawet, że traktujemy was ze specjalnymi względami. Ale przebywając tutaj powinniście dostosować się do specyfiki naszej sytuacji. Obowiązują nas wszystkich pewne reguły postępowania i zasady dyscypliny, w szczególności zaś - podporządkowanie się bez zastrzeżeń wszelkim poleceniom REX. Każda niesubordynacja musi być w imię powszechnego dobra surowo karana. Z uwagi na pewne ważne powody żaden z was, podobnie jak żaden mieszkaniec tego czy innych Osiedli, nie może teraz stąd odlecieć. Nie wolno nawet bez specjalnego pozwolenia REX opuszczać Osiedla i przebywać na powierzchni.

- Dlaczego nie możemy stąd odlecieć? - spytałem. - Przecież, gdyby nie wasze sygnały, weszlibyśmy od razu na okołoziemską!

- Zrozumiecie to wkrótce. Lądowanie tam jest obecnie... niemożliwe.

- Niemożliwe? - powiedzieliśmy to niemal wszyscy równocześnie.

- No, powiedzmy... - zawahał się. - Powiedzmy, że niecelowe, niewskazane...

- Co się stało z Ziemią? - Pavo wstał, prostując całą swą dwumetrową postać. Podeszedł do tamtego. Górował nad nim o dobre pół metra. - Co z nią zrobiliście?

- Usiądź! - Mały cofnął się pod ścianę, głos mu drżał. - Przede wszystkim, nie my, to nie my odpowiadamy za wszystko, co działo się tutaj podczas waszej nieobecności. Pytasz, co się stało? Odpowiem ci jednym zdaniem: upłynęło dwieście lat. To się stało, a reszta jest tylko konsekwencją tego faktu. Powinniście być nam wdzięczni za to, że ściągnęliśmy was tutaj. To był niezwykle szczęśliwy przypadek, że odebrano wasze sygnały. Nikt się was już nie spodziewał, nikt nie pamiętał o was... A to, co proponujemy wam teraz, jest jedyną ofertą, jaką możemy wam złożyć, i jedyną możliwością, którą musicie przyjąć. To jest konieczność.

- Co się stało? - nalegał Pavo, wciąż stojąc nad przerażonym człowieczkiem z Księżyca. - Skazanie biosfery? Zatrucie wód i powietrza? Promieniowanie?

- Nie, nie! - Mały, cofnięty pod ścianę, wił się niespokojnie i wybałuszył przerażone oczy. Widać było, że ma już serdecznie dość swej nieprzyjemnej misji. - To coś zupełnie innego...

- Od jak dawna? - spytałem.

- Trudno to określić... Wszystko trwało dziesiątki lat. Jesteśmy tu od kilku pokoleń.

- A zatem na Ziemi... Czy tam nie ma już... nikogo? - głos Luzy był nienaturalnie schrypnięty.

- Są... Oni tam są, będą jeszcze długo... Musimy poczekać tutaj, przechować ludzką cywilizację do czasu, aż... tam znikną ostatni z nich...

- Kto to są "oni"? Czy nie możesz wyrażać się jaśniej? - burknął Ben, kołysząc się na stołku. - Czy to jacyś... obcy?

- Nie, nie było i nie ma żadnych obcych. To ludzie czy może... należałoby powiedzieć... No, właściwie niby-ludzie, ale... - Mały zapłatał się zupełnie. Wciąż zerkał z przerażeniem na wielkiego Pava, pochylającego się nad nim złowrogo. - Zrozumcie mnie! Jestem tylko waszym kuratorem, wyznaczonym przez REX... Nie mam żadnych uprawnień, nie jestem odpowiedzialny za żadne decyzje dotyczące was ani cokolwiek, co się tu dzieje. Nawet nie o wszystkim wiem, urodziłem się tutaj, w Osiedlu, trzydzieści dwa lata temu i nigdy nigdzie nie byłem. Nie widziałem na oczy Ziemi ani tamtych. Wątpię, czy istnieje tu ktoś, kto ich widział, kto ich zna, kto był tam... Może ktoś z REX, ale bardzo dawno. Oni są bardzo starzy, podobno dawniej zaglądali tam niekiedy, ale teraz... Wiem tyle, że nam nie wolno, że musimy czekać, bo tam się nie da żyć. Kiedyś tam wrócimy. Może nie my sami, może nasi wnukowie. Naszym celem jest przetrwanie. Jedyńm celem, któremu przyporządkowano wszystko inne prawa i zasady życia w Osiedlach, interesy każdego z nas... Więc czekamy cierpliwie, by w jednym z następnych pokoleń osiągnąć nasz cel...

- Człowieku! - powiedział Komandor wstając. Zmierzył Małego spojrzeniem, jakby chcąc przekonać się, czy zwraca się do niego właściwym słowem. - Człowieku! Czy nie pojmujesz, że my wszyscy, których masz tu przed sobą, też mamy swój cel? Wracaliśmy tutaj uparcie przez sto pięćdziesiąt lat uszkodzonym kosmolotem po to, by znowu stanąć na Ziemi. To do niej wracaliśmy, bo przecież nie do żadnego z jej mieszkańców. A teraz, gdy jesteśmy o krok od celu, wy chcecie odebrać nam prawo postawienia stopy na Ziemi. Tłumaczysz nam niezbyt jasno, że tam nie można żyć. A czy wydaje ci się, że lecąc do Dżety spodziewaliśmy się rajskich ogrodów i życzliwie nastawionych tubylców? Czy to, że wasi przodkowie poróżnili się z resztą mieszkańców Ziemi i schronili się tutaj, ma nas zatrzymać do końca życia w tym waszym mrocznym kretowisku?

- To nie jest tak, jak myślisz! - Mały znów energicznie odbił się od ściany. Minę miał rozpaczliwie głupią. Zaczynałem mu współczuć, bo najwyraźniej wił się w pętach narzuconych mu ograniczeń, bojąc się o jedno choćby słowo przekroczyć udzielone mu pełnomocnictwa.

- Zaczekajcie - powiedziałem - nie znęcajcie się nad... jak się nazywasz?

- Nasso - powiedział cicho, patrząc na mnie chyba z odrobiną wdzięczności, jeśli dobrze odczytałem przelotny grymas uśmiechu na jego twarzy.

- Otóż, posłuchaj, Nasso. Idź do REX, czy jak tam nazywa się wasze dowództwo, albo może do twojego szefa i powiedz, że nie możemy przyjąć żadnych warunków, dopóki nam ktoś porządnie nie wyjaśni, co się dzieje na Ziemi i tutaj. Wciąż uważamy się za załogę kosmolotu "Helios"; zgodnie z obowiązującą nas pragmatyką, naszym dowódcą jest wciąż Komandor i nie zamierzamy podporządkować się komukolwiek innemu, dopóki nasza podróż nie skończy się u właściwego celu. Jeśli nasza obecność jest wam nie na rękę, odlecimy ładownikami na "Heliosa", przeniesiemy go na okołoziemską orbitę i będziemy udawać, że nigdy nas tu nie było.

- Na to Rada Ekspertów na pewno się nie zgodzi. Ale powtórzę wszystko szefowi. O ile jednak wiem, poprzednio...

- Wiec nie jesteśmy pierwszymi, którzy znaleźli się w takiej sytuacji? - przerwał Komandor.

- Byli tu jacyś... ale dawno, nie pamiętam ich, może jeszcze przed moim urodzeniem. Nie wiem, co się z nimi stało, ale słyszałem, że byli. Od czasu jak jesteśmy tutaj, a właściwie nawet dawniej jeszcze, zaniechano dalekich wypraw... Tylko wy, przez wasze opóźnienie... Dobrze, zrobię, jak chcecie: pójde i przekażę Radzie wasze postulaty.

- Jeszcze jedno - zatrzymał go Ben. - Może nam wyjaśnisz, co oznacza ta krata w poprzek korytarza, o sto kroków od naszych kwater?

- Ach, więc już zauważyliście? No cóż... To też na polecenie REX. Uważają, że nie powinniście się stąd oddalać do czasu ustalenia modus vivendi. Proszę, dla waszego dobra, nie próbujcie...

Wycofał się chyłkiem, a gdy minął drzwi, puścił się prawie kłusem wzdłuż korytarza.

- Można by popatrzeć, jak się otwiera tę kratę - mruknął Pavo.

- Nie trzeba. Mam palnik.

Wybuchnęliśmy krótkim, stłumionym śmiechem. To był właśnie cały nasz dowódca. W paru słowach potrafił zawsze wyrazić swój stosunek do każdej sprawy. Prawie nic nie mówiąc, powiedział wszystko. A więc on też nie zamierzał podporządkować się, kapitulować.

- Nędzny szcur - powiedział Pavo, wyglądając przez drzwi.

- Po prostu załęczniony urzędas. - Komandor wzruszył lekceważąco ramionami. - Myślę, że udało się nieco go przestraszyć. To dobrze. Powinni się trochę nas bać.

Gdy się rozchodziliśmy, Ben wszedł za mną do pokoju.

- Co o tym myślisz? - spytał zamykając drzwi. - Czy oni naprawdę uciekli z Ziemi? A może ich wyrzucono, zesłano?

- Dowiemy się z czasem. Ale tak czy owak nie zamierzam tu długo siedzieć.

- Jakie masz plany?

- Nasze ładowniki mają wystarczający zapas paliwa, by wystartować.

- Przedtem jednak trzeba się stąd wydostać.

- Myślę, że potrafię. Oni nas nie doceniają i nie powinniśmy przedwcześnie zdradzić naszych możliwości.

Nie zapominaj, że znajdujemy się pod powierzchnią, licho wie jak daleko od miejsca lądowania. A poza tym zabrali nam skafandry.

- Posłuchaj, Ben. Ja muszę tam polecieć - powiedziałem z naciskiem. - Muszę, bo w przeciwnym razie wszystko traci resztę sensu.

- Wszystko jest bez sensu już od dawna. Może nawet od chwili naszego startu w tę wariacką podróż dwieście lat temu... Ja też nie zamierzam tu zostać. Najpierw jednak trzeba się trochę rozejrzeć na miejscu. Mam palnik.

- Zdaje się, że każdy zabrał ze sobą coś takiego...

- Dziwisz się? Sam wiesz, jak głupio bywa znaleźć się z gołymi rękami w niejasnej sytuacji...

- Dziwi mnie raczej to, że nie zrewidowali dyskretnie naszych bagaży. Mają albo zbyt wiele zaufania do nas, albo... zbyt ubogą wyobraźnię.

- Obawiam się, że wynika to z czegoś innego: są przekonani, że niewiele możemy zdziałać prostymi środkami. Na wszelki wypadek schowaj jednak dobrze ten swój palnik czy co tam masz.

- Porażacz. Już go schowałem.

- Świetnie. Kiedy więc ruszamy?

- Zaczekamy. Potrzebne nam są jeszcze pewne informacje. A poza tym trzeba porozumieć się z Komandorem.

Krata była dokładnie wpasowana w ściany i podłogę korytarza. Otwierała się prawdopodobnie przez opuszczenie do wnętrza szczeliny biegnącej pod nią w podłodze, jednak na zewnątrz nie było widać żadnego urządzenia do jej uruchomienia. Oglądałem ją dokładnie nie ukrywając swego zainteresowania, mimo że po drugiej stronie od czasu do czasu kręcili się jacyś osobnicy.

Próbowałem sobie wyobrazić ogólny plan struktury podksiężycowego Osiedla, w którym, początkowo zdezorientowani i nieświadomi skutków, pozwoliliśmy się umieścić.

Osiedle było podobne do ogromnego liścia z siecią żyłek - korytarzy o różnych szerokościach, rozgałęziających się w miąższu księżycowego gruntu. Węższe korytarze zbiegały się ku szerokim arteriom, te zaś - do wspólnego, głównego tunelu, kończącego się Śluzą wyjściową. Tyle udało mi się zaobserwować, gdy wieziono nas, a następnie prowadzono pierwszego dnia po wylądowaniu. Odległość naszych kwater od Śluzy oceniałem na trzy, może cztery kilometry, lecz mogłem się mylić.

Przez korytarz za kratą przemknęła skulona sylwetka i skryła się w wylocie jednego z bocznych odgałęzień.: Po chwili głowa o jasnych włosach wychyliła się znowu, niski człowieczek spojrział trwożliwie w stronę, z której przybył, a potem w paru susach przypadł do kraty.

- Pomożemy wam - powiedział ochryple. - Będziemy w kontakcie.

Wcisnął mi w dłoń złożony arkusik i wycofał się pospiesznie, klucząc od ściany do ściany.

Wróciłem do pokoju i rozwinąłem otrzymaną kartkę. Na jednej jej stronie widniał naszkicowany odręcznie plan korytarzy Osiedla. Na drugiej drobnym pismem skreślono kilkanaście zdań. Czytałem je powoli, z trudem odcyfrowując niektóre słowa.

"Wiemy o was tylko tyle, że przybywacie z dalekiej podróży kosmicznej, ale już samo to oraz wasza obecna sytuacja czyni was naszymi sprzymierzeńcami. Tak jak my, wy też pochodzicie z Ziemi, której wprawdzie nie znamy, jednak czujemy się z nią związani i chcemy tam powrócić. Społeczeństwo nasze, zamieszkujące to i trzy inne Osiedla, od paru pokoleń hodowane jest w przeświadczeniu, że powrót na Ziemię jest obecnie niemożliwy, że Ziemia nie nadaje się do życia dla nas z powodu jej obecnych mieszkańców. Nikt z nas nie wie, jak z tym jest naprawdę. Przodkowie nasi opuścili Ziemię, jak się wydaje, umykając przed skutkami procesów społeczno-biologicznych, które sami zapoczątkowali. Panuje pogląd, że z bliżej nie znanych nam przyczyn ludzie pozostali na Ziemi skazani są na zagładę, co umożliwi nam, a raczej chyba dopiero naszym potomkom, powrót i ponowne zaludnienie Ziemi, odbudowę cywilizacji. Jednak życie od pokoleń w warunkach księżycowych powoduje postępującą i widoczną już w naszym pokoleniu fizyczną i psychiczną degenerację gatunku. Obawiamy się, że lunantropi za kilka pokoleń staną się niezdolni do życia w ziemskich warunkach.

Rada Ekspertów, kierująca życiem w Osiedlu, przy pomocy wszelkich dostępnych środków utrzymuje istniejący stan rzeczy, podporządkowując wszystko podstawowej idei przetrwania.

Członkowie Rady nie mogą nie zdawać sobie sprawy z tego, że znajdujemy się w ślepych zaułku. Jednak sianie defetyzmu jest Radzie nie na rękę, bo utrudnia utrzymanie ładu w Osiedlu.

Jest wśród nas wielu, którzy chcieliby coś zmienić, zapobiec ostatecznej klęsce, spowodować, póki czas, powrót do normalnego życia, do warunków, w których moglibyśmy żyć jak nasi przodkowie. Jesteśmy nawet w pewnym stopniu zorganizowani, lecz prawie bezsilni i pozbawieni informacji o prawdziwej sytuacji na Ziemi. Współdziałanie z wami leży w naszym wspólnym interesie. Rozważcie to!

Komitet do Sprawy Powrotu"

Patetyczna odezwa anarchistów czy głos rozsądku tych, co zachowali go jeszcze wśród absurdu istnienia w podziemiach Osiedla? Brzmiało to dość przekonująco, lecz mogło być także prowokacją. Jeśli to rzeczywiście buntownicy, widać Rada Ekspertów nie przywiązuje zbyt wielkiej wagi do ich działalności. W przeciwnym razie nie pozwolono by im na tak łatwy kontakt z nami.

Jakkolwiek by było, wydarzenie pozwalało podejrzewać rozłam w zamkniętym społeczeństwie mieszkańców księżycowego Osiedla. Należy to niewątpliwie wziąć pod uwagę i w miarę możliwości wykorzystać w moich planach - pomyślałem, czytając raz jeszcze treść otrzymanej odezwy.

Zastanawiałem się, do jakiego stopnia należy wtajemniczać współtowarzyszy. Niewątpliwie będzie mi potrzebny ktoś do pomocy. Najlepiej - Ben... Poza tym należy uzyskać zgodę Komandora. Przedstawiłbym mu propozycję wydostania się i przeprowadzenia rozpoznania warunków powrotu na Ziemię. Własnych celów nie chciałem zdradzać nikomu. Niektórzy mogliby tego nie zrozumieć, poczytać mnie za obłąkanego albo co najmniej za opętanego beznadziejną obsesją. A przecież muszę dotrzeć na Ziemię! Jeśli wszystko dokonało się zgodnie z zamierzeniami, według ustalonego planu - to upływ czasu nie ma tu żadnego znaczenia. Muszę dopełnić ostatniego punktu tego planu, aktualnego, dopóki istnieje Ziemia. Nie wolno mi pozostawić tej sprawy bez zakończenia; zresztą chcę ją zakończyć tak czy inaczej... Cokolwiek miałyby to oznaczać...

Stało się to za sprawą miłego, choć nieco niesamowitego staruszka "Mefi" van Troffa. Naprawdę miał na imię Yergil i był profesorem, specjalistą w dziedzinie teorii pola. Znałem go z czasów, gdy wykładał fizykę teoretyczną dla studentów wydziału astronautyki pozaukładowej. Już wówczas był dość stary, lecz gdy spotkałem go ponownie po kilku latach, nie zmienił się prawie wcale. Był drobny, szczupły i ruchliwy, o ciemnych, świdrujących oczach, z czarną bródką i czupryną - które bez wątpienia starannie farbował. Nadane mu przez studentów przezwisko pasowało do niego znakomicie. To był prawdziwy Mefisto, który uwijając się za katedrą sali wykładowej, diabelskimi sztuczkami wyczarowywał tasiemcowe ciągi równań i w niepojęty dla nas sposób wyprowadzał zawiłe zależności ogólnej teorii pola. Jego zachowanie na sali wykładowej nie było pozą ani grą. Przekonałem się o tym później, gdyż zdarzało mi się spotkać go na zupełnie prywatnej stopie - w domu Yetty, której był

dalekim krewnym. Ten sam diaboliczny błysk oczu, kocie ruchy i intrygujący sposób formułowania myśli.

- Nie masz pojęcia jak niezwykle możliwości tkwią jeszcze w naszej pocziwej, jak dobrze nam znanej czasoprzestrzeni - mówił dopadłszy mnie gdzieś w kącie pokoju, z kieliszkiem w dłoni. - Wystarczy wyciągnąć rękę, nieomal że tylko pstryknąć palcami i dzieją się rzeczy niespodziewane. A wy młodzi wędrujcie po te niezwykłości gdzieś tam, do gwiazd...

Miałem wówczas dwadzieścia sześć lat i niezłomne przekonanie, że podróże pozaukładowe są jedynym sposobem wyzwolenia ludzkości ze wszystkich nękających ją problemów. Uśmiechnąłem się tylko pobłaźliwie, nie chcąc sprzeciwiać się staruszkowi, lecz on nie dał za wygraną.

- Wiem, że i tak polecisz na Dzetę - ciągnął. - Nie rozumiem tylko, w jakim celu zawracasz głowę tej dziewczynie?

Dotknął bolesnego miejsca: i ja, i Yetta przeżywaliśmy to, każde osobno i ani słowo na ten temat nie padło między nami. Zdawaliśmy sobie sprawę, że nasza wzajemna sympatia narodziła się z piętnem niechybnej krótkotrwałości. Gdy poznałem Yettę, byłem już kandydatem do załogi "Heliosa".

- Zostawiam tutaj wszystko, nie tylko przyjaciół... Żegnam się z terazniejszością - powiedziałem chłodno.

- Czy myślisz, że tak jest dobrze?

- To konieczność.

- Do kogo powrócicie?

- Do Ziemi, do ludzkości...

- Nie wiem, czy to wystarczy do codziennego utwierdzenia w was woli powrotu. Pomyśl: gdy wrócisz, będziesz starszy o dziesięć, może o kilkanaście lat. A twoi dzisiejsi rówieśnicy będą starcami.

Byłem zły na niego za te słowa, chociaż to, co mówił, było oczywiste. Dławiłem w sobie tę świadomość, odpychałem od siebie wizję siedemdziesięcioletniej staruszki, jaką miała się stać ta dziewczyna, nim powrócę...

- Kochasz Yettę? - spytał znenacka, patrząc mi prosto w oczy. Nie wytrzymałem tego spojrzenia.

- To nie ma i tak znaczenia - powiedziałem udając obojętność.

- Lubię was oboje - powiedział cicho, kładąc mi na ramieniu wąską, kościstą dłoń. - Może uda mi się... Przyjdź do mnie któregoś dnia do Instytutu, porozmawiamy o tym.

Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, wyszedł nie żegnając się z nikim. Zawsze pojawiał się i znikał niespodziewanie.

W dwa dni po naszej rozmowie z Nasso nadeszła odpowiedź Kady Ekspertów. Przyniósł ją siwy staruszek w eskorcie czterech uzbrojonych strażników. Starzec pozostawił ich przy kracie, a potem, gdy zebraliśmy się wszyscy, trzęsącym się głosem odczytał tekst z rulonika folii. Widać było, że czytanie sprawia mu trudności, jego starcze oczy z wysiłkiem łypały zza szkieł kontaktowych, głos załamywał mu się co chwila.

- Przybysze! - czytał starzec. - Żądacie uzasadnienia naszej decyzji o pozostawieniu was w Osiedlu Luna I na czas nieokreślony. Wyjaśniamy więc, że postanowienie to nie jest w żadnej mierze formą dyskryminacji czy restrykcji wobec was. Nie jest to także kwarantanna, gdyż organizmy wasze zbadane zostały przez aparaturę medyczno-sanitarną i nie stanowią zagrożenia dla mieszkańców Osiedla. Pozostawienie was tutaj konieczne jest wyłącznie ze względu na wasze bezpieczeństwo. Dwieście lat nieobecności sprawia, że nie jesteście w stanie od razu zrozumieć pewnych zmian, jakie zaszły na Ziemi i doprowadziły ludzką cywilizację do obecnego stanu. Wasz powrót na Ziemię jest w tej chwili niemożliwy z powodów, dla których my także nie możemy na nią powrócić.

Ziemię zamieszkuje teraz zupełnie nowa, nie znana wam odmiana ludzkich istot. Jest to zdegenerowana forma gatunku homo sapiens, która za kilka pokoleń powinna zniknąć. Powstała ona w wyniku pewnych błędnych posunięć i decyzji naszych przodków. Na ich usprawiedliwienie należy powiedzieć, że działali w dobrej wierze dla uniknięcia nieuchronnej katastrofy demograficznej i klęski głodu. Degeneracja, o której mówiłem, dotyczy w głównej mierze psychiki i umysłowości ludzi zamieszkujących obecnie Ziemię. Jedyne, co nam pozostaje to oczekiwanie. Nasi przodkowie zrobili, co było możliwe, aby nie zostawić tych nieszczęśników na łasce losu. Nim opuścili Ziemię, by schronić się tutaj, stworzyli warunki zabezpieczające podstawowe potrzeby życiowe pozostałym tam ludziom. Jednak procesu degeneracyjnego nie można było już zatrzymać, a przynajmniej nie było to w mocy ówczesnych specjalistów. Jedynym sposobem uratowania gatunku ludzkiego było więc wydzielenie i zabezpieczenie czystego genetycznie materiału ludzkiego bez degeneracyjnych cech większości. To my właśnie jesteśmy kontynuacją tej wyselekcjonowanej gałęzi gatunku. Wy także, pochodząc sprzed owego krytycznego okresu, należycie do nas i stanowicie wartościowy materiał ludzki do zasiedlenia przyszłej, nowej Ziemi. Dlatego nie wolno wam narażać się na śmierć - a taką tylko perspektywę stwarza wasz upragniony powrót na Ziemię w chwili obecnej. Ufajcie naszej wiedzy, nie próbujcie działać wbrew naszym wskazówkom. Jesteśmy zdecydowani odwieść was od prób niesubordynacji w imię waszego dobra.

Starzec skończył czytanie i schował w zanadrze zwinięty rulon. Patrzył na nas mętym spojrzeniem, a my milczeliśmy długo, rozważając każde zdanie usłyszanego expose. Trzeba przyznać, że zostało zredagowane z całą dyplomatyczną ostrożnością, bez jednego zbędnego słowa. Nie wносиło jednakże zbyt wielu nowych informacji na temat najbardziej nas interesujących. Równocześnie obecność czterech uzbrojonych strażników w zestawieniu z ostatnim zdaniem przemówienia była najwyraźniej demonstracją siły i zdecydowania Rady.

Pierwszy odezwał się Komandor.

- Dziękujemy za wyjaśnienia - powiedział - choć nie wyczerpują one wszystkich interesujących nas zagadnień... Rozumiemy jednak, że istnieją względy, dla których nie możemy obecnie być lepiej poinformowani. Rozumiemy także i doceniamy troskę o nasze dobro i przyjmujemy do wiadomości konieczność podporządkowania się decyzjom Rady. Zgadamy się pozostać tutaj przez czas nieokreślony. Później, gdy poznamy bliżej okoliczności, które są przyczyną obecnej sytuacji, postępowanie nasze opierać będziemy na świadomym i racjonalnym przekonaniu, do tego jednakże czasu polegać będziemy na waszej wiedzy i doświadczeniu.

Komandor skłonił się z powagą, a starzec odpowiedział mu skinieniem głowy. Patrzyłem na ten dyplomatyczny rytuał, napinając z wysiłkiem mięśnie twarzy, by nie parsknąć śmiechem. Starzec począł w kierunku kraty, która zamknęła się za nim.

- Dobrze mu powiedziałem, co? - Komandor zrobił śmiesznie dumną minę.

- Arcydzieło dyplomacji! Majstersztyk makiawelizmu! - pochwaliliśmy skwapliwie.

- Ciekawe, co powie Rada, gdy to zanalizuje słowo po słowie...

- Myślisz, że nagrał to wszystko? - spytałem. - Widziałem, że miał na szyi, pod ubraniem, zawieszony mikrofon.

- Ładnie powiedziałeś, Komandorze: na czas nieokreślony. Może do jutra, może na tydzień...

- On też niczego konkretnego nie powiedział, więc czemu miałbym wyrażać się jednoznacznie. Zresztą ten staruszek to najwyraźniej tylko figurant, kukła... Widocznie tutaj starcy uważani są za autorytety. Ale nie sądzę, by tacy jak on trzymali na swoich barkach ten dziwny światek.

Gdy zaczęliśmy się rozchodzić, ująłem Komandora pod łokieć i poprowadziłem do mojego pokoju. Tu pokazałem mu kartkę otrzymaną od konspiratora. Czytał ją kilkakrotnie z uwagą, jakby porównując jej treść z tym, co usłyszeliśmy przed chwilą.

- Tak... - mruknął oddając mi pismo. - Zdaje się, że nasi potomkowie, a ich przodkowie, narozrabiali trochę... Zaczęli grzebać w chromosomach swoich bliźnich i wyszło stąd coś niedobrego. Nie wiadomo tylko, co właściwie... Ile w tym wszystkim, co nam tu opowiadają, jest prawdy, ile niewiedzy, a ile świadomego kłamstwa...

Wyczułem, że moment jest odpowiedni. Teraz gdy pozornie podporządkowaliśmy się Radzie, można by spróbować... Bo o tym, że podporządkowanie miało być tylko pozorne, byłem przekonany, znając naszego dowódcę.

- Trzeba to sprawdzić osobiście, Komandorze. Pozwól mi się stąd wydobyć. Dam sobie radę.

- Za wcześnie... - powiedział w przestrzeń.

Dwa słowa - i sprawa jasna. Ceniłem zawsze Komandora za jego lakoniczność. A więc w zasadzie nie sprzeciwia się mojej propozycji.

- Kiedy zatem?

- Gdy przedstawiś mi realny plan. Bez luk i bez zbędnego ryzyka. Pamiętaj, że to jednorazowa rozgrywka. Gdy złapią jednego, nie wyjdzie już żaden z nas.

- Zrozumiałe. Proponuję wziąć do współpracy Bena. Pamiętasz, Komandorze, naszą ucieczkę z Labiryntu? Ben jest niezastąpiony w takich akcjach.

- Zgoda. Ale przede wszystkim plan działania.

- Będzie plan. Przedtem jednak muszę jeszcze rozejrzeć się w terenie, poznać obyczaje, z ludźmi porozmawiać... Niech tylko otworzą nam tę kratę...

Krata zniknęła jeszcze tego samego dnia, to znaczy przed kolejnym przyćmieniem światła w korytarzach, bo w ten właśnie sposóbznaczono tu pory doby, trwającej tradycyjnie dwadzieścia cztery godziny. Doszliśmy z Benem do wniosku, że kratę zamknięto na początku po to, by teraz, usuwając ją, dać namacalny dowód dobrej woli i zaufania do nas. Bo przecież jej usunięcie nie zmieniało w sposób istotny naszego położenia. Po prostu jakby nas przeniesiono do większej klatki, o czym przekonaliśmy się niebawem. Drugą przyczyną kilkudniowego odizolowania naszej grupy od reszty Osiedla mogła być potrzeba

poinformowania i przygotowania ludności, aby nasze pojawienie się nie spowodowało zakłócenia w normalnym życiu. Byliśmy, bądź co bądź, dość odmienni wyglądem i usposobieniem od tych skarłatych, bladych szczurów, jak nazwał ich Ben.

Zaraz po otwarciu kraty wybraliśmy się z Benem na wycieczkę w stronę głównego tunelu. Rzeczywiście, wzbudzaliśmy sporą sensację wśród przechodniów, patrzono na nasze stroje i dość okazałe postacie, jednak nikt nas nie zatrzymywał, nie rozmawiał z nami i odnieśliśmy wrażenie, że usuwają się nam dyskretnie z drogi.

Do wylotu głównego korytarza było istotnie ponad cztery kilometry. Szło się nam dość dobrze, chociaż musieliśmy po drodze odpocząć. Pomimo słabej grawitacji szybki ruch powodował pewne wyczerpanie objawiające się dusznością. Raz jeszcze przekonaliśmy się, że niedotlenienie nie było subiektywnym odczuciem. Nie mieliśmy przy sobie żadnych przyrządów, pozwalających stwierdzić zawartość tlenu w powietrzu, jednak wieloletnie doświadczenie pozwoliło nam ocenić ją na jakieś osiemdziesiąt procent normy.

- Czy nie sądzisz - zagadnął Ben w pewnej chwili - że ten niedobór tlenu może być zamierzony?

- Dla oszczędności? Nie sądzę, przecież to tylko kwestia energii dla zasilania urządzeń regenerujących, a energii nie muszą specjalnie oszczędzać.

- Nie o tym myślę. Niedotleniony mózg nie funkcjonuje zbyt sprawnie.

Miał rację. To musiał być jeden ze sposobów oddziaływania miejscowych władz na społeczeństwo. Mając kontrolę nad dozownikami tlenu, można było w pewnych granicach wpływać na sprawność umysłową i fizyczną mieszkańców Osiedla. Co więcej, można było, dodając do powietrza odpowiednie składniki, powodować określone zachowania się ludzi. Gdy dotarliśmy do końca korytarza, drogę przegrodziła nam bariera. Oparty o nią strażnik nie wyglądał zbyt groźnie. Przez pierś miał przewieszony krótki, gruby pistolet. Próbowaliśmy go zagadnąć, ale pokręcił przecząco głową i poprosił, abyśmy cofnęli się od bariery.

- Dalej nie można. Do strefy śluzowej trzeba mieć przepustkę - wyjaśnił nam mały, drobny chłopiec, kręcący się w pobliżu i z zainteresowaniem przyglądający się naszym kombinezonom.

Mrugnąłem na Bena. Pojął natychmiast.

- Spieszysz się? - zagadnął chłopca.

- Trochę. A co?

- Wiesz, my jesteśmy...

- Wiem. Kosmonauci. Mówili o was w telewizji. Przylecieliście z Dżety.

- No, właśnie... Chcielibyśmy, żebyś nam powiedział, co to za broń, ta, którą ma strażnik?

- To? Eee, nic takiego. Trochę piecze, a potem nie można się ruszać z pół godziny. Raz dostałem z tego, jak mnie złapali w starym szybie. Ale ja już muszę iść. W telewizji mówili, żeby nie gadać z wami za dużo.

Chłopak ruszył szybkim krokiem wzdłuż korytarza, a po kilkunastu krokach puścił się biegiem i wkrótce zniknął za zakrętem chodnika.

- Musieli nagadać o nas głupstw w tej telewizji - powiedziałem.

- Na pewno. To dlatego nie dali nam jeszcze odbiorników. W pokojach są gniazdko wtykowe. Teraz kiedy już nałgali o nas tym ludziom, pewnie i my dostaniemy telewizory.

Nie mylił się. W naszych kabinach pojawiły się odbiorniki telewizyjne, będące równocześnie wideofonami łączności wewnętrznej. Oglądając codziennie programy mogliśmy teraz śledzić oficjalną stronę życia Osiedla.

Jesteśmy tu dopiero pięć dni. Chodzimy po korytarzach, spotykamy ludzi spacerujących jak my, czasem nam się udaje zamienić z kimś parę słów, jednak wciąż nie możemy nawiązać z nimi jakiegoś ściślejszego kontaktu. Są ostrożni, jakby ostrzeżeni przed nami - choć nie okazują rezerwy czy lęku. Wciąż nie wiemy, czym się zajmują na co dzień, jakie mają obowiązki i rozrywki, jak wygląda ich życie poza korytarzami, we wnętrzach kabin mieszkalnych. Czy pracują? Czym zajmują się poza jedzeniem, spaniem, oglądaniem kiepskich programów telewizyjnych?

Nam także nikt dotychczas nie przydzielił żadnych obowiązków. Pożywienie czerpiemy z podajników żywnościowych, łązimy bez celu i próbujemy zgłębić socjologię tego zamkniętego układu. Być może Rada chce, abyśmy sami poznali wszystko, abyśmy zrozumieli. A może po prostu nie chcą, abyśmy zrozumieli pewne sprawy zbyt prędko? W każdym razie nie starają się jakoś pokierować naszą adaptacją do tutejszych warunków. Nasz opiekun, Nasso, nie pojawił się ani razu od czasu pierwszej rozmowy.

Oglądamy więc programy telewizji. Przeważa w nich, nadawana do znudzenia, prymitywna rozrywka - płaskie żarty, hałaśliwa muzyka... Między tym wszystkim, powtarzany prawie bez zmian, program oświatowy na temat Ziemi - równie ogólnikowy i niejasny jak informacje, którymi uraczyła nas Rada.

Jest jednakże oprócz tego rozrywkowo-popularnego drugi kanał telewizyjny. Nadaje on przez cały dzień zupełnie poważne i na wysokim poziomie postawione wykłady z różnych dziedzin wiedzy. Jak zdołaliśmy się zorientować, jest to podstawowy element tutejszego systemu oświatowego, obejmującego wszystkich, dzieci i dorosłych. Istnieje też, jak się wydaje, jakaś forma sprawdzania stopnia przyswajania tej wiedzy.

W codziennych wiadomościach podawane są różne bieżące informacje, lecz nie wszystkie są dla nas zrozumiałe. Na przykład taki komunikat, powtarzający się w podobnej formie codziennie:

"Stan zaludnienia osiedla Luna I na dzień dzisiejszy wynosi dziewięć tysięcy dziewięćset osiemdziesiąt trzy osoby, w tym cztery tysiące trzystu dwóch mężczyzn. W ciągu ostatniej doby ubyło: dwie osoby z powodu przekroczenia limitu, jedna wskutek wypadku, jedna na własne życzenie. Przybyło pięć, w tym dwa noworodki płci męskiej. Udzielono sześciu zezwoleń na prokreację, z tego: trzy zezwolenia za szczególne zasługi dla Osiedla; dwa za zasługi w dziedzinie porządku wewnętrznego; jedno zezwolenie z listy powszechnej według kolejności zgłoszeń. Udzielono ponadto pięcioletniego przedłużenia limitu jednej osobie za zasługi specjalne."

Komandor miał rację. Trzeba mieć jasny, precyzyjny plan, aby moje zamiary nie zakończyły się wpadką. Rozumiem to coraz lepiej, krążąc po Osiedlu. Ludzie są nieufni, trudno z nich cokolwiek wydobyć. Poza tym nie do wszystkich zakątków Osiedla udaje się dotrzeć. Wiele korytarzy kończy się zamkniętymi na głucho drzwiami, całe odcinki niektórych tuneli obstawione są strażnikami.

Nikt właściwie nie utrudnia nam poruszania się po Osiedlu. Udało mi się nawet nanieść na posiadany szkic położenie niektórych ważnych obiektów: wiem, gdzie znajdują się wymienniki regeneracyjne powietrza i wody, główna rozdzielnia energetyczna, syntetyzatory żywności, magazyny materiałów i sprzętu. Wszystko to jest oczywiście za pozamykanymi drzwiami, lecz sądząc z zachowania się strażników, niezbyt pilnie strzeżone. Cóż z tego, kiedy najważniejszy, najbardziej mnie interesujący rejon

- Śluza wyjściowa, gdzie zostały nasze ubiory próżniowe - jest niedostępny dla nikogo prócz straży i bezpośredniej obsługi. Jak zdołałem ustalić, poza Osiedle wychodzić mogą tylko osoby nadzorujące wywóz odpadków i kontrolujące stan fotoogniw energetycznych, umieszczonych na powierzchni.

Nieustannie krążę po labiryncie korytarzy Osiedla, patrzę, słucham i staram się zebrać wszystko w jedną całość. Nie wszystko jednak jest od razu jasne i zrozumiałe.

Idąc jednym z bocznych korytarzy, przy którym znajdują się pomieszczenia mieszkalne, przez uchylone drzwi jednego z nich usłyszałem głośną rozmowę.

- Wiesz dobrze, że to niczego nie zmienia. Czas upłynął, nie ma podstaw do przedłużania - mówił ktoś zniecierpliwionym tonem.

- Przecież złożyłem podanie... - drugi głos był skrzypiący, rozstrzęsiony.

- Nie uwzględniono. Niby dlaczego mieliby uwzględnić? Prawo jest jednakowe dla wszystkich.

- Dla wszystkich? Taak? A oni, oni sami? Ich to nie dotyczy?

- Milcz! Dzieci słyszą!

- To draństwo! Ja się nie zgadzam!

- Możesz się nie zgadzać. Mam pisemną decyzję. Zabieraj się, idziemy. Wiedziałeś od urodzenia, że tak musi być...

Usłyszałem odgłosy szamotaniny za drzwiami. Usunąłem się w porę, bo po chwili z drzwi wypadło dwóch strażników, wlokąc pod ramiona opierającego się starszego mężczyznę. Ukryty w niszy ściany korytarza widziałem, jak gryzł ich po rękach i kopał po nogach.

- Ach, wy parszywe sługusy, reksiarze, żeby was próżnia rozdarła - wrzeszczał przy tym tak donośnie, że rozwarło się kilkoro drzwi sąsiednich pomieszczeń i na mroczny korytarz wychyliły się głowy ciekawych sąsiadów.

- Co się dzieje? Kto to? - pytali się nawzajem.

- E, nic takiego - wyjaśnił ktoś uspokajająco. - Starego Mosa biorą na emeryturę.

- Tfu! - splunął ktoś stojący blisko niszy, w której się ukrywałem.

- Niech diabli wezmą to wszystko...

- Co powiedziałeś? - pytanie zadał młody mężczyzna, nadchodzący z głębi korytarza. Trzymaną w dłoni latarką zaświecił w twarz tego, który splunął.

- Nic ważnego.

- A mnie się wydawało, że coś ci się nie podoba?

- Spieprzaj, latarniku. Co się czepiasz? - krzyknął ktoś z cienia. Młody z latarką skierował tam światło. Równocześnie nad jego głową zgasła lampa sufitowa trafiona czymś ciężkim. Trzasnęły drzwi, ludzie pochowali się do mieszkań. Snop światła omiótł korytarz, właściciel latarki wydobyl z kieszeni notes i przyświecając sobie, przez chwilę coś zapisywał.

- Ej, kolego! - powiedziałem z cienia niszy.

Tamten uskoczył pod ścianę, szukając mnie równocześnie smugą światła.

- A, to kosmonauta... - powiedział na wpeł do siebie, jakby z ulgą.

- O co chodzi?

- Dlaczego on nie chciał z nimi iść?

- Ten stary? A czasem się taki zdarza, co, jak przyjdzie jego pora, nie chce zwolnić etatu.

- Dokąd go zabrali?

- Słyszałeś chyba. Na emeryturę. Skończył się limit, musi ustąpić miejsca innym.

- Przecież... jednak pozostanie w Osiedlu?

Człowiek z latarką przyjrzał mi się ze zdumieniem, jakby podejrzewał, że z niego kpię.

- Przecież powiedziałem, że go wzięli na emeryturę. To chyba jasne i zupełnie normalne?

- Ach... - mruknąłem. - Rozumiem.

Nie bardzo rozumiałem. Mogłem się jedynie domyślać. Wiele słów zmieniło swe znaczenie, gdy nie było nas tutaj.

Była już właściwie późna noc, gdy znalazłem się przy barierze. Strażnik nie zwracał na mnie szczególnej uwagi, stałem więc i przez kilka minut przyglądałem się, jak służba porządkowa przetacza wózki z pojemnikami na odpady i podstawia je pod barierę. Z jej drugiej strony pojawili się inni ludzie w uniformach służby strefy służbowej. Zadźwięczał dzwonek, strażnik potoczył wkoło czujnym spojrzeniem, bariera powoli uniosła się w górę. Przepchnięto wózki na drugą stronę. Strażnik podszedł teraz do pojemników i, gdy bariera zamknęła się, przytknął do każdego z nich końcówkę przyrządu, który wyjął z kieszeni. Potem podniósł rękę na znak, że wózki mogą ruszyć dalej w kierunku wyjścia.

Trudno byłoby tędy się wydostać. Szczególnie, gdy nie wiadomo, co jest dalej, ilu jeszcze strażników po drodze. Rejon Śluzu był zbyt czujnie strzeżony, by planować ucieczkę tą drogą.

Miałem już zawrócić w stronę mojej kwatery, gdy spostrzegłem, że z głębi głównego tunelu nadciąga korowód ludzi i pojazdów. Przodem sunęła odkryta platforma, na której siedział siwy starzec w uroczystym stroju - niewątpliwie członek Rady, bo wśród zwykłych mieszkańców nie spotykało się ludzi w tak sędziwym wieku. Otaczało go kilku uzbrojonych strażników. Za pierwszą platformą posuwała się druga, na której spoczywał metalowy walec dwumetrowej długości, o średnicy ponad pół metra.

Bariera otworzyła się, strażnik wyprężył się na baczność. Pojazdy nie zwalniając powlokły się dalej i po chwili zniknęły w półmroku tunelu wiodącego ku wyjściu.

Obok mnie zatrzymała się młoda szczupła kobieta. Patrzyła na niknący korowód z jakimś dziwnym, zaciętym wyrazem twarzy.

- Co to było? - spytałem nachylając się nad nią. Spojrzała ze zdziwieniem, lecz w jednej chwili wyraz jej twarzy zmienił się, jakby się uspokoiła czy odprężyła.

- Kosmonauta... - powiedziała cicho. - Nie stójmy tu, chodź! Pociągnęła mnie w głąb ciemnego korytarza. Pod lampą słabo tłącą się u stropu przyjrzała mi się raz jeszcze.

- Pierwszy raz widzę z bliska jednego z was. Wyglądasz inaczej niż nasi mężczyźni. Wstąp do mnie, to blisko. O tej porze tylko kapowniki - latarniki kręcą się po korytarzach. Ale ty nie jesteś kapuś. Tylko w stosunku do was można być pewnym...

W małej kabinie, do której mnie wprowadziła, było ciemno. Zapaliła lampę ścienną. W jej świetle dostrzegłem na dużym tapczanie śpiące trzy postacie - starszą kobietę i dwoje dzieci. Dziewczyna otworzyła następane drzwi. W małej klitce też ktoś spał na legowisku pod ścianą. Po przeciwnej stronie stała wąska kanapa.

- Siadaj! - powiedziała dziewczyna. - Zaraz odpowiem na twoje pytanie.

Wyszła, po chwili zjawiła się z dwoma kubkami chłodnego napoju. Podała mi jeden z nich i usiadła obok. Przyjrzałem się jej. Była wątła i blada jak wszyscy lunantropi, wyrosli w słabym polu grawitacyjnym i w sztucznym świetle pozbawionym ultrafioletu. Z podwiniętych nogawek luźnych spodni wystawały cienkie nogi w miękkich pantoflach, jakich używali tu wszyscy. Twarz miała dość ładną, lecz z podsiniętymi oczyma i rysującą się siateczką zmarszczek wokół nich. Ona też przyglądała mi się otwarcie, nie ukrywając zaciekawienia.

- To, co widziałeś, było deportacją, najwyższym wymiarem kary. Wywieźli degenerata. Odeślą go tam... no, wiesz dokąd... Tam gdzie miejsce dla degeneratów.

Mówiła to ze złym błyskiem w oczach i dopiero po chwili zrozumiałem, że w jej słowach brzmi gorzka ironia.

- Dokąd go odeślą?

- Na Ziemię. To kara za działalność wywrotową, szerzenie niepokoju i nieprawomyślnych idei. Tak postępują z przywódcami, agitatorami, którzy nawołują do przyspieszenia powrotu na Ziemię.

- Nie rozumiem? Wysyłają ich tam? Za karę? Skinęła głową.

- Kerra wysłali rok temu. Mojego męża. Za to, że wyjaśniał ludziom skutki dalszego przebywania tutaj. On jest... On był dobrze zorientowany w naukach społecznych, antropologii, genetyce... Był dla Rady niewygodny. Kiedyś nadzorował magazyny biblioteczne, czytywał różne zabronione dzieła. Był bardzo zdolny, aż za bardzo. Nie mieścił się w granicach normy, był niebezpieczny.

- Wciąż nie rozumiem, dlaczego deportacja na Ziemię uważana jest za karę? Przecież dla tych, którzy chcą tam wrócić...

- Wysyłają ich w pojedynkę, bez żadnych środków do życia, bez broni... A tam, nie znając warunków...

- Więc dlaczego nie stosują kary śmierci? Taka deportacja jest przecież diabelnie kłopotliwa!

- Śmierć nie jest karą, nie może nią być. Śmierć jest zaszczytnym obowiązkiem każdego członka naszej społeczności i każdy ma do niej prawo we właściwym czasie... chyba, że na własne życzenie wcześniej. Deportacja - to coś o wiele gorszego niż śmierć. Tam nie umiera się tak po prostu. Do umierania po prostu wszyscy są tutaj przyzwyczajeni od wczesnego dzieciństwa. Każdy wie, ile lat może przeżyć. To jedno z podstawowych założeń umożliwiających przetrwanie społeczeństwa zamkniętego: planowy wzrost i planowy ubytek, stała struktura wiekowa ludności... Nasze społeczeństwo nie może się nadmiernie starzeć, liczba etatów jest ograniczona. Przyrost i ubytek muszą się bilansować na zero.

- Straszne... Więc emerytura to...

- Właśnie to. Kerro mówił mi kiedyś, że dawniej oznaczała zasłużony odpoczynek. Tutaj oznacza też odpoczynek, ostateczny. W społeczności, której jedynym celem jest przechowanie ludzkich istnień przez kilkanaście, być może, pokoleń - ci, którzy nie biorą

czynnego udziału w pro-kreacji i wychowywaniu potomstwa, nie mają nic do roboty. To trwa już od pokoleń i wszyscy są do tego przyzwyczajeni.

- Niektórzy jednak buntują się... Dziewczyna patrzyła w kął pokoju. Milczała.

- Jak oni wysyłają tych... skazańców? - spytałem. - Mówiono mi, że od dawna nikt stąd nie był na Ziemi.

- Nikt stamtąd nie wrócił. Ale są automatycznie pilotowane wahadłowce, kursujące między tutejszym kosmoportem i orbitą okołoziemską. Kiedyś przewoziły materiały do budowy i wyposażenia Osiedli. Z orbity pojemniki z deportowanymi wystrzeliwane są na Ziemię ładownikami niezdolnymi powrócić z ładunkiem. Wszystko to odbywa się pod kierunkiem automatów.

- Mogliby mnie tak wysłać. Nawet zależałoby mi na tym - powiedziałem ścisząc głos.

- Nie zrobią tego z żadnym z was - pokręciła z powątpiewaniem głową. - Wiedzą, że dalibyście sobie radę przy waszym doświadczeniu. Znacnie Ziemię, nie tę dzisiejszą, ale zawsze... Was będą trzymać tutaj. O ile nie zaczniecie im przeszkadzać.

- Im, to znaczy...? Radzie Ekspertów? Uśmiechnęła się kpiąco.

- Rada! - powiedziała wydymając wargi. - To gromadka staruszków, przygłuchych i z daleko posuniętą sklerozą. Pozwolono im żyć, a oni za to firmują swym autorytetem poczynania tej szajki..

- Więc ktoś stoi za nimi?

- Tak się powszechnie uważa, ale... nie należy o tym rozmawiać.

- Któż to więc ci inni?

- Nikt nie wie nic pewnego. Ale to na pewno ci, którzy dają sobie dodatkowe przydziały pomieszczeń mieszkalnych, przedłużenia limitu dla swoich wujków i ciotek, zezwolenia na dzieci. Za wybitne zasługi, ma się rozumieć.

Milczałem, zestawiając w myślach fragmenty układanki, która zaczynała ukazywać coraz większe, łączące się ze sobą części ogólnego obrazu.

- A wam wszystkim każą żyć po to, by przetrwała ludzkość? - powiedziałem dotykając jej ręki.

- Oni już wiedzą, że ta droga wiedzie donikąd. Dlatego nie chcą dopuścić, by ktokolwiek przyniósł tu wiarygodną wiadomość o sytuacji na Ziemi. Mogłoby się okazać, że powrót jest możliwy, lecz... my nie nadajemy się już do tego, by tam żyć... A wówczas oni utraciliby władzę nad nami. Mało tego: mogliby zostać pociągnięci do odpowiedzialności.

- Przecież pozostają nie znani!

- Myślisz, że trudno byłoby ich wykryć? Czy sądzisz, że ich mieszkania wyglądają tak jak to? Wystarczyłoby naruszyć tę nienaruszalność mieszkania prywatnego, którą sami wymyślili. Od razu można by poznać, kto jest kto... Boją się każdego, kto podsycza choćby w najmniejszym stopniu nastroje powątpiewania w sens naszego pobytu. O was mówili w telewizji także. Ostrzegali.

- Przed czym?

- By nie brać was zbyt poważnie. Tego, co mówicie. A najlepiej, żeby nie wdawać się w dłuższe rozmowy z wami. Sugerowali, że jesteście... trochę...

- Nienormalni?

- Coś w tym sensie, a może raczej... że nie wróciliście jeszcze do równowagi emocjonalnej po waszej podróży. ,

- Czy i ty tak sądzisz?

Spojrzała mi w oczy i ścisnęła mnie za rękę.

- Ty mi się podobasz - powiedziała. - Innych nie znam, ale wiem, że to, co o was mówią, ma jasno określony cel. Oni już tylko chcą utrzymać spokój. Za wszelką cenę.

- Nie ma tutaj jakiegoś... podsłuchu? - spytałem rozglądając się po pokoju.

- To mój brat, Adi - powiedziała, wskazując na śpiącego pod ścianą mężczyznę.

- Miałem na myśli ukryte mikrofony.

- Nie, tego tu nie ma. Nie przewidziano takich urządzeń, gdy budowano te Osiedla. Oni zresztą i tak wiedzą, co się mówi. Pełno tu szpicli - na korytarzach, w stołówkach. Każdy o tym wie. Jedna połowa ludności donosi na drugą. To się opłaca. To są "zasługi dla porządku wewnętrznego", można za to dostać coś ekstra, poza listą normalnych przydziałów.

- Powinienem już iść - powiedziałem wstając. Nie puściła mojej ręki.

- Kiedy będziesz... tam... Bo wiem, że będziesz! Nie zostaniecie tutaj wy wszyscy... Więc kiedy tam będziesz, spróbuj odnaleźć choćby ślad Kerra... Może on jest tam, może żyje? On był taki mądry, rozsądny... Może sobie jakoś poradził, przetrwał. Jeśli go spotkasz, powiedz mu... Powiedz, że czekam na niego....

- Jak się nazywasz? - spytałem, uwalniając delikatnie dłoń z jej bezwiednie zaciskających się palców.

- Edna.

- Bądź zdrowa. Będę tam. Tyle mogę ci obiecać.

Przypomniała mi o czymś... O czymś, czego nie zapomniałem właściwie ani na chwilę, lecz tylko oddaliło się trochę, przysłonięte wydarzeniami ostatnich dni. Teraz znowu zaczęła palić jak świeża rana, z której zdarto opatrunek.

- Trudno ci będzie stąd wyjść - powiedziała Edna odprowadzając mnie do drzwi. - Ale ty sobie poradzisz. Bo dla nas jest stąd tylko jedna droga ucieczki: przez krematorium.

Spojrzałem na nią. Powiedziała to zupełnie spokojnie, bez patosu, z ironią raczej.

- Wiesz? - powiedziałem w zamyśleniu. - To jest nawet niezła myśl.

Wracając pustymi korytarzami rozważałem pomysł, który narodził się w czasie rozmowy z Edna. Byłem tym tak pochłonięty, że nie zwróciłem uwagi na przechodnia, który wyłonił się skądś tuż przede mną.

- Tss! To ja, pamiętasz? - szepnął, gdy mijałem go, rozpląszonego na ścianie.

Drgnąłem zaskoczony.

- Podałem ci wtedy kartkę, przy kracie...

Przyjrzałem mu się. Tak, znałem tę twarz o białych brwiach i rzęsach. Konspirator...

- Chodź tutaj - powiedział cicho, pociągając mnie w stronę bocznego korytarza. - Potrzebujemy twojej rady.

Prowadził mnie w jakieś zakamarki, przez źle oświetlone przejścia. Zatrzymaliśmy się przed drzwiami, do których zapukał. Weszliśmy do ponurej nory, zastawionej starymi meblami i częściami urządzeń. W jednym z kątów siedziało trzech lunantropów, czwarty wyszedł zza

sterty skrzynek dopiero wówczas, gdy mój przewodnik zamknął drzwi wejściowe. Patrzyli na mnie z ciekawością, robiąc nam miejsce na ułomkach starych foteli i krzesel.

- Jesteśmy członkami Komitetu do Spraw Powrotu - powiedział jeden. - Dziś znowu deportowali jednego z naszych przywódców. Postanowiliśmy zacząć działać radykalnie, bo w przeciwnym razie wszystkich nas zniszczą. Potrzebujemy kogoś, kto pokierowałby akcją.

- Liczycie na mnie? - spytałem.

- Na ciebie i na twoich towarzyszy. Nie możemy zwlekać dłużej. Jeśli nie wrócimy na Ziemię w ciągu najbliższych kilku lat, to już nigdy nam się nie uda.

- Dlaczego?

- Przeprowadziliśmy pewne badania. Wszystko wskazuje na to, że organizmy nasze w szybkim tempie tracą pewne właściwości niezbędne do życia w warunkach ziemskich. Przebywanie tutaj w polu zmniejszonego ciężenia powoduje między innymi odwapnienie kości. Nasze kości stają się słabsze, utrzymują ciężar ciała tutaj, lecz będą zbyt miękkie w silniejszym polu grawitacyjnym. Podobnie mięśnie, gospodarka energetyczna, wydolność krążenia. Następne pokolenie może być jeszcze mniej predysponowane do powrotu...

- A wy? Czy jesteście pewni, że dacie sobie radę na Ziemi?

- Bez waszej pomocy na pewno nie... Ale wielu z nas potajemnie ćwiczy, by utrzymać sprawność organizmu.

- A pozostali?

Przez chwilę milczeli wszyscy, wreszcie któryś odezwał się niepewnie, z zakłopotaniem.

- Nie myślimy o wszystkich... Chcemy wyselekcjonować pewną grupę.

- Czego spodziewacie się od nas?

- Nie potrafimy obsługiwać wahadłowców i rakiet, którymi można było by dostać się na Ziemię. Liczymy na wasze ładowniki. Poza tym wasz udział w opanowaniu strefy Śluzu bardzo by nam ułatwił wydostanie się z Osiedla.

- Jak zamierzacie tego dokonać? Siłą?

- Nie mamy broni. Gdyby udało się nam opanować dozowniki powietrza, moglibyśmy zmusić Radę do wypuszczenia nas stąd pod groźbą unieruchomienia układu regeneracji. W Śluzie jest pewna ilość skafandrów próżniowych, używanych przez służbę powierzchniową...

- Czy sądzicie, że Rada ugięłaby się wobec takiego szantażu? - przerwałem. - Przecież spełnienie groźby byłoby w równym stopniu zgubne dla nich i dla was.

- Nie mamy innego wyjścia. A Rada zdaje sobie sprawę z naszej desperacji. Wiedzą, że nie dajemy się zastraszyć deportacjami. Przecież to, że wysyłają co pewien czas kogoś na Ziemię, jest nie tylko karą dla samego delikwenta, lecz przede wszystkim postrachem dla tych, co tu zostają. To zresztą właściwie nie jest kara, lecz pozostałość dawnej procedury, która straciła pierwotny sens. Kiedyś na początku wysyłano co pewien czas grupy zwiadowcze dla rozpoznania sytuacji na Ziemi. Ludzie ci wracali tutaj, relacjonując rozwój sytuacji demograficznej. Ale tamci zwiadowcy byli jeszcze z pierwszego czy drugiego pokolenia, przystosowani do życia na Ziemi. Dlatego udawało im się wracać... Później coraz więcej takich patroli nie powracało. Trudno powiedzieć, w jakim stopniu wpływał na to ich brak przystosowania i umiejętności, a w jakim wrogię im środowisko Ziemi. Doszło do tego, że udział w takim rozpoznaniu stał się wyprawą praktycznie bez szans powrotu, karą, zsyłką

wbrew woli i chęci... Zwiadowcy stali się sondami próbnymi, gołębiami wysyłanymi z arki Noego. Równocześnie Rada interpretowała wyniki zwiadu, to znaczy mnożące się przypadki zaginięcia patroli jako dowód, że na Ziemi panuje sytuacja wykluczająca powrót. Z drugiej strony, wiedząc wcześniej to, do czego my doszliśmy niedawno, Rada, a raczej stojący w jej cieniu funkcjonariusze w obawie, by wreszcie ktoś nie obalił tych poglądów, zmienili nieco tryb postępowania. Przeprogramowano ładowniki wahadłowców tak, że po wylądowaniu na Ziemi pozostawiały pasażera i puste wracały same na orbitę. W ten sposób powrót w samym założeniu stawał się niemożliwy, choć znaczenie tego faktu nadal interpretowano jak przedtem.

Człowiek, który to mówił, przerwał na chwilę. Drugi, siedzący obok, wstał i bez słowa wyszedł z pomieszczenia. Nie zwrócili na to uwagi.

- Rozumiesz chyba, przybyszu, dlaczego Rada i jej poplecznicy za wszelką cenę chcą utrzymać pogląd o niemożności powrotu? Tutaj mają nad nami władzę, tam - nic by nie znaczyli. Nie dość tego. Tam – gdyby się okazało, że popełnili błędy, eksperymentując na naszym społeczeństwie - mogliby zostać ukarani. Wolą pozostać tutaj, gdzie nie grozi im odpowiedzialność przed kimkolwiek. Dysponują systemem, który pozwala im utrzymać wszystkich mieszkańców Osiedla w stanie umysłowego bezwładu i strachu. Chcemy przełamać ten impas...

- Uciekając stąd? - powiedziałem z ironią.

- Kiedy znajdziemy się na Ziemi, będziemy mogli udowodnić nasze racje. O ile oczywiście potrafimy tam żyć.

- Wydaje mi się, że wówczas już nie będziecie mieli ochoty zajmować się tymi, którzy zostali na Księżycu - powiedziałem wstając.

W tej samej chwili drzwi otworzyły się z hukiem. Wtargnęło przez nie czterech uzbrojonych strażników. Spojrzałem ponad ich głowami. Z tyłu w korytarzu stał ten, który wyszedł w czasie mojej rozmowy z konspiratorami. Pozostali czterej, którzy rozmawiali ze mną, stali teraz jak sparaliżowani, patrząc na wymierzone w nich lufy.

- To oni? - jeden ze strażników rzucił pytanie w kierunku korytarza.

Donosiciel wśliznął się do pomieszczenia.

- Tak, to oni. Tylko ten to...

- Widzę przecież, że kosmonauta - burknął strażnik.

- Ty, Farro?... - wykrztusił albinos, który mnie tu przywiódł. - Od kiedy... byłeś?...

- Od niedawna - powiedział cicho ten, który sprowadził strażników. - Wiedziałem, że nic nie zdziałacie. Przestałem w to wierzyć. Wcześniej czy później i tak by nas wszystkich... A ja mam rodzinę, rozumiecie, żonę, dzieci...

- Nie tłumacz się - strażnik odepchnął go łokciem. - Wychodzić pojedynczo!

Dwóch strażników ustawiło się na korytarzu, dwaj zostali wewnątrz. Ruszyłem pierwszy ku drzwiom, a potem nie zatrzymując się poszedłem dalej korytarzem. Nie usiłowali mnie zawrócić, widocznie woleli nie zadzierać z naszą grupą. Słyszałem tylko, jak popędzali aresztowanych konspiratorów.

Utwierdzony w przekonaniu, że nikomu z mieszkańców Osiedla nie należy ufać, zmuszony byłem opierać swoje plany wyłącznie na współtowarzyszach z załogi. Na razie nie wiedziałem jeszcze, jak zdołam wydostać się z hermetycznie zamkniętego i strzeżonego Osiedla, nie posiadając nawet ubioru próżniowego. Zdawałem sobie jednak sprawę, że to właśnie - ów brak możliwości opuszczenia Osiedla - jest główną barierą, którą Rada traktuje jako gwarancję naszej bezsilności. Mając skafander, można by zaryzykować ucieczkę, wyrwać się stąd podstępem lub siłą, gdyby inne możliwości zawiodły.

Ustaliliśmy z Benem, że plan mojej ucieczki opracujemy sami i przedstawimy tylko Komandorowi. Im mniej osób znać będzie szczegóły, tym bezpieczniej. Jednak ucieczka nie mogłaby się odbyć bez współudziału pozostałych członków załogi. Postanowiliśmy ich wtajemniczyć tylko częściowo - o tyle, o ile było to konieczne.

Najpierw odbyliśmy dłuższą konsultację z Karsem, który był specjalistą od budownictwa. To on kierował pracami przy budowie naszych baz na planetach Dżety. Kiedy dowiedział się, o co nam chodzi, uśmiechnął się ironicznie.

- Telepatia czy co? - powiedział mrużąc jedno oko. - Jakbym przeczuł, że będziecie mnie o to pytali. Przez cały ostatni tydzień chodziłem po Osiedlu i oglądałem ściany... Niestety, sprawa jest dość poważna. Siedzimy w litej skale. Nie jest ona specjalnie twarda, lecz mamy nad głową prawie trzydziestometrową jej warstwę. Przypuszczam, że drażono to metodą mikroeksplozji. Tak się zwykle postępuje na planetach bez atmosfery gazowej, gdzie są kłopoty z urządzeniami pneumatycznymi. Sam kiedyś pracowałem tu, na Księżycu, przy budowie jednej niedużej stacji badawczej. Ale te podziemia - to przedsięwzięcie na wielką skalę. Domyślam się, jak rozwiązali problem transportu urobionej skały podczas rycia tak długich tuneli. Podejrzewam, że Śluza nie jest jedynym wejściem do Osiedla. Wiedzie z niej na górę pochyła sztolnia, pod dość małym kątem do poziomu. Zauważyliście to pewnie, gdy nas tutaj wieźli z lądowiska. Oprócz niej jednakże w różnych punktach, prawdopodobnie na końcach najszerszych korytarzy, musiały być jeszcze inne, pionowe lub skośne, którymi wyrzucano rozdrobnioną skałę bezpośrednio na powierzchnię. Próbowałem nawet sprawdzić tę hipotezę, lecz nie znalazłem podejrzanych miejsc w stropie żadnego z korytarzy. Przy okazji jednak odkryłem coś ciekawego. Otóż sufity korytarzy i pomieszczeń mieszkalnych, pokryte warstwą sztucznego tworzywa, maskują konstrukcję-nośną podtrzymującą prawdopodobnie podłogę wyższego poziomu. Próbowałem znaleźć przejście przez strop, lecz widocznie na ten drugi poziom wchodzi się z rejonu Śluzy. Odkryłem jednak miejsce, w którym niewielki fragment wykładziny sufitu wydał mi się nie połączony z sąsiednimi arkuszami. Chodźmy tam, sami zobaczycie...

Kars poprowadził nas przez kilka przejść i korytarzy aż do końca jednej z odnóg, dość ciemnej i najwyraźniej nie uczęszczanej. Świecąc latarką i potykając się o jakieś stare meble, zmagazynowane przy ścianach, doszliśmy do miejsca, gdzie wąski korytarzyk urwał się, kończąc się poprzeczną ścianką o nierównej powierzchni.

- W tym miejscu zaniechano dalszego drażenia korytarza - powiedział Kars, dotykając dłonią ściany. - Być może planowano rozbudowę, bo ściany nie wygładzono i nie pokryto wykładziną, a tylko natryskowo zabezpieczono warstwą jakiejś żywicy dla polepszenia szczelności. A tutaj - wskazał na strop - jest chyba jakiś właz.

Ben podsadził mnie, tak że mogłem dłońmi wesprzeć się o ten fragment sufitu. Pchnąłem płytę. Jedna jej strona uniosła się nieco, odsłaniając szparę wzdłuż linii łączących ją z sąsiednimi.

- Wyżej - powiedziałem do trzymającego mnie Bena.

Podstawił dłoń pod moją stopę. Chwyciłem za krawędź otworu, zawisłem przez chwilę na ugiętych rękach i wsunąłem się po pierś w zagłębienie stropu. Świecąc latarką, którą mi podali, rozejrzałem się po małej pustej niszy, a następnie bez trudu podciągnąłem moje niewiele tu ważące ciało jeszcze wyżej. Siedziałem teraz na skraju otworu, z nogami zwisającymi w dół. Głową prawie dotykałem metalowej pokrywy z zawiasami z jednej i otworem zamka z drugiej strony. Pokrywa miała kształt kwadratu i była szczelnie dopasowana do krawędzi otworu. Wlazłem cały do niszy, opuszczając płat wykładziny sufitowej na miejsce. Teraz z dołu nie byłem widoczny. Przytknąłem ucho do pokrywy. Z góry słychać było jednostajny szum.

- Co tam? - usłyszałem z dołu głos Bena.

- Kłapa. Zdaje się, że z lekkiego stopu, ale mocna. Zamknięta na klutz.

- Trzymaj!

Uchyliłem brzegu wykładziny pode mną. Ben podał mi palnik.

- Nosisz to ze sobą? - zdziwiłem się sięgając po narzędzie.

- Nigdy nie wiadomo, co się może przydać. Spróbuj przeciąć. Ale najpierw wypal jak najmniejszy otwór, na wylot. Tam może być próżnia! Jak zacnie gwizdać, to...

- Wiem, wiem. Tylko... nie będę miał czym zakorkować w razie czego...

- Byle nie palcem - zaśmiał się Ben - bo się sparzysz. Zaraz ci coś znajdę.

Odszedł w stronę stosu gratów, złożonych pod ścianą korytarza. Słyszałem, jak pomiędzy nimi grzebie, podczas gdy ja regulowałem szerokość strumienia plazmy w palniku.

- O! - powiedział nagle Ben, wydobywając jakiś przedmiot.

- Patrz, Kars!

Świecili latarką, oglądając coś z zaciekawieniem.

- Co z tym korkiem? - spytałem niecierpliwie.

- Masz, trzymaj!

Ben włożył do mojej opuszczonej z góry dłoni kawałek plastikowego obicia, oddarty z jakiegoś mebla. Zwinąłem go ciasno w rulonik.

- No, .co tam? - spytałem.

- Okazuje się, że nie tylko my chcemy stąd wiać. Ktoś tu studiuje nawigację.

W ręce Bena zobaczyłem znany mi dobrze stary podręcznik Mertena.

- Niedaleko z tym zaleci. To antyk! - powiedziałem.

- Ktoś go ukrył wśród starych mebli. Z zakładką na początku rozdziału "Wyznaczenie optymalnych kursów na trasie Ziemia-Księżyc"...

- Zostawcie to na miejscu. A teraz asekurujcie mnie, bo zaczynam - powiedziałem, zakrywając dokładnie otwór pode mną.

- Gdy zaczniemy głośno rozmawiać, przerwij i siedź cicho - powiedział Kars i obaj odeszli kilkanaście kroków.

Postukałem ostrożnie w pokrywę. Nie mogła być zbyt gruba. Przyłożyłem palnik ukośnie do jej powierzchni w pobliżu zamka i wcisnąłem spust. Igiełka fioletowego płomienia nakłuła metal, który błyskawicznie rozjarzył się białą plamką i ściekł w kilku kroplach. Płomień wniknął w głąb otworu. Za klapą nie było próżni, ciśnienie musiało być nawet nieco większe niż po tej samej stronie, bo zbliżywszy dłoń do otworu poczułem lekki wietrzyk. W tej samej chwili z dołu dobiegały mnie dwa podniesione głosy.

- Mówiłem ci, że nie tędy! Widzisz, to jest ślepy korytarz! - darł się Ben. - Leźliśmy niepotrzebnie taki kawał drogi.

- A niech to diabli - wtórował mu Kars. - Cholerny labirynt.

Do ich głosu dołączył trzeci. Pewnie spytali o drogę, bo zawile coś im tłumaczył. Słyszałem oddalające się kroki, lecz tkwiłem nadal w bezruchu. Okazało się, że słusznie... Wąska szczelina na złączeniu płyt pode mną rozświetliła się na chwilę, widocznie ktoś skierował na nią światło latarki. Po minucie usłyszałem, że odszedł, ale dopiero głos Bena, który wrócił po kwadransie, upewnił mnie, że mogę pracować dalej. Po odcięciu fragmentu pokrywy wraz z zamkiem uniosłem jej pozostałą część. Ostrożnie wyjrzałem z otworu. Na górnym poziomie było zupełnie ciemno. Powietrze było tu chłodne, przesycone ozonem. Włączyłem latarkę. Znajdowałem się w rogu rozległej, lecz niskiej hali. Ustawione w dwóch rzędach maszyny pracowały dość głośno. Przyjrzałem się... Wyglądały na pompy czy wentylatory napędzane silnikami elektrycznymi. W przeciwnym rogu hali stał duży, walcowaty zbiornik, pokryty białym szronem. Podeszedłem bliżej. Na siatce, która go ogradzała, zauważyłem tablicę ostrzegawczą: "Uwaga ciekłe powietrze". Była to chyba stacja uzdatniania powietrza. Krążące w obiegu zamkniętym powietrze Osiedla było tu oczyszczane, wzbogacane w tlen i tłoczone do układu nawiewnego. Poszukałem drzwi wejściowych. Były zamknięte od zewnątrz. Nadśluchiwałem przez chwilę pod nimi, lecz po drugiej stronie także szumiąły maszyny.

Wracając do wjazdu, którym fu wszedłem, przypadkowo skierowałem światło reflektora na wiszący na ścianie rząd srebrzystych cylindrów. Były to butle z dwutlenkiem węgla, połączone z kolektorem układu gaśniczego. System zaworów pozwalał na odłączenie każdej z nich z osobna. Kiedy na nie spojrzałem, nie wiedziałem jeszcze, do czego mogą mi posłużyć. To moja podświadomość zwróciła na nie uwagę. Odłączyłem dwie z nich. Przyjrzałem się gwintom. Teraz wiedziałem, że trzeba je zabrać. Sprawdziłem jeszcze wielkość ciśnienia próbnego wybitą na ich korpusach. Powinny wytrzymać - pomyślałem, niosąc je w kierunku wjazdu. - Tylko zawartość nie taka. Ale to nic.

Ben czekał na dole. Pokazałem mu butle. Obejrzał jedną.

- Dobra! - mruknął. - Ale.

- Tam jest ciekłe powietrze. Cały zbiornik.

- Świetnie! Z tym już można działać!

- Owszem. Potrzebna jeszcze tylko beczka po oleju! - powiedziałem.

Obaj parsknęliśmy śmiechem na wspomnienie tamtej historii. Kiedy opowiadaliśmy ją naszym towarzyszom po powrocie do bazy na Cleo, długo nie mogli uwierzyć, że ich nie nabieramy. Ale to była prawda, choć wydarzenie zakrawa na anegdotkę do opowiadania przy

butelce dobrego wina, w barze kosmoportu... Zdarzyło się to na planecie Cleo, gdy razem z Benem ustawialiśmy stację pomiarową w terenie dość odległym od naszej głównej bazy.

Na samotnym, niewysokim pagórku, pośród ciągnącej się dziesiątkami kilometrów kamienistej równiny, zbudowaliśmy hermetyczny "barak" z gotowych elementów przywiezionych tu śmigłowcem. Potem śmigłowiec wrócił do bazy, a my przystąpiliśmy do instalowania aparatury obserwacyjnej.

W odległości około kilometra od stacji, na równinie, stał nasz mały raketoplan, którym mieliśmy powrócić. Nie udało się niestety wylądować nim bliżej, ze względu na pochyłość terenu. Atmosfera planety była bardzo niesympatyczna. Zawarte w niej gazy działały dusząco, a ponadto drażniły skórę i błony śluzowe. We wnętrzu stacji, które napełniliśmy powietrzem, można było pracować bez ubiorów ochronnych, koniecznych na zewnątrz.

Podczas wyposażania stacji zdarzył się mały wypadek: spawając coś, Ben potknął się wśród porozstawianych na podłodze skrzynek i upadł wypuszczając z ręki palnik. Pech chciał, że jego skafander leżał właśnie w tym miejscu... Jednym słowem, powłoka ubioru została przepalona w kilku miejscach, nim Ben zdążył się pozbierać. Na szczęście nie było w pobliżu żadnych zapalnych materiałów.

Znaleźliśmy się w dość głupiej sytuacji: nie było zapasowego skafandra, a musieliśmy przecież obaj dotrzeć jakoś do raketoplanu, by wrócić do bazy. Poza tym radiostacja nie była jeszcze zainstalowana, antena nie postawiona, a cały sprzęt łączności leżał w skrzynce na zewnątrz baraku. Wszystko byłoby stosunkowo proste, gdyby udało mi się wyjść na zewnątrz. Mógłbym wówczas dotrzeć do raketoplanu, polecieć do bazy po nowy skafander albo próbować wznieść się dostatecznie wysoko i nawiązać łączność z bazą. Trwałoby to jednak dość długo, doliczając czas potrzebny dla przybycia pomocy. Były to wszakże możliwości czysto teoretyczne, bo z baraku wyjść nie mogłem, choć mój ubiór był w porządku: stacja nie posiadała śluzu... Była przewidziana do pracy bez obsługi, a osoby sporadycznie tu zaglądale mające posługiwać się ubiorami izolacyjnymi. Powietrzem napełniliśmy wnętrze tylko na czas wykonania prac montażowych, dla wygody. ..Aby wyjść teraz na zewnątrz, trzeba by rozhermetyzować pomieszczenie... A tego nie mogłem zrobić "ze względu na uszkodzony ubiór Bena. Siedzieliśmy więc w pułapce, bez możliwości wezwania pomocy. Czasem w ferworze pracy zapomina się o takich "drobiazgach" jak zabranie choć jednego zapasowego skafandra. Było to zresztą na początku pobytu w układzie Dżety, przed pierwszym wypadkiem śmiertelnym. Wtedy wydawało się nam jeszcze, że planety tego układu nie są dla nas specjalnie niebezpieczne, ufaliśmy naszej technice i nie braliśmy pod uwagę faktu, że niezależnie od działania zewnętrznych zagrożeń, sami sobie także możemy stwarzać niezamierzone a groźne sytuacje. Siedzieliśmy więc z Benem, nie bardzo jeszcze przestraszeni, ale pełni fantastycznych projektów wydobywania się z tej przygody. Padały różne pomysły, lecz żaden nie wytrzymał próby krytycznej analizy. Zaczynało się to przedłużać. Nasze butle miały ograniczoną pojemność i trzeba było liczyć się z ilością powietrza, która wyznaczała czas, w jakim musieliśmy się zmieścić, łącznie z lotem do bazy.

Wtedy właśnie przekonałem się, że proste środki są czasem o wiele skuteczniejsze od wymyślnych metod. Nie wiem, czyj był to pomysł, bo narodził się w czasie wymiany myśli, pośród różnych, w większości absurdalnych propozycji.

Wewnątrz stacji stała duża, plastikowa beczka. Była pusta, bo olejem silikonowym, który w niej przywieziono, napełniliśmy układ chłodzenia stosu energetycznego. Beczka miała dobrze dopasowaną, szczelną pokrywę.

Kiedy o tym pomyśleliśmy, reszta wydała się prosta: Ben wejdzie do beczki, a ja zamknę go tam, ubiorę się w skafander i otworzę wąż stacji, żeby wyjść... Tak. Ale... co dalej? Jak długo Ben wysiedzi w beczce, zanim się udusi? Obliczyliśmy, że krótko.... W każdym razie nie tyle, abym zdążył dotrzeć do raketoplanu, wznieść się w górę, nawiązać łączność, wylądować, wrócić, napełnić wnętrze stacji powietrzem i uwolnić Bena.

Znów zaczęliśmy szukać dobrego pomysłu... Następna wersja planu przewidywała, że Ben wejdzie do beczki z butlą sprężonego powietrza... No, tak... Ale co z powietrzem, które będzie wydychał? Wypuszczanie powietrza z butli wewnątrz beczki spowoduje wzrost ciśnienia, którego nie wytrzyma najpierw Ben, a potem - beczka... A poza tym zatruje się dwutlenkiem węgla...

Kolejna wersja była prawie idealna, lecz... nie dawała się zrealizować, co jest zresztą immanentną cechą idealnych rozwiązań. Otóż Ben mógłby po moim wyjściu i zamknięciu stacji sam wyjść z beczki, rozcinając ją po prostu od wewnątrz... Tylko że przedtem, wychodząc, musiałbym włączyć pompę, opróżniającą wnętrze stacji z trującej atmosfery'- a po jej wypompowaniu zostałyby próżnia, której nie zdołałbym, będąc na zewnątrz, zapełnić powietrzem... Zresztą pompowanie i napełnianie stacji powietrzem trwałoby zbyt długo...

Przytaczam te wszystkie nierealne pomysły, by wykazać, jakimi krętymi drogami myśli ludzkie dochodzą do prostych rozwiązań... Olśniło mnie po paru godzinach bezowocnych rozważań. "Stary!-- wykrzyknąłem nagle, waląc Bena w ramię. - Zakładaj ten dziurawy skafander i hełm na głowę, dołącz butlę do zaworu i włącz do beczki!"

W paru zdaniach wyjaśniłem mu mój projekt. Skrzywił się trochę, ale innego wyjścia nie było. Po chwili siedział w beczce, w którą się z trudem mieścił, a ja zamknąłem pokrywę. Zrobiliśmy próbę: ja patrzyłem na zegarek, a Ben, rozkręciwszy lekko i na krótko zawór butli, próbował normalnie oddychać. Wytrzymał około minuty, nim zapukał w ścianę beczki. Wtedy zwolniłem nieco pokrywę, powietrze zaczęło z lekkim sykiem uchodzić z beczki na zewnątrz, a Ben bardziej rozkręcił zawór. W ten sposób uchodzące powietrze nie dopuszczało do wtargnięcia atmosfery do beczki, a jej wnętrze "przewietrzało się" nieco, przepłukiwane świeżym podmuchem z butli. Nie będę opisywał naszej drogi do raketoplanu. Minęło prawie dwadzieścia pięć minut, nim doturlałem beczkę na miejsce, robiąc co pewien czas przystanki dla jej przewentylowania. Dla mnie to była fraszka, bo teren był pochyły i miejscami musiałem tylko uważać, żeby mi się przyjaciel za szybko nie staczał ze zbocza pagórka. Ale Ben... Dotarliśmy wreszcie do raketoplanu i udało mi się z niemałym trudem wpakować beczkę z zawartością do ładowni. Raketoplan miał służącą wejściową, więc mogłem od razu uwolnić Bena. Był bliski morskiej choroby, przyduszony i poobijany, bo teren, jak wspominałem, był kamienisty, a ściany beczki dość miękkie.

Opowiadaliśmy z dumą tę historię jako przykład zaradności dzielnych kosmonautów. Ben oczywiście na pewien czas został przezwany Diogenesem.

Butle z dwutlenkiem węgla, które wywołały z naszej pamięci to dawne wydarzenie, opróżniłem powoli, pozostawiając je lekko odkręcone w pomieszczeniu pompowni. Szum

maszyn zagłuszał syk uchodzącego gazu, a wentylatory szybko go wchłonęły. Następnie udało mi się wypełnić obie butle powietrzem. Nie było go zbyt dużo, bo musiałem ograniczyć się do ciśnienia, które wytrzymały butle. Potem, klucząc chyłkiem po korytarzach, udało nam się donieść je do naszych pokoi.

Na żądanie Komandora zgłosił się do nas delegat Rady. Nie był to tym razem staruszek, lecz mężczyzna w średnim wieku, przedstawiający się jako pełnomocnik Rady do spraw związanych z naszym pobytom w Osiedlu.

Komandor przekazał mu nasze życzenia.

- Moi ludzie mają już dość tej beczynności! - perorował głosem celowo podniesionym, gestykulując żywo przed nosem pełnomocnika. - Przywykli do intensywnej pracy, a tutaj skazuje się ich na przymusowe lenistwo. Zaczynają domagać się obowiązków, zajęć... Jeśli nie wyznaczycie im zadań, nie odpowiadam za dyscyplinę! Zaczną się buntować.

Pełnomocnik dał się nastraszyć. Następnego dnia kilkoro z nas wezwano do prostych zajęć porządkowe-organizacyjnych, a Pavo został nawet przydzielony do ekipy konserwatorów instalacji wewnętrznych, na górnym poziomie Osiedla. Po pierwszym dniu pracy wszyscy zgodnie orzekli, że najwyraźniej traktowani są jak piąte koło u wozu. Wynikało stąd, że w Osiedlu nie ma zbyt wiele do roboty, a pracę dla naszych towarzyszy Rada usiłuje "wymyślić" naprędce, by spełnić nasze żądania.

Chodziło nam oczywiście nie o pracę, lecz o możliwość zajrzenia do różnych, niedostępnych dotychczas zakamarków Osiedla. Po tygodniu już każdy z nas miał wyznaczone pewne niewielkie obowiązki. Mnie na przykład przypadł w udziale nadzór przy centrali łączności wewnętrznej. Roboty było oczywiście niewiele, a praktycznie nieraz przez cały dzień siedziałem z dyżurnym technikiem i nudziliśmy się obaj. Było mi to nawet na rękę, bo - po przełamaniu pierwszej nieufności - udało mi się stopniowo wciągać go do rozmowy. Unikałem tematów związanych z czymkolwiek poza samym życiem w Osiedlu. Pytałem o codzienne sprawy, a mój nowy znajomy coraz śmielej odpowiadał na pytania. Był to zupełnie młody chłopak, jak stwierdziłem niegłupi, lecz jak wszyscy tutaj, bardzo ostrożny w wypowiedaniu jakichkolwiek własnych sądów.

Starąłem się rozmawiać z nim na tematy ogólne, zahaczając o filozofię bytu, o sprawy życia i śmierci - by wreszcie, niepostrzeżenie, zadać w odpowiednim momencie właściwe pytanie. Dowiedziałem się od niego, że każdy mieszkaniec Osiedla posiada - określony w zasadzie do 60 lat - limit wieku. Po osiągnięciu tej granicy obowiązkiem każdego jest po prostu umrzeć, o ile nie uzyska oficjalnego przedłużenia terminu. Mówił o tym tak obojętnie, jakby chodziło rzeczywiście o przejście na emeryturę... Było to dla niego - jak dla wszystkich tutaj - tak samo oczywiste, jak dla nas - nieuchronność śmierci w wieku przeciętnie, powiedzmy, około osiemdziesiątki... Po zastanowieniu stwierdziłem, że właściwie różnica jest niewielka: polega tylko na bardziej precyzyjnym określeniu terminu. Tak jak my nie myślimy na co dzień o śmierci, oni także nie traktowali tego terminu jak miecza Damoklesa, który zatruwałby im codzienność.

Szczególne warunki kształtują szczególne konieczności, organizacja każdego typu społeczeństwa narzuca pewne ograniczenia. W przypadku społeczeństwa zamkniętego hermetycznie w Osiedlu, pozbawionego możliwości ekspansji na zewnątrz - a równocześnie

stawiającego przed sobą zadanie przetrwania przez szereg pokoleń - takie postawienie sprawy nie budziło jawnych sprzeciwów wśród członków tego społeczeństwa.

- Jak sądzisz? - spytałem mojego rozmówce. - Czy dla nas także zostanie określony limit wieku?

- Nie wiem. Może pozwolą wam zdecydować samodzielnie?

- Wydaje mi się, że w tych warunkach niektórzy z nas zrezygnują wkrótce z takiego życia - powiedziałem. - Wyobraź sobie: z otwartego Kosmosu prosto do takich lochów...

- Wszystko jest względne - uśmiechnął się blado. - Ja na przykład zupełnie nie wyobrażam sobie otwartej przestrzeni. Czuję się w niej chyba... ze wszystkich stron zagrożony.

- Ale przecież niektórzy z was muszą wychodzić na zewnątrz Osiedla.

- Tak, na przykład technicy od konserwacji ogniw słonecznych. Ale do takiej pracy trzeba mieć specjalne predyspozycje. A poza tym oni wychodzą tylko w nocy. Podobno w ciemności nie odczuwa się tego tak drastycznie.

Zanotowałem w pamięci ten ważny szczegół. A więc za dnia na zewnątrz nie powinno się spotkać lunantropów...

- Powiedz mi, co robicie z ciałami zmarłych?

- Są palone w krematorium.

- Czy... wiążą się z tym jakieś ceremonie?

- Raczej nie. Śmierć jest sprawą powszednią, naturalnym prawem i obowiązkiem człowieka... Ale jeśli ktoś chce, może asystować przy likwidacji zwłok. Miejsce gdzie się to odbywa, jest dostępne dla każdego...

- Czy mógłbym je zobaczyć? Chciałbym... wiedzieć, co mnie czeka. t.

- Czyżbyś zamierzał odejść na własną prośbę? - spytał tak obojętnie, jakby chodziło o zmianę adresu.

- Nie wiem jeszcze - odpowiedziałem, dostrajając się do jego tonu.

- Może to zrobię...

- Zaprowadzę cię tam po pracy. To niedaleko. Pomieszczenie przypominało kaplicę cmentarną, było tu nawet parę ławek dla uczestników ceremonii - widocznie w pierwszych pokoleniach zachowywano jeszcze pewien rytuał pogrzebowy. Trafiliśmy właśnie na przygotowania do "pogrzebu". Nieboszyk, przywieziony na małym wózku, leżał teraz w ukośnej rynnie, na wprost zamkniętych drzwiczek, przypominających wlot zsypu na odpadki... Opakowany był w worek z mlecznobiałej folii plastikowej. Oprócz człowieka obsługującego urządzenie pogrzebowe w pomieszczeniu była tylko jedna osoba - starsza kobieta, być może żona zmarłego. Wszystko odbyło się w milczeniu i beznamyślnie. Technik pociągnął za uchwyt drzwiczek, otworzył je, a następnie przechylił rynnę. Worek zsunął się w czeluść zsypu.

- Bardzo to proste - mruknąłem, gdy wyszliśmy.

- To tylko finał. Przedtem jeszcze stwierdza się oficjalnie zgon.

- Jak się to odbywa?

- Wózek z ciałem, zanim tu dotrze, przejeżdża przez komorę czujników. Na wypadek, gdyby to był na przykład, stan głębokiego letargu lub katalepsji... Ale to się raczej nie zdarza...

- Nie stwierdza tego urzędowy lekarz?

- Tu nie ma lekarzy. Są tylko automaty medyczne, komputery diagnostyczne...
- Taak... - powiedziałem. - Może to zrobię...
- Jak uważasz. To twoja osobista sprawa - powiedział obojętnie.

Pavo pracował na górnym poziomie. Okazało się, że aby się tam dostać, nie trzeba było przechodzić przez rejon Śluzy. Wejście znajdowało się, w jednym z pomieszczeń pierwszego poziomu. Było to pomieszczenie wymiennika ciepła, gdzie nikt zazwyczaj nie przebywał. Drzwi z korytarza były zamknięte, lecz klucz do nich miał każdy upoważniony do przebywania na górze. Pavo klucza nie otrzymał. Na górny poziom prowadził go zawsze jeden z zatrudnionych tam konserwatorów. Z dolnego pomieszczenia biegł ku górze szeroki szyb z krętymi schodami. Schody kończyły się wprawdzie o piętro wyżej, lecz szyb biegł dalej w górę. Na jego wewnętrznej powierzchni wisiała metalowa drabinka, sięgająca - jak zauważył Pavo - do poprzecznej przegrody, zamykającej szyb o kilka metrów wyżej.

- Nie wystarczy, że wydostaniesz się z Osiedla. Wszystko musi być przeprowadzone w ten sposób - mówił Komandor - aby oni nie dowiedzieli się, że kogoś z nas brakuje. To musi być podstawowe założenie całego przedsięwzięcia.

- Postaramy się - powiedziałem i przedstawiłem dowódcy moją propozycję.

Słuchał z uwagą, pytając o różne szczegóły, wytknął parę drobnych niedociągnięć, ale w rezultacie zaakceptował nasz plan. Następnego dnia przystąpiliśmy do realizacji pierwszej jego części.

Z samego rana Komandor połączył się z pełnomocnikiem Rady i w wielkim wzburzeniu wygłosił długą przemowę. Słuchałem jej leżąc w ciasnym, małym pokoiku przylegającym do kabiny Komandora.

- Macie już pierwsze rezultaty waszej decyzji! - grzmiał Komandor do wideofonu. - Jeden z moich ludzi odebrał sobie życie! To wasza wina! Jak można zamykać w lochach ludzi przywykłych do swobody, do kosmicznych bezkresów, do działania, ruchu, wolności! To hańba! Człowiek, który zniósł tyle trudów, wyszedł cało z tylu niebezpieczeństw, nie załamywał się nerwowo w żadnej sytuacji - teraz, tutaj, w tej waszej przeklętej norze rezygnuje z dalszej egzystencji!

Mówił jeszcze dość długo, w tym samym duchu i tonie. Pełnomocnik słuchał cierpliwie i pokornie, nie chcąc widocznie komplikować i tak napiętej sytuacji. Potem obiecał przysłać pracowników służby porządkowej w celu przygotowania pogrzebu.

Ben i Luza pracowali w służbie porządkowej i mieli za zadanie rozwożenie po poszczególnych mieszkaniach świeżo upranej odzieży i pościeli. W czasie gdy Komandor beształ pełnomocnika, z przeznaczonych do prania kombinezonów roboczych i prześcieradeł sporządzili zupełnie niezłą kukłę, którą zapakowali w plastikowy worek. (Worki takie, jak się okazało, w większych ilościach znajdowały się w nie zamkniętym schowku obok "kaplicy pogrzebowej"). Następnie Luza wpadła do pomieszczenia pogrzebowego i bez wstępów nawrzeszczała na znajdującego się tam pracownika za to, że ma brudny kombinezon. Potem, jak na zawołanie, rozpląkała się i chlipiąc w klapy owego brudnego kombinezonu wyjaśniła, że dziś właśnie zmarł jeden z jej towarzyszy, więc należy jej wybaczyć brak opanowania, bo

po prostu chciałyby, aby uroczystości pogrzebowe miały należytą oprawę. Skołowany technik bez protestów przyjął od Luzy czyste ubranie i poszedł się przebrać.

Tych kilku minut wystarczyło. Ben wziął pod pachę paczkę z nieboszczykiem, przygotowanym do pogrzebu, zastępując go kukłą w plastikowym worku, i ulotnił się ze zdobyczą ukrytą pod stertami bielizny na wózku.

Dwóch pracowników służby porządkowej wtoczyło długi wózek do pokoju Komandora. Jeden z nich trzymał w ręce plastikowy worek. - Co to jest? - ryknął Komandor, wyszarpując mu worek z garści.

- W tym chcecie spalić członka mojej załogi? O, nie! Ja do tego nie dopuszczę! Czy wiecie, jaki obyczaj panuje od wieków wśród nas, kosmonautów? Zmarłego towarzysza ubiera się w jego skafander próżniowy. Nie odstąpię od tego! Ma tu być zaraz jego skafander! Inaczej nie będzie pogrzebu! Każdy z nas życzy sobie odbyć ostatnią podróż w pełnym rynsztunku kosmicznym!

Zaskoczeni lunantropi wycofali się pospiesznie. Po chwili w wideofonie zjawił się pełnomocnik. Próbował coś perswadować Komandorowi, lecz ten nie dał mu dojść do słowa, więc zrezygnował z oporu. Nie minęło pół godziny i przyszli ponownie dwaj "grabarze" ze skafandrem. Jak się o spodziewaliśmy, nie było przy nim butli. Tym razem jednak grabarzom towarzyszyło jeszcze dwóch - najwyraźniej byli to strażnicy przebrani za służbę porządkową, bo ich podejrzenie świeże kombinezony jakoś nienaturalnie odstawały na piersiach. Widocznie polecono im dopilnować, by skafander został spalony wraz z ciałem... Byliśmy na to przygotowani. Ukradziony nieboszczyk był już ubrany w makietę hełmu, owinięty szmatami w sposób imitujący skafander i zapakowany w nieprzejrzysty worek. Na nim to właśnie, przykrytym dodatkowo poduszkami, jak na katafalku przez cały czas leżałem w małym pokoiku w mieszkaniu Komandora.

Byłem odpowiednio ucharakteryzowany, ze sztuczną bledością na twarzy, z wstrzykniętym dezaktywnym, który właśnie zaczynał działać. Ostatnim wysiłkiem świadomości wzdrygnąłem się na myśl, że coś się może nie udać.

Udało się... Resztę powiedzieli mi koledzy po moim "pogrzebie".

Kradzieży sprawdzonego już nieboszczyka nikt nie zauważył i kukła powędrowała do pieca. W przyniesiony skafander koledzy ubrali mnie, nieprzytomnego, na oczach zaglądających przez drzwi strażników. Teraz nastąpiła kulminacja całej ceremonii. Ben i Pavo zaciągnęli wartę honorową, a Komandor wygłosił mowę pogrzebową tak przekonująco, że obie koleżanki z załogi "Heliosa" autentycznie płakały. Podobno nikt nigdy nie słyszał tylu pochwał, ile padło z ust Komandora pod moim adresem. Cała załoga oczywiście wepchnęła się do małego pomieszczenia (którego metraż też był wkalkulowany do naszego planu), wypychając siłą rzeczy lunantropów za drzwi i skutecznie uniemożliwiając im obserwację, moich "zwłok". W czasie ceremonii wciągnięto na mnie plastikowy worek, a gdy Komandor skończył mowę, wszyscy hurmem ruszyli ku drzwiom, odpychając od nich czterech funkcjonariuszy porządkowych, którzy - będąc niewysokiego wzrostu - stracili na chwilę wszelką kontrolę nad domniemanym nieboszczykiem. Ta chwila wystarczyła, abym znalazł się pod prześcieradłem i poduszkami, na których dotąd spoczywałem, a worek z prawdziwym

zmarłym, niesiony przez Bena i Pava, powędrował na wózek. Dalej wszystko poszło gładko, bo dla automatu kontrolnego worek zawierał rzeczywiście martwe ciało. Strażnicy bacznie śledzili dalsze losy "skafandra" z zawartością i nikt nie interesował się mną, leżącym pod stertą poduszek...

W ten sposób zakończył się pierwszy etap mojej ucieczki. Odtąd już nie było mnie w Osiedlu Luna I. Teoretycznie...

Kars był prawie pewien, że sztolnie, którymi wydobywano urobek podczas drażenia korytarzy Osiedla, przebiegały ukośnie; jego fachowość była niepodważalna, a argumenty przekonywały mnie i Bena.

- Przy tego typu pracach stosuje się dwie metody: materiał skalny usuwa się windą skipową w pionowym szybie albo przenośnikiem taśmowym. Przy płtykach robotach, jak na tym Osiedlu, taśmociąg jest znacznie bardziej dogodnym środkiem, bo działa w sposób nieprzerwany. Z rachunku ekonomicznego wynika, że jest także w tym przypadku tańszy, choć wymaga dłuższej sztolni. Ale tu, przy słabej grawitacji, kąt pochylenia taśmociągu może być większy, więc i chodnik nie tak długi...

- Mam nadzieje, inżynierze - przerwał jego wywody Ben - że w kilkadziesiąt lat po naszym odlocie, gdy to budowano, zasady rachunku ekonomicznego nie uległy zasadniczym zmianom.

- Niewątpliwie.

- Dobrze. Przyjmuje, że sztolnie są ukośne - powiedziałem. - Jak sądzisz Kars, co zrobiono z tym chodnikiem po zakończeniu prac ziemnych?

- Posłużył do transportu na dół elementów maszyn i urządzeń. Montaż przeprowadzono jeszcze przed hermetyzacją podziemi, a więc można było swobodnie korzystać ze wszystkich wejść, a na pewno nie opłacało się wlec ciężkich i dużych elementów przez całe podziemia, od głównego wejścia. Potem szyby pomocnicze zasklepiono...

- Na górze czy na dole?

- Myślę, że z obu stron.

- A może tylko u dołu, a od góry zasypano? - podsunął Ben.

- Zbędna robota. A poza tym zawsze muszą istnieć awaryjne wyjścia, drogi ewakuacyjne. Zgodnie z przepisami bezpieczeństwa, które obowiązywały za naszych czasów, taki awaryjny wyład powinien posiadać z obu końców 'otwierające się zawory.

- No, dobrze. Przypuśćmy, że i tu zastosowano się do przepisów - a więc uda się otworzyć dolną pokrywę. Czego należy spodziewać się wewnątrz? Próżni?

- Raczej powietrza pod normalnym ciśnieniem.

- Przecież to prawie śluza!

- Tak, bierna śluza, bez pomp. Pozwala na przejście w obie strony, ale tylko pomiędzy obszarem wypełnionym powietrzem a próżnią. W atmosferach gazowych...

- Rozumiem. Ale wobec tego nie pojmuję, dlaczego oni tak pilnują Śluzy, a na te szyby nie zwracają uwagi...

- Tu nie chodzi o Śluzę, tylko o skafandry. W rejonie głównego wejścia zgromadzili wszystkie, jakie są w Osiedlu.

- Ciekawe, ile ich tu mają.

- Pewnie niewiele.

- Zatem ewakuacja mieszkańców i tak nie byłaby możliwa.

- Wszystkich naraz - na pewno nie. Myślę, że przy zasiedlaniu przywieziono ludzi prosto z pokładu statku w zbiorowych hermetycznych pojemnikach. Musiano tę operację powtarzać wielokrotnie. Tak samo można by sobie wyobrazić sposób opuszczania Osiedla.

Ben podsumował nasze rozważania.

- Radzę dobrze naładować baterię od palnika plazmowego. Na pewno przyspawali pokrywę, żeby jakiś terrorysta nie zagroził rozhermetyzowaniem Osiedla!

Według naszych obliczeń na powierzchni kończył się właśnie długi księżycowy dzień - najdogodniejsza pora dla przeprowadzenia zamierzonej operacji.

Wyekwipowany do wyjścia, w nie nadętym jeszcze ubiorze kompensacyjnym, z hełmem pod pachą i palnikiem w dłoni ukryłem się w łaźni dla personelu konserwatorskiego, o kilkanaście metrów od drzwi, wiodących poprzez pomieszczenie wymiennika ciepła na górny poziom Osiedla.

Słyszałem kroki nadchodzących. Niby przypadkowe puknięcie w drzwi, za którymi byłem ukryty, oznajmiło mi, że minął je Pavo, udający się do pracy z ekipą konserwatorską.

Czekałem nadśluchując. Równocześnie z trzaśnięciem drzwi rozległa się syrena pożarowa. A więc Ben wypełnił swoją rolę: płonący wiecheć naoliwionych szmat wylądował w którymś z pobliskich magazynów odzieży.

Z głośnika, w przerwach między sygnałami syreny, dało się słyszeć donośne nawoływanie automatu: "Pożar w sektorze B-3! Pracownicy sektorów B-1, 2 i 3 natychmiast do akcji!"

Tupot nóg na korytarzu, a po kilku sekundach - ponowne stuknięcie w drzwi. To znowu Pavo.

- Można - powiedział, gdy uchyliłem drzwi.

Spojrzałem w obie strony korytarza. Po lewej gęste kłęby dymu zasnuły cały odcinek między mną i miejscem pożaru. W dymie uwijało się kilka postaci.

- Tędy - popchnął mnie Pavo.

Drzwi do wymiennika były tylko przymknięte. Pavo schylił się i podniósł jakiś drobny przedmiot, zabezpieczający je przed samoczynnym zatrzaśnięciem. W hałasie syreny trudno było usłyszeć brzęczek sygnalizujący, że nie są domknięte.

- Staralem się wybiec ostatni - wyjaśnił.

Odszedł szybko w kierunku gaszących pożar, a ja, zatrzasnąwszy drzwi, pobiegłem w górę po krętych schodach, tłukąc po drodze jedyną lampę ścienną oświetlającą to miejsce. Po omacku znalazłem pierwszy szczebel drabinki zwisającej wzdłuż ściany szybu i wtykając na głowę hełm, który mi przeszkadzał, wspiałem się o kilka metrów wyżej. Hełm zderzył się z poziomą przegrodą. Zapaliłem ręczny reflektor, by obejrzeć płytę nade mną, lecz natychmiast musiałem go zgasić. W dole słyhać już było głosy powracających techników.

Trochę za krótki był ten pożar - pomyślałem.

Technicy z ekipy Pava byli tego samego zdania.

- No i po pożarze! A tak ładnie się paliło! - powiedział z żalem jeden, przechodząc tuż pode mną, uwieszonym u szczytu drabinki.

- Tu nie ma się co palić. Wszystko trudnopalne! - westchnął drugi.

Uświadomiłem sobie, że lunantropi właściwie nigdy nie mają okazji oglądać prawdziwego otwartego ognia. Pamiętam, jaką radość sprawiło nam pierwsze ognisko, rozpalone na Dorii po wylądowaniu... Jak cudownie strzelały w niebo snopy iskier z płonących suchych badyli miejscowych roślin! Cieszyliśmy się jak malcy, bo przez wiele miesięcy w podróży i potem, na planetach bez atmosfery tlenowej i roślinności, nie widywaliśmy ognia oprócz płomyka zapalniczki, którą Komandor zapalał swą fajkę...

- Lampa zgasała - zauważył któryś, potykając się na schodkach.

- Zaraz wymienię - zaoferował się Pavo, pozostając za nimi. Poszli dalej. Gdy ich kroki umilkły, usłyszałem stłumiony głos Pava.

- Jak tam?...

- Ciemno, zaraz popatrzę.

Zapaliłem latarkę. W płycie była kolistą kłapa, przytwierdzona zawiasami i czterema nakrętkami o dźwigniowych uchwytach. Ponadto, zgodnie z przewidywaniami Bena, kłapę zabezpieczono dodatkowo dwiema sztabkami metalu, przyspawanymi na krzyż do płyty.

- Cztery śruby i cztery cięcia - powiedziałem do Pava, próbując poruszyć jedną z nakrętek. Poszła.

Następne też ruszyły się bez oporu. Były dobrze nasmarowane.

- Pięć minut roboty - powiedziałem.

- Pospiesz się. Idę po lampę.

Nim wrócił, kłapa zwisała na zawiasach, a ja siedziałem już po drugiej stronie. Kars miał rację. W sztolni było powietrze. Jej kąt nachylenia wynosił około połowy radiana.

- Trzymaj!

Podąłem Pavowi przez otwór dwie sztabki i ścisnęliśmy sobie dłonie.

- Przyspawaj to w wolnej chwili. Może się nie zorientują.

- Trzymaj się! - mruknął. - Zazdroszczę ci. Przyślij widokówkę!

Zamknął od dołu kłapę. Usłyszałem chrobot nakrętek i jeszcze jedno pożegnalne stuknięcie w metal.

Odetchnąłem głęboko zimnym, stęchłym nieco powietrzem sztolni. Odnalazłem w nim zapach metalu, smarów, przegrzanej izolacji przewodów - wszystko to, co kojarzyło się ze statkiem, z maszynownią, a dalej - ze swobodą otwartego Kosmosu.

Biegnąc prawie, wielkimi susami dotarłem do szczytu sztolni. Górna pokrywa nie była nawet zaspawana.

Jakie to proste - pomyślałem. - Aż trudno uwierzyć! Jak skomplikowane byłoby, gdybym był tu zdany na samego siebie... Wyciągnę ich stamtąd, wszystkich, całą załogę. Muszę. Jestem im winien co najmniej tyle... - powtarzałem w myślach, by zagłuszyć inną myśl, wyłazącą z zakamarków podświadomości.

Odpowietrznik. Świst ulatującego powietrza. Ładny ucisk wypełniających się komór skafandra. Nakrętka... Druga... Trzecia... Czwarta...

Dopiero teraz, gdy rakieta znalazła się na trajektorii bezwładnego lotu ku Ziemi, poczułem się wolny. Uczucie to trwało zaledwie krótką chwilę. Odprężony, bezwładnie rozparty w fotelu,

nie potrafiłem stłumić w sobie głosu sumienia. Oszukaliśmy lunantropów. Wprowadziliśmy w życie śmiały plan ucieczki. Na pozór wszystko było w porządku... Na pozór. Bo wiedziałem dobrze, że ponad wszystkie motywy, kierujące mną od chwili uwięzienia nas w Lunie, wybijał się jeden, najbardziej osobisty, prywatny, egoistyczny...

Czułem się winien wobec pozostałych. Wiedziałem, że to nie ja, lecz którykolwiek z nich powinien teraz lecieć w kierunku Ziemi. Moje myśli pochłonięte były przede wszystkim pragnieniem odnalezienia cylindra. Czy spełnię, obok tego, nadzieję moich współtowarzyszy? Czy powrócę, by wydobyć ich stamtąd? Nie byłem tego pewien. Trudno będzie coś dla nich zrobić. Nie mogłem odeprzeć wrażenia, że zostawiłem ich tam na zawsze, bez szans...

Jak niespodziewanie może się odmienić człowiek, postawiony wobec trudnego wyboru. Tam, na planetach Dzeta nigdy nie wahaliśmy się nieść pomocy naszym towarzyszom. Ryzykowaliśmy życiem dla ratowania życia, nawet wówczas, gdy najbardziej prawdopodobnym wynikiem naszej akcji mógł być tylko pogrzeb... Czyżby tutaj, w Układzie Słonecznym, obowiązywała inna skala wartości? Czy zmieniłem się tak bardzo z chwilą powrotu? Skąd wypełzł nagle egoizm, przez tyle lat spętany poczuciem solidarności?

A może tam, zdani tylko na siebie nawzajem, kierowaliśmy się także egoizmem w pozornie uszlachetnionej formie: dziś ja tobie, jutro ty mnie pomożesz w potrzebie...

Nie, zbyt to przygnębiające, by było prawdą. Więc dlaczego teraz uciekam ku własnym celom, pomoc dla kolegów traktując tylko jako pretekst? W samotności długich dni powrotnego lotu ku Ziemi napływały myśli i obrazy, do których nie wracałem przedtem...

Wtedy, na Belli, było ich pięciu. Wyruszyli do jednej ze stacji pomiarowych, dość odległej od głównej bazy. Planeta nie objawiła dotychczas żadnych wrogich nam właściwości. Czuli się bezpieczni. Mieli wrócić za kilkanaście godzin. Grupą dowodził Dawe. To on opowiedział mi tę historię o wiele później; na krótko przedtem, nim bez wieści zaginął na Ario-nie. Nie było mnie tam, lecz słuchając Dawego, tworzyłem w wyobraźni własną wizję wydarzeń, jak gdybym w tym uczestniczył jako jeden z nich.

Na progu komory stał Dawe. Pozostali, stojąc lub siedząc w jej wnętrzu, dyszeli jeszcze ciężko po gwałtownym wysiłku. Patrzyli na niego poprzez szkło hełmów.

- Połączyłem się. Już wyruszają. Przyjadą tutaj drugim moverem...

Przerwał na chwilę, jakby nie chciał płoszyć ogników nadziei, które zapłonęły w skierowanych na niego spojrzeniach. Przymknął oczy i powiedział jednym tchem:

- Nie nastąpi to jednak wcześniej niż za cztery godziny. Zrozumieli wszyscy. Każdy z nich miał przecież na ustach to nie zadane pytanie: "kiedy?", i to tylko lek przed prawdą kazał im milczeć.

- To znaczy... - powiedział po chwili Lukas.

- Nie starczy! - przerwał mu gwałtownie Eber, cofając się pod ścianę komory i kurczowo obejmując zawieszony na piersi zbiornik ciekłego powietrza.

- Spokojnie! - powiedział Dawe ostro. - Niech każdy sprawdzi, ile ma...

- Na dwie godziny... - powiedział cicho Leman, unosząc głowę znad wskaźnika.

- Prawie na trzy - mruknął Eber.

- Dwie i pół - powiedział Lukas obojętnie, nie otwierając oczu. Dawe przeniósł wzrok na czwartego, lecz Seuga milczał, skulony w odległym kącie komory.

- Seuga! - wrzasnął Dawe. - Mówi się do ciebie! Zgięty kark Seugi wyprostował się powoli, a przez szkło hełmu błysnęły złowrogie rozszerzone oczy.

- Nie dam! - wychrypiął nie swoim głosem. - Nic was nie obchodzi, ile mam...

Dawe postąpił dwa kroki w jego stronę, lecz Seuga wyszarpnął pistolet i skierował na dowódcę.

- A więc bant? - powiedział Dawe spokojnym głosem, choć twarz nabiegła mu krwią. - Dobrze. Ja mam na trzy godziny.

- Nie zdążą... - westchnął Leman. - Ja umrę pierwszy, potem Lukas, Eber i ty, Dawe. Tamta świnia dożyje - wskazał głową w kąt, na Seugę. - Świnia zawsze się wywinie. To się nazywa: "mieć szczęście"... Wiem, że ma co najmniej na cztery.

- Nieprawda! - Seuga zaproteutował ostro, gwałtownie. - Nie na całe cztery... Zresztą, oni mogą się opóźnić.

- Dość! - uciał Dawe. - Przypominam, że zapas każdego obliczony jest na stan pasywny organizmu. Wszelki ruch, a nawet emocje psychiczne, poważnie skracają...

- ... nasze życie! - dokończył Lukas cierpko. - Myślę jednak, że to nie ma znaczenia. I tak żaden z nas nie doczeka pomocy. Można właściwie zasygnalizować im, że nie muszą się śpieszyć.

- Nie! - warknął Seuga, podrywając się na nogi. - Nie zrobisz tego!

Lukas popatrzył bezmyślnie na wylot skierowanej w jego stronę broni, potem na wykrzywioną dziko twarz Seugi.

- Na twoją usilną prośbę... - wycedził - nie zrobię tego. Nie musisz mnie jednak straszyć bronią. Ja przecież i tak umrę, a ty przeżyjesz i wrócisz do bazy. Jako morderca nie będziesz tam mile widziany...

Seuga opadł na swoje miejsce. Leman, jakby chcąc się ostatecznie przekonać, ile godzin życia pozostało mu jeszcze, spojrzął na wskaźnik i powiedział głośno:

- Właściwie mogę wam od razu oddać moją butlę... Dwie godziny to dla mnie żadna różnica, a wam... może starczy, aby przetrzymać.. .

Seuga spojrzął bystro w jego stronę. Leman położył dłoń na zaworze.

- Daj! - wysyczał Seuga wyciągając dłoń.

- Ty masz dosyć. Masz i tak najwięcej.

- Im nie pomoże, a ja...

Dawe ujął przegub Lemana i zdjął jego dłoń z zaworu.

- Nie trzeba - powiedział. - Będziesz oddychał, dopóki ci starczy. Potem dam ci połowę mojego zapasu.

- Dlaczego?! - ryknął Seuga. - To jego sprawa! Po co ma zużyć powietrze skoro i tak umrze. Mnie potrzeba jeszcze tylko pół godziny, rozumiesz? Chcesz, abym umarł? Ty... ty morderco... Pozwól mu oddać butlę. Podzielimy się sprawiedliwie, na czterech... No, powiedzcie! - spojrzął w kierunku pozostałych, rozpaczliwie szukając poparcia.

Lukas siedział z oczami wbitymi w ziemię. Eber uśmiechnął się szyderczo.

- Sprawiedliwie, mówisz... - mruknął przymykając oczy. - Bo tobie tyle wystarczy. Tobie brakuje na pół godziny, by potem żyć. Dla nas jednak te pół godziny oznacza tylko późniejszą śmierć. Piękny przykład przechodzenia ilości w jakość.

- Nie będzie żadnych takich rzeczy! - powiedział Dawe ostro. - Słyszysz, Leman? Nic nikomu nie oddasz. Co najwyżej... ja oddam połowę mojego zapasu, gdy twój się skończy. To, co każdy z nas ma w butli, nie jest jego prywatną własnością. Powinniśmy podzielić cały zapas na pięć równych części...

- Bzdura! - warknął Seuga z kąta. - Wszystko razem nawet dla czterech nie starczy. Mamy zapas na czternaście i pół godziny...

- Czternaście i pół godziny do podziału między pięciu... - powiedział melancholijnie Lukas. - Po niecałe trzy godziny na łebka.

- Powiedziałem, że nawet na czterech za mało, by doczekać pomocy! - krzyczał Seuga. - Wyzdychamy wszyscy, razem albo po kolei!

- Więc wyzdychamy... - zgodził się Leman.

- Nie każdemu jest tak wszystko jedno jak tobie! - Seuga poderwał się gwałtownie z podłogi.

- Trzech mogłoby tym oddychać przez niespełna pięć godzin. Gdyby pozostali dwaj oddali swoje butle natychmiast.

Lukas wyprostował się i oparty plecami o stalową przegrodę komory, wlepił spojrzenie w miotającego się Seugę.

- Chcesz powiedzieć, że dwóch z nas już w tej chwili niepotrzebnie marnuje powietrze... Dwóch, to znaczy ja i Leman, tak?

- A może wylosujemy tych dwóch? - rzucił Eber, obserwując bacznie twarz Seugi, który na te słowa zareagował nagłym skurczeniem dłoni na butli. - Tak będzie jeszcze sprawiedliwiej, nie sądzisz?

- Nie... - burknął Seuga. - Co mam, to moje.

- A wiesz, dlaczego masz najwięcej z nas? - ciągnął Eber, podchodząc do Seugi i odpychając w bok lufę jego pistoletu. - Bo kiedy my torowaliśmy dostęp do radiostacji, zużywając nadmierne ilości powietrza, ty leżałeś sobie na wznak i oddychałeś równiutko, oszczędnie... Z tą twoją przytłuczoną nogą, to też, zdaje się, niezupełnie prawda.

- Odejdź... - Seuga wpił lufę w brzuch Ebera. Dłoń trzęsła mu się lekko. - Odsuń się, bo...

- Zostaw go Eber - powiedział Dawe półgłosem. - Kłócąc się skracamy sobie życie. Usiądźcie spokojnie i wyregulujcie zawory na minimalny wypływ.

Pokładli się pod ścianami, od czasu do czasu tylko rzucając bystre spojrzenia na Seugę, który czuwał w napięciu, nie wypuszczając broni z ręki.

- Mam tu kilka ampułek dezaktywności - ciągnął Dawe, sięgając do kieszeni skafandra. - Gdyby udało się zrobić zastrzyki, moglibyśmy jakoś wytrzymać cztery godziny. We śnie zużywa się znacznie mniej powietrza. Obawiam się tylko, że... nie potrafimy tego wstrzyknąć. Nie można roz-hermetyzować skafandrów, to oznaczałoby śmierć w ciągu kilku minut. Co o tym sądzisz, Leman?

- To samo, co ty... - mruknął niechętnie zapytany. - Przestań wyszukiwać nowych nadziei. Sam wiesz, że nic się nie da zrobić...

- Może... śluza? - zaczął Eber. - Może uda się uszczelnić komorę śluzy i wypełnić ją częścią powietrza z którejś butli... No, powiedzmy, z każdej po trochu... I tam zrobimy zastrzyki?

- Nie ma jak wyprzeć atmosfery ze śluzy - przypomniał Dawe. - Pompy nie działają. Poza tym nie wiem, czy wystarczyłoby powietrza na jej napełnienie.

Opadli znów bezsilnie na podłogę, oddychając powoli, jakby z rozmysłem wciągając w płuca każdy haust cennego powietrza.

- Zresztą - powiedział Eber po chwili - ten bydlak pozarzynałby nas we śnie i zabrał nasze butle... A swoją drogą ciekaw jestem, ile on ma naprawdę...

Seuga nie zareagował tym razem, rzucił tylko nienawistne spojrzenie w stronę Ebra i przewrócił się na wznak patrząc w sufit.

- Pójdę jeszcze raz - powiedział Dawe wstając.

- Dokąd? Do radiostacji? - zainteresował się Lukas. - Przedstaw im nasze położenie, niech przynajmniej wiedzą...

Lufa pistoletu Seugi powędrowała nieznacznie w stronę Dawego. _ Nie - powiedział Dawe. - Idę na zewnątrz, może jednak...

- Nie oszukuj się, do magazynu tamtędy nie dotrzesz. - Lukas oparł głowę na zgiętym łokciu, twarzą zwrócony ku podłodze. - Zostań.

- Po co masz tracić powietrze w ruchu? - zatroszczył się niespodziewanie Seuga. - Siedź, Dawe, i nie ruszaj się. Spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

- Zostań! - powiedział głośniej, gdy Dawe zniknął w otworze wjazdu.

Dowódca ogarnął wzrokiem mętniejący krajobraz. Niskie chmury przesłaniały słońce. Łagodne obrzeża krateru srebrzyły się żyłkami wilgoci, spływającej po zboczu. Odwrócił się i spojrzał na żleb, którym sześć godzin temu zeszła owa nieszczęsna lawina.

Wrak movera sterczał tak samo, jak ujrzeli go, gdy ogłuszeni i przerażeni wybiegli z przedsionka stacji. To był po prostu cud, że nie zdążyli jeszcze dotrzeć do jej wnętrza... Rzeka poszarpanych głazów, która runęła na strop i przerywając go wdarła się do komór składowych, zasypała doszczętnie wszystko. Wybuch w magazynie chemicznym dokonał reszty i tylko komora wejściowa - jakby na urągowisko - pozostała nietknięta... Mover dostał tylko jednym odłamem, ale tak nieszczęśliwie, że zbiorniki ciekłego tlenu pękły natychmiast i zalały wszystko spienionym, lodowatym wrzątkiem. Patrząc na to myśleli tylko o jednym: co z radiostacją? Niezachwiana wiara w to, że wystarczy wezwać pomocy, by ją otrzymać, kazała im własnymi rękami rozgrzebywać pogięte płyty i osłony... Radiostacja dała się uruchomić...

Dawe przypominał sobie to wszystko, jakby od tego czasu minęła nieskończoność. Spojrzał na zegarek, potem na wskaźnik powietrza. Odczytał z nich - jak wyrok śmierci - że pozostały jeszcze trzy godziny do przybycia pomocy. Dla niego jednak zostało zaledwie dwie i pół... Pomyślał o innych, którzy mieli przed sobą jeszcze mniej, i westchnął. Jakże są spokojni mimo tej nieubłaganej świadomości końca... Cóż, właściwie przeżyli to już nieraz w wyobraźni, nim tu przybyli. Teraz nie pozostało nic innego, jak czekać i nie myśleć już o niczym. Tylko ten Seuga... Jakże zawodne są jednak wszelkie metody badań psychologicznych! Załamał się, stał się agresywny... Trudno mu się jednak dziwić: obrona własnego życia to przecież najnormalniejszy odruch psychiki ludzkiej, odartej ze wszystkiego innego. Nie każdy ma predyspozycje na bohatera. Tylko. .. skąd u niego ta nagła troska o mnie? - pomyślał przypomniawszy sobie ostatnie słowa Seugi.

Spojrzał na pusty horyzont, jakby raz jeszcze chciał się upewnić, czy spodziewana pomoc jakimś nadprzyrodzonym cudem nie przybędzie wcześniej. Nagła myśl poraziła go w chwili,

gdy obchodził rumowisko po osypanej lawinie. Zawrócił szybko w kierunku wejścia do komory. Stanąwszy w drzwiach wyprostował się i powiedział:

- Od południa zbliża się jakiś pojazd..

Seuga zerwał się pierwszy, za nim Eber. Dawe nie usunął się jednak z wąskiego przejścia i uderzywszy Seugę ramieniem wyrwał mu pistolet. Leman nie podniósł nawet głowy, a Lukas spojrzął z niedowierzaniem.

- Stać! - powiedział Dawe. - Przepraszam was, koledzy. Musiałem to zrobić...

Potrząsnął pistoletem i odepchnął Seuge. Eber wrócił na swoje miejsce i usiadł, kiwając głową ze zrozumieniem.

- Musiałem to zrobić - powtórzył Dawe. - Jego troskliwość o mnie zmusiła mnie do tego. Wiecie, o co mu chodziło? Dlaczego tak mu zależało na moim zapasie powietrza? Bo obliczył sobie, że gdy was... już nie będzie, on zostanie ze mną. Każdy z nas będzie miał powietrza na pół godziny, a pomoc przybędzie za godzinę. Rozumiecie?

- Ach, ty... gadzie... - syknął Seuga, drżąc z wściekłości. - W ten sposób ty masz teraz pistolet!

- Nie - powiedział Dawe spokojnie opróżniając magazynek. Zebrał ładunki na dłoń i cisnął je w stronę Seugi, który pełzając na czworakach pozbierał wszystkie i przeliczywszy ukrył w kieszeni.

- Teraz nikt nie będzie strzelał. - Dawe zatknął pistolet za pas.

- On jest silniejszy od ciebie, Dawe. Zabije cię rękami, to szalenie... - powiedział Lukas cicho.

- Wiem - skinął głową Dawe. - Dlatego też... zamieńmy butle, Leman! Ty mu się nie dasz! Niech przynajmniej... Leman! - Leman leżał bez ruchu. Oawe skoczył w jego kierunku, lecz zderzył się z Seugą, który także spostrzegł to samo: butla Lemana była zakręcona, wskaźnik dopływu powietrza pokazywał zero.

- Puść - krzyknął Seuga, gdy Dawe drżącą dłonią próbował odkręcić zawór. - Skoro już to sam zrobił...

- Precz! - warknął Dawe. - On jeszcze żyje!

- Zostaw go! - Seuga szarpał dłoń dowódcy. - Zostaw go, to jego sprawa! Nie puszczaj powietrza, jemu już nic nie pomoże, a ja... a my...

Eber chwycił go z tyłu za ramiona i rozciągnął na podłodze. Szamotali się przez chwilę. Dawe rozkręcił zawór, ale Leman naprawdę już nie żył.

- Zaoszczędził dla nas... zapas na półtorej godziny... - powiedział Dawe wstając i oglądając wskaźnik trzymanej w dłoniach butli. - Lukas, weźmiesz dwie trzecie. Eber resztę.

- Daj spokój... - powiedział Lukas. - Już się przyzwyczailem... do tej myśli, że... ja następny. To wystarczy dla was dwóch, dociągniecie na tym do czterech godzin...

- Nas jest trzech! - przypomniał Seuga.

- Weźcie to wy, Dawe i Eber. Przeżyjcie tego drania... - powtórzył Lukas.

- Nie - powiedział twardo Dawe. - Zrobicie, jak powiedziałem. To rozkaz. W ten sposób będziemy mieli wszyscy jednakowy zapas... Przy oszczędnym oddychaniu mamy pewne szansę...

- A kto ci powiedział, że oni będą tu za trzy godziny? - burknął Seuga, sadowiąc się z dala od innych. - Może przylecą za pięć?

Seuga patrzył z niepokojem na zegarek. Minęło już dość czasu, by tamci, leżący bez ruchu pod ścianami, wyczerpali swój zapas... Czy żyli jeszcze? Seuga bał się zbliżyć, by to sprawdzić... Pomoc powinna nadejść lada chwila... Co zrobić? Jeśli żyją jeszcze jakimś cudem, jeśli choć jednego da się uratować, opowie o wszystkim... O pistolecie i o hysterii Seugi... Pistolet sterczał zza pasa Dawego. Seuga zmacał w kieszeni ładunki. Wystarczyłoby... Ale to na nic... Jak wytłumaczy tamtym...

Teraz, a gdyby tak... wetknąć potem pistolet w dłoń Lemana? On zmarł przez uduszenie. Można by powiedzieć, że dostał szał i strzelał na oślep, gdy on, Seuga, wyszedł na chwilę z komory... Ale to na nic: gdyby Leman strzelał, to zabrałby potem pełne jeszcze zbiorniki pomordowanych i sam by przeżył. Nie uwierzą w takie karkołomne wyjaśnienie. Mogą zresztą stwierdzić, w jakiej kolejności umierali...

Seuga spojrział na wskaźnik swojej butli. Miał jeszcze zapas na półtorej godziny... Myśleli, że ma tyle samo, co oni. Miał półtoragodzinną nadwyżkę... Gdyby im oddał wtedy po te pół godziny, teraz umieraliby wszyscy razem - usprawiedliwił się przed samym sobą.

Jeśli jednak tamci... przyjdą za kilka minut i znajdą mnie z taką ilością ciekłego powietrza, podczas gdy reszta ma puste zbiorniki?..,

Wrota wjazdu zgrzytnęły ostro. Wpadliśmy wlokąc za sobą nosze, utleniacze i hermetyczne pojemniki ratunkowe. Na wprost wejścia, rozplaszczony plecami na stalowej ścianie, stał Seuga. Rozszerzonymi oczami patrzył w podłogę, dłonie zaciskał na kranie butli. Przed nim, na stalowej płycie, wrzało błękitne jeziorko szybko parującego ciekłego powietrza...

Uratowaliśmy wtedy trzech. Na Belli pozostali Leman i Eber... Dawe zaginał później na Arionie. Lukas powrócił, jest teraz w Osiedlu, a Seuga... W kilka miesięcy później runął w przepaść w górach planety Cleo. W brawurowym podejściu śpieszył na pomoc, ku przełęcz, gdzie rozbił się wirolot z trzyosobową załogą. Byłem jednym z tej trójki...

CZĘŚĆ DRUGA

MIASTO

Zejsście z orbity zaplanowałem bardzo starannie. Chcąc zaoszczędzić sobie poprawek kursu i manewrów w pobliżu powierzchni, wyznaczyłem dokładnie punkt lądowania, na tyle bliski miasta, by dotrzeć tam pieszo w czasie co najwyżej kilku godzin. Nie miałem przecież pojęcia, czy będę mógł liczyć na jakiegokolwiek środki komunikacji naziemnej.

Rakieta weszła w atmosferę, milczące dotąd czujniki temperatury powłoki niskim buczeniem zasygnalizowały obecność rozrzedzonych gazów. Sprawdziłem prędkość. Była zgodna z programem, pozostawiłem więc automatowi kontrole lotu i obserwowałem ekran, po którym przesuwały się kontury znajomych kontynentów. Oceany i morza miały tę samą barwę, jaką zapamiętałem z moich lotów orbitalnych. Tylko lądy wyglądały jakoś inaczej. Pokrywały je rozległe plamy matowej czerni. Sprawiało to przykre wrażenie - jak widok pogorzelska... Brakowało mi także na tej widzianej z wysoka mapie niektórych rzek i jezior. Miasta - te największe, widoczne z tej wysokości - wyglądały jak rozgrzebane kopce mrowisk... Wszystko to przemikało pode mną z taką szybkością, że trudno było przyjrzeć się dokładniej szczegółom krajobrazu. Ponadto dość obfite zachmurzenie utrudniało obserwacje. Oderwałem oczy od ekranu. Czujniki temperatury gwizdały na wysokim tonie, chwilami niepewnie zapalały się i gasły jasnoczerwone lampki sygnalizujące granicę niebezpiecznego przegrzania powłoki.

Automat włączył stabilizatory i pomocnicze dysze manewrowe. Obraz powierzchni Ziemi zniknął z ekranu, przesłonięty warstwą kłębiastych obłoków. Nagle ekran zgasł. To kamera skryła swą kwarcową źrenicę pod powieką płyty osłonowej. Krótko zadźwięczał sygnał przekroczenia temperatury, lecz niemal równocześnie huknęły na pełnym ciągu hamowania główne dysze silników. Promień szperacza, omiatający powierzchnię aż po daleki horyzont, sygnalizował przeszkodę, która na ekranie radaru zarysowała się jako grupa regularnych prostopadłościennych brył. Poza tym teren był płaski i gładki. Przełączyłem silniki na ręczne sterowanie i ująłem dźwignię ciągu. Nie potrafiłem odmówić sobie przyjemności własnoręcznego posadzenia rakiety na tej właśnie planecie; podobnie zresztą, jak robiłem to wielokrotnie na innych, zupełnie innych... Stabilizatory włączyły się, by ustawić raketę w pionie. Śledziłem teraz tylko wskaźnik odchylenia i wysokościomierz. Schodziłem po batalistycznej aż do tysiąca metrów, mając pod sobą gładką równię. Przy tysiącu zredukowałem napęd i przeszedłem na bardziej stromą parabolę, by po chwili na pełnej mocy stanąć nad samą powierzchnią, z jasnożółtym płomieniem liżącym grunt pod rufą. Włączyła się kamera wizyjna, pokazująca poprzez rozedrgane, gorące powietrze panoramiczny obraz terenu, na którym lądowałem. Był jednolicie czarny. Gdyby nie odbicie promienia radarowego lokatora, można by sądzić, że rakieta zawisała nad bezdenną otchłanią...

Zmniejszyłem ciąg, rakieta osunęła się niżej i po chwili przeciążenie wprasowało mnie w fotel. Silniki zgasły, wyłączone przez samoczynny układ bezpieczeństwa, połączony z dynamometrami wsporników amortyzujących. Kilka sekund trwała gonitwa świateł wskaźników, zanim na ekranie zapłonął zielony napis "koniec lądowania". Rakieta stała pewnie, z niespełna dwustopniowym odchyleniem od pionu, a więc niemal idealnie.

Przez kilka minut nie ruszałem się z fotela, pogrążony w paraliżującym bezwładzie. Wiedziałem, że to nie ciążenie obezwładnia mnie w tym momencie. W pewnej chwili miałem nawet niedorzeczne pragnienie włączyć automat startowy i poderwać raketę w przestrzeń, uciec stąd dokądkolwiek...

Z nawyku, a może także po części z powodu sprzeczności i niejasnej informacji, jakimi uraczono mnie na Księżycu, włączyłem analizator środowiska. Odpowiedział czerwonym sygnałem, a po chwili wyrzucił z drukarki odcinek taśmy z szeregiem liczb i symboli.

Spojrzałem na nie przelotnie. Dotyczyły składu atmosfery na zewnątrz. Była przesycona substancjami trującymi o niewielkim stężeniu. Arsen, selen, tlenki metali... Odczekałem jeszcze kilka minut i ponownie uruchomiłem analizator. Tym razem w pobranej próbce powietrza było tego wszystkiego znacznie mniej... Odetchnąłem z ulgą. Jasne! Znałem to zjawisko, choć nie spodziewałem się go tutaj, na Ziemi. Płomień silników trafił na materiał zawierający te wszystkie składniki, powodując termiczny rozkład i odparowanie niektórych substancji. Wystarczy cierpliwie poczekać, aż grunt ostygnie, a wiatr przewieje nieco przytrutą atmosferę wokół rakiety.

Ciekawe na czym właściwie usiadłem? - pomyślałem wpatrując się w ekran, ukazujący gładką jak stół, czarną powierzchnię rozciągającą się dokoła, jak okiem sięgnąć. Przypomniałem sobie wielkie czarne plamy pokrywające lądy widziane z orbity. Widocznie wylądowałem na obszarze takiej plamy.

Po niespełna półgodzinie analizator uznał atmosferę za nieszkodliwą, uruchomiłem więc wentylację dla wyrównania ciśnień. Napływające z zewnątrz powietrze zawierało jeszcze nikły ślad obcego zapachu, mieszaniny selenu-wodoru, spalenizny i czegoś tam jeszcze.

Wciągnąłem mój stary, znoszony kombinezon roboczy i przepasałem się pasem od skafandra, za który zatknąłem porażacz. Przez ramię przewiesiłem torbę wypchaną wszystkim, co wydało mi się przydatne w mojej wyprawie. Tak wyekwipowany stanąłem w klatce podnośnika, by po chwili wynurzyć się wraz z nią z otwartego luku.

Czarna płaszczyzna, w miarę jak zbliżałem się do niej, stawała się układanką z sześciobocznych jednakowych płytek, ułożonych precyzyjnie jak kamienna posadzka. Płomienie moich dysz wytopiły w niej prawie regularne koło o promieniu kilkudziesięciu metrów. Wyrwa odsłaniała zwykły, piaszczysty grunt. Jej brzegi, pozwijane i spływające szarymi soplami, wznosiły się o kilkadziesiąt centymetrów nad poziomem gruntu, wskazując misterne rusztowanie w postaci kratownicy cienkich prętów czy rurek, na których wsparte były płytki. Brzegi płytek nie przylegały do siebie, tworząc w powierzchni mozaiki sieć szczelin.

Zeskoczyłem z platformy windy na osłonięty grunt przy wsporniku rakiety. Rozgarnąłem butem szare strzępy żużla - pozostałość stopionej i spalonej konstrukcji - i sięgnąłem dłonią, by dotknąć piasku. Był jeszcze dość ciepły. Zacerpnąłem go pełną garścią i zbliżyłem do oczu. Tak, to był ten sam, niepowtarzalny, zapamiętany od dzieciństwa, szarozółty piasek z równin mojego kraju, mojej planety... Nigdzie, na żadnej z planet Dżety nie widziałem podobnego. Ten piasek był pierwszą rzeczą, której tu dotknąłem, nie zmienioną po dwustu latach nieobecności.

Domyśliłem się, czym była ta aksamitna czerń wokół mnie. Już skład atmosfery po lądowaniu powinien był mi to podpowiedzieć. Wylądowałem wśród pola - doskonale pochłaniających wszelką energię promienistą - fotoogniw, a może bardziej jeszcze skomplikowanych elementów przetwarzających energię słoneczną... W co? W elektryczność? A może. .. Tak, to możliwe! To wielkie obszary czerni zamiast dawnej zieleni... Zieleń pochłania tylko czerwoną część widma, a więc stosunkowo niewiele spośród całej dostępnej energii dostarczonej przez słońce. Czerń pochłania wszystko. A ponadto z pochłoniętej energii roślinność zużywa zaledwie setną część dla wytwarzania produktów fotosyntezy. Plon z

jednego hektara uprawnego pola zawiera więc tylko maleńki ułamek energii, jaką Słońce dostarczyło tej powierzchni w okresie wegetacji roślin. A czarna płyta fotoogniw pochłania i przetwarza prawie całą energię! Z punktu widzenia wykorzystania energii słonecznej przeznaczenie dobrze nasłonecznionych obszarów pod uprawę roślin jest oczywistym, nie budzącym wątpliwości marnotrawstwem! Rzecz jasna, pod warunkiem opanowania wydajnej technologii produkcji żywności syntetycznej przy użyciu energii elektrycznej. Czyżby udało im się to osiągnąć?

Spojrzałem wokół, ogarniając wzrokiem lekko falistą równinę. Na północno-zachodnim horyzoncie, pod nisko nawisłymi chmurami majaczyło lekkie wybrzuszenie, jakby zarys rozległego wzgórza. Sięgnąłem po lornetkę. W jej szklach jednolity kontur zbocza rozpadł się w graniaste ziarna, odsłaniając swą nieciągłą, jakby krystaliczną strukturę.

Zrozumiałem. To właśnie było Miasto, do którego zmierzałem. Wyglądało, jakby zbudowano je na wzgórzu. Ale to nie mogło być wzgórze! Pamiętałem dokładnie topografię tego miejsca, jego położenia na dwóch brzegach rzeki, wśród równiny. Jednak to było ono, bez wątpienia. Wybrzuszyło się, nabrzmiało jak bąbel na oparzonej skórze. Wzniosło się soczewkowatym obrzmieniem ponad linię horyzontu, opuchły wrzód na ciele planety, gromadzący to wszystko, co okazało się zbędne, a nawet niepożądane wkoło, na tej równinie pozbawionej wszelkiego życia, pokrytej czarną powłoką chłonącą światło... Światło, które pozwalało żyć temu tworowi i zapewne wielu innym, podobnym. Pozwalało żyć za darmo...

Zabrzmiały mi w uszach słowa usłyszane tam, na Księżycu: że zapewniono minimum warunków życia, że nie pozostawiono na łasce losu... Humanitarnie. Moralnie. Przyzwoicie... Lata spędzone w układzie Dżety nauczyły mnie widzieć i rozumieć. Mój krótki pobyt w Lunie I potwierdził moją wiedzę i doświadczenie. Wiem, co potrzebne jest rozumnej istocie - oprócz "minimum warunków"...

Za sobą, gdzieś nisko nad ziemią, usłyszałem cichy warkot silnika. Spojrzałem tam. Mały punkt, zbliżający się szybko, rozwijał się w kształt pojazdu powietrznego przypominającego śmigłowiec. Wskoczyłem na platformę podnośnika i podjechałem w górę, w stronę luku. Zatrzymałem windę w trzech czwartych wysokości i z dłonią na dźwigni, gotów w każdej chwili skryć się za osłoną pancierza rakiety, czekałem.

Maszyna zbliżała się niskim lotem. Czyżby przybyli do mnie? Widocznie zauważyli moje lądowanie - pomyślałem.

Spod brzucha śmigłowca wydeły się cztery baloniaste poduszki pneumatyczne amortyzatorów. Pojazd delikatnie usiadł na powierzchni fotoogniw. Jego śmigło wirowało nadal, pewnie dla odciążenia podłoża. Właz z dolnej części kadłuba rozwarł się, wyrzucając z wnętrza dwie małe postacie na cienkich, obutych w miękkie przyłgi kończynach. Gdy zbliżały się do brzegu wyrwy, wśród której stała moja rakieta, dostrzegłem metaliczny pobłysk ich panczerzy. To były automaty.

Nie interesując się rakieta, jeden z nich metodycznie obszedł brzeg wyrwy, obmacując nawisłe strzępy stopionych płytek. Drugi przemierzył w poprzek wypalone kolisko, przechodząc obojętnie pomiędzy wspornikami rakiety, jakby krokami mierzył średnicę ubytku. Po chwili oba przystąpiły do systematycznego usuwania szczątków uszkodzonych płytek, składając złom na stertę w pobliżu śmigłowca.

Po oczyszczeniu brzegów wyrwy automaty zniknęły we wnętrzu pojazdu, by po chwili wywlec z niego kilka skrzyń, wypełnionych elementami do naprawy uszkodzenia. Jeden z robotów wprawnymi ruchami uzupełnił ubytki konstrukcji wsporczej, jakby cerując wyrwę ażurową siatką prętów. Drugi układał płytki.

Patrzyłem na ich pracę z rosnącą ciekawością. Interesowało mnie, co zrobią, gdy dotrą do zarytych w gruncie wsporników mojej rakiety.

Nie zrobiły nic szczególnego. Po bezskutecznych próbach usunięcia przeszkody po prostu obudowały każdy ze wsporników dokoła tak dokładnie, że po zakończeniu pracy rakietą wyglądała, jakby brodziła po kostki w czarnym tuszu.

Automaty starannie pozbierały zniszczone płytki, załadowały je do skrzyń i wniosły do śmigłowca, który wzniósł się i płasko poszybował w kierunku, z którego przybył.

Moja rakietą, moje przybycie, ja sam wreszcie - wszystko to nie miało znaczenia, nie zostało zauważone. Automatyczny system naprawczy szybko i sprawnie usuwał przypadkowe szkody, nie analizując ich przyczyn...

Zablokowałem właz rakiety i opuściłem się windą na powierzchnię świeżo położonych płytek. Powoli ruszyłem w stronę mglistego wzgórza na horyzoncie.

Rozglądając się po bezkresnej gładkiej pustyni, w myślach poszukiwałem sensu tego, co zaczynało jawić się tutaj moim oczom. Jakże obłudnie konsekwentni byliśmy zawsze w realizacji naszych planów - my, ludzie związani z techniką, nauką, postępem... A wszystko zaczynało się od humanistycznych, głębokich uzasadnień: wszystko dla człowieka, w imię ludzkości... A potem w ferworze realizacji szczytnych celów, ucieleśniając swe zbawienne pomysły, czyniliśmy zadość swym ambicjom, nie umiając położyć w odpowiedniej chwili rozsądnej granicy naszym poczynaniom... Wtedy okazało się, że wiemy, czego potrzebuje ludzkość, lepiej niż ona sama... Lekceważyliśmy interesy i pragnienia pojedynczych ludzi, podporządkowując je rzekomym interesom całej społeczności. A równocześnie - kształtowaliśmy nieomal siłą owe "interesy całości" - naginając je do potrzeby samorealizacji wybitnych jednostek...

Mało kto potrafił zrezygnować z wprowadzenia w życie własnego i we własnym mniemaniu doskonałego pomysłu, tając sam przed sobą lub po prostu pomijając w rozważaniach perspektywiczne skutki swej działalności.

Chlubnym wyjątkiem, jednym chyba jaki znam, był van Troff... Mimo wszystkich gorzkich słów, które pod jego adresem cisną mi się na usta - nie mogę odmówić mu jednego: poczucia proporcji, umiejętności pytania samego siebie o sens własnych poczynań.

Przekonałem się o tym raz jeszcze przed startem naszej wyprawy. Może właśnie to przekonanie o jego odpowiedzialności za własne słowa i czyny przechyliło w końcu szalę i uległem sile jego sugestii...

Na parę tygodni przed odlotem do Dżety udało mi się odwiedzić van Troffa w Instytucie, gdzie nadal prowadził swoje prace, choć już od kilku lat nie wykładał.

Znalazłem go w małym pokoiku, który zajął jako emerytowany profesor, ustępując miejsca nowemu kierownikowi zespołu. Siedział przed końcówką systemu komputerowego. Na ekranie przelewały się zielonkawe linie, tworzące misterną siatkę złożonych brył,

przecinających się nawzajem i zmieniających w czasie. Prześwidrował mnie wzrokiem spod nawisłych gęstych brwi, uśmiechnął się i wskazał krzesło. Przez następną godzinę musiałem cierpliwie słuchać. Nie wszystko, co mówił, docierało do mojej świadomości. Chwilami traciłem wątek, a przez cały czas nie potrafiłem odgadnąć celu tego wykładu.

- Czy zdarzyło ci się kiedyś, młody przyjacielu, zrobić coś zupełnie niepotrzebnego? Bo mnie przytrafiło się to właśnie. Dziś, blisko mojej mety, widzę to zupełnie jasno. To, na co poświęciłem pół życia, jest mi właściwie niepotrzebne... Aż drugiej strony trudno powiedzieć, by mi się nie udało.

Zrobił przerwę, zamyślił się wpatrzony w zielony obraz na ekranie, po czym wyłączył monitor i ciągnął dalej:

- Wszyscy znają mnie jako teoretyka... A moją prawdziwą pasją był zawsze eksperyment fizyczny... Jednakże, jak wiesz, różnie bywa z zastosowaniem teorii fizycznych. Nigdy nie wiadomo, ile dobrego, a ile złego przyniesie nadanie im formy materialnej, technicznej... A potem mówi się o odpowiedzialności uczonych... W tej sytuacji nie zrezygnowałem wprawdzie z eksperymentowania, lecz... robiłem doświadczenia sam, w tajemnicy i na własny użytek... Jeśli można to nazwać użytkowaniem...

Chyba miałem rację, nie publikując ani podstaw teoretycznych, ani wyników eksperymentu. Nie oznacza to, że moje odkrycie mogłoby być zgubne w skutkach. Ono jest po prostu nieprzydatne, choć pozornie otwiera niezwykle możliwości... Może gdybym miał przed sobą drugie życie czy choćby dalszych pięćdziesiąt lat, doprowadziłbym sprawę do końca. Wszystko, co osiągnąłem, to być może nawet - ta łatwiejsza połowa odkrycia... Ale czasu mam już niewiele, a wśród moich następców nie widzę nikogo, komu z całym zaufaniem mógłbym przekazać to zagadnienie i tę... zabawkę, którą zrobiłem. Bo to wreszcie tylko zabawka...

Pamiętaj, że czasu oszukać się nie da. Każdy z nas ma swój własny, sobie przypisany czas życia i nie może go przekroczyć. Można co najwyżej odroczyć ostateczny termin, ale to nie oznacza przedłużenia życia. Hibernacja, loty podświetlne... Cóż to innego, jeśli nie odroczenie terminu? Czy lecąc do Dżety z podświetlną prędkością i w hibernatorze przeżyjesz choćby o dzień dłużej, niż gdybyś pozostał tutaj? Nie biorąc pod uwagę oczywiście innych okoliczności, wpływających na długość twojego życia, tu czy tam... Podróżować w czasie można - jak dotychczas - tylko naprzód i to w ramach biologicznych możliwości organizmu. Ilość i czas trwania "przerw w podróży" nie wpływają na dystans, jaki efektywnie przebywa każdy z nas - od urodzenia do śmierci...

Van Troff mówił wtedy jeszcze o innych sprawach, o teorii grawitacji, modelach czasoprzestrzeni - a ja ciągle nie mogłem pojąć, do czego zmierza. Potem zjechaliśmy windą do piwnic budynku. "Mefi" prowadził mnie ciemnymi korytarzami, schodziliśmy jeszcze niżej do dalszych kondygnacji piwnic, o której istnieniu nawet nie wiedziałem. Wreszcie u kresu ślepego korytarza van Troff zatrzymał się, wsunął dłoń w szparę stropu i po chwili betonowy blok przed nami obrócił się nieco, ukazując ciasną komórkę, z której biegły w dół, w głąb wąskiego szybu, metalowe spiralne schodki. Gdy stanęliśmy u ich szczytu, profesor ręcznie obrócił betonowy blok. Świecąc latarką, zaczął zstępować w dół. Poszedłem za nim...

Szyb miał kilkanaście metrów głębokości. Schodki kończyły się w stożkowej niszy. W środku stalowej płyty podłogi widniała okrągła kłapa z uchwytem.

- To jest właśnie ten g a d g e t... - powiedział van Troff podnosząc kłapę. Od kolistego włazu biegła w dół metalowa drabinka, niknąc w ciemnej czeluści. - Zdejmij zegarek.

Odpiąłem z przegubu mój elektroniczny chronometr. Profesor wziął go ode mnie. Z kieszeni wyjął kłębek nici i odmotął kilka metrów. Do jednego końca przywiązał mój zegarek, drugi owinął sobie wokół palca.

- Popatrz! - przyłożył mój zegarek do swojego. Czerwone cyferki na obu czasomierzach zmieniały się w identycznym rytmie, pokazując ten czas z dokładnością do jednej sekundy.

Van Troff opuścił ostrożnie w otwór włazu uwiązany na nitce zegarek i zamknął kłapę.

- Zaczekamy chwilę - powiedział, patrząc na mnie ze swym szatańskim uśmiechem.

Gdy upłynęło około minuty, odchylił kłapę i wyciągnął mój zegarek.

- No i co powiesz? - spytał kładąc znów mój zegarek na przegubie, obok swojego.

Mój niezawodny, astronautyczny chronometr późnił się o minutę i kilka sekund...

Po godzinie marszu - dość uciążliwego, bo płytki podłoża okazały się śliskie i szedłem po nich jak po tafli lodowiska - dotarłem do szerokiej, dwupasmowej autostrady, przecinającej prostą wstęgą czarną płaszczyznę. Szosa była pokryta warstwą białego asfaltu, podzielonego czarnymi o liniami na pasy ruchu. Stałem przez długą chwilę na skraju autostrady, lecz w żadnym kierunku nie przejechał po niej choćby jeden pojazd. Ruszyłem skrajem asfaltowego pasma w stronę miasta. Teraz szło się znacznie lepiej. Krajobraz nie zmieniał się, tylko wypukłość wzgórza przede mną rysowała się coraz wyraźniej. Po kilku dalszych kilometrach dostrzegłem pojawiające się po obu stronach autostrady, w pewnej od niej odległości, niskie zabudowania, wynurzające się spośród zielonych krzewów.

Jest tu jednak jakaś roślinność - pomyślałem i ucieszyła mnie ta myśl. Zszedłem z szosy i na przełaj przez czarną taflę ruszyłem w kierunku jasnego budynku ukrytego częściowo za żywopłotem.

Już z odległości dwustu metrów dostrzegłem, że krzewy są tylko nad miarę wybujałym zielskiem ponad siatkowy parkan, pod którym kończyła się czarna płyta. Zbliżyłem się do furtki wiszącej na przerdzewiałych zawiasach i otworzyłem ją. Przebijając się przez kłębowisko łądyg i liści dotarłem do betonowego podjazdu przed budynkiem. Willa była w stanie kompletnej dewastacji, ze szmatami i tekturą w oknach, z widocznymi uszkodzeniami dachu i ścian. Wyglądała na dawno opuszczoną.

Wewnątrz było ciemno, tylko przez szpary zasłoniętych okien wnikało nieco światła. Zapaliłem ręczny reflektor. W pomieszczeniach, do których wchodziłem przez powyłamywane lub otwarte drzwi, było pusto. Tylko gdzieniegdzie poniewierały się szczątki połamanych mebli ze sztucznych tworzyw, jakieś szmaty, strzępy plastikowej folii. Wnętrza wyglądały na splądrowane i celowo zdewastowane.

Wróciłem na autostradę. Ściemniało się; sylweta miasta, widoczna teraz w postaci spiętrzonego kopca różnokształtnych brył, odcinała się od fioletoworóżowych obłoków, podświetlonych zapadłym za widnokrąg słońcem. Jasna smuga autostrady rozwidlała się przede mną, wbiegając po pochyłości dwiema odnogami na wysoką estakadę i łącząc się z

poprzecznie biegnącą obwodnicą. W prawo, jeszcze na poziomie gruntu, odgałęziała się od pasma, którym przybyłem, lokalna wąska droga dojazdowa. Gdy w nią skręciłem, za moimi plecami prawie bezszelestnie przemknął po autostradzie duży pojazd, rozświetlając przed sobą kilkudziesięciometrowy odcinek drogi. Zdziwiłem się, że nie dostrzegłem wcześniej jego świateł, choć chwilę przedtem oglądałem się za siebie.

Odnoga szosy wiodła w kierunku zwartej masy zieleni, w której widać było zabudowania podobne do willi napotkanej poprzednio. One też wyglądały na zapuszczone i niezamieszkałe. Droga zmieniała się w ulicę biegnącą między parkanami, przez które przelewała się bujna roślinność. Wokoło panowała doskonała cisza. Mrok gęstniał szybko, wiszące nad ulicą lampy nie świeciły. Idąc środkiem jezdni usłyszałem chrzęst pod butami. W świetle latarki zabłyśły szkliste okruchy. Spojrzałem w górę. Wisząca nade mną oprawa oświetleniowa była pusta.

Kolejno mijane latarnie były tak samo potłuczone. Ulica tonęła w gęstniejącym mroku. Szedłem szpalerem ciemniejszego po obu stronach zielska, zza którego wystawały zarysy budynków. W żadnym oknie nie zauważyłem nawet odbłasku światła, jakby to przedmieście wielkiej aglomeracji wymarło ze szczętem.

Ulica skręcała nieco w prawo. Zza zakrętu wyłonił się odcinek oświetlony kilkoma lampami. Na środku ulicy stał pojazd z zapalonymi światłami pozycyjnymi. Z górnej jego części wybiegał długi wysięgnik, dotykający wiszącej lampy. Po chwili lampa zajaśniała, wysięgnik opuścił się nieco, a pojazd ruszył w kierunku kolejnej nieczynnej latarni. Usunąłem się z drogi pod parkan, obserwując mijający mnie wóz techniczny. Nie było w nim nikogo, widocznie był to pojazd automatyczny.

Ruszyłem dalej, idąc teraz pod parkanami, skrajem oświetlonej ulicy. Automat naprawczy pozostał o kilkaset metrów za mną. Przede mną jaśniały równym rzędem naprawione latarnie. Nagle, prawie nad moją głową, rozległ się brzęk i wystrzał pękającej lampy. Najbliższa latarnia zgasła, a wraz z deszczem szklanych odłamków uderzył o jezdnię jakiś ciężki przedmiot. Odruchowo uskokyłem pod parkan, zakrywając głowę lewym ramieniem. Prawa dłoń błyskawicznie odnalazła za pasem kolbę porażacza. Wokoło jednak panowała cisza. Po chwili dopiero następny brzęk, któremu towarzyszyło zgaśnięcie kolejnej z szeregu latarni, przerwał idealną ciszę. Potem znowu i jeszcze kilka razy, w różnych odległościach, przede mną i za mną. Dostrzegłem nawet lot kamienia, rzuconego gdzieś sponad parkanu po przeciwnej stronie ulicy. Upadł nie opodal mnie, chybiwszy celu, którym była jedna z palących się jeszcze w pobliżu lamp.

Wyglądało to tak, jakby przyczajeni w chaszczach za parkanami wandyli czekali na oddalenie się wozu technicznego, by w jednej chwili zniweczyć owoce jego działalności.

Pod osłoną mroku chyłkiem przemknąłem na drugą stronę ulicy i ostrożnie zbliżyłem się do miejsca, z którego, jak mi się zdawało, rzucono kamień. Zamarłem w bezruchu i wstrzymując oddech, nasłuchiwałem przez chwilę. Potem, dotykając dłonią parkanu, przesunąłem się o parę kroków do przodu, wciąż niemal w kucki i starając się nie robić najmniejszego hałasu. Dłoń dotykająca ogrodzenia natrafiła na otwór w plastikowej siatce. W ciemności wymacałem jego brzegi. Był dostatecznie duży. Wahałem się przez chwilę, lecz w końcu przeszedłem na drugą stronę, ostrożnie rozchylając miękkie, nie szeleszczące łodygi

chwastów, dorodnych jak dobrze wyrosnięta kukurydza. Posuwałem się pod ich osłoną w stronę domostwa, którego dach rysował się na tle nieba ponad wierzchołkami badyli. Poprzez rzednące łądygi zobaczyłem ciemną ścianę, z jeszcze ciemniejszymi plamami drzwi i okien. Nagle prawie tuż obok mnie usłyszałem czy raczej może poczułem ruch zarośli. Znieruchomiałem. O dwa metry w lewo, z gęstwiny, wynurzyła się zgarbiona sylwetka i, przemknąwszy przez wąski pas betonowej alejki, zniknęła w mrocznej czeluści drzwi. Przywykłymi już do ciemności oczyma wpatrywałem się w ciemny prostokąt, łowiąc uchem szmery stłumionej rozmowy, dobiegające z wnętrza budynku. Po chwili z drzwi wysunęły się jedna za drugą trzy ludzkie sylwetki. Zatrzymały się obok mojej kryjówki. Zauważyłem, że odzież zwisa z nich w strzępach. Mieli przerzucone przez ramiona jakieś płachty czy worki. Rozmawiali półgłosem. Mogłem dosłyszeć prawie każde słowo, lecz nie wszystko rozumiałem. Odniosłem wrażenie, że spierają się o coś.

- Nie gwo! - mówił jeden. - Byłem tam wczoraj. Ni ful.

- Bo jesteś tufa. Fulowo szukałeś. Jakbyś, dyrba, nie zgwałtał przed tymi fulami, zachapałbyś od fula żarła - oponował drugi.

- Ożeż, dyrba, idziem czy nie? - zniecierpliwiał się trzeci.

- Bo on tryfi.

- To ful mu w tufę, zostaw go, dyrba, i chodź.

- Z nim, dyrba, tak zawsze... No, to idziesz, fulu?

- Sam jesteś ful. I docent!

- Coo?!

- Docent, dyrba!

Była to widocznie największa obelga, bo dwa cienie zwarły się w krótkiej szarpaninie, a trzeci zaczął je rozdzielać.

- Dogwoł mu! - odgrażał się znieważony.

- Zamknij ryj i nie gwol, fulu, bo te dyrby usłyszą i wszystkim nam dogwołają - warknął stanowczo mediator. - Zagwałamy, bo już wszyscy poszli i ful dla nas zostanie.

Ruszyli gęsiego przez zielsko, mijając mnie o kilka kroków. Kierowali się w stronę dziury w płocie. Odczekałem chwilę i poszedłem za nimi. Nie opuszczając zarośli wyjrzałem na ulicę. Było prawie zupełnie ciemno, zauważyłem jednak jeszcze kilka postaci w łachmanach, przemykających pod płotami, nawołujących się stłumionymi głosami. Wyłazili przez dziury w parkanach, przez furtki zarośnięte dzikim żywopłotem chwastów. Wlokąc za sobą płachty i worki, zmierzali wszyscy w stronę miasta. Zawahałem się. Za bardzo odbiegałem od nich wyglądem. Nie mogłem w moim stroju pokazać się między nimi. Kim byli? Wyrzutkami, wegetującymi na marginesie społeczności miasta, w opuszczonej dzielnicy willowej? Złodziejami, udającymi się na nocną wyprawę?

Ulicą po mojej stronie zbliżał się szybkim krokiem jeszcze jeden, zapóźniony, samotny. Rozglądał się trwożnie, niepewnie - jakby pozbawiony oparcia w gromadzie, spodziewał się jakiegoś niebezpieczeństwa. Zmierzyłem wzrokiem odległość do tych, co przeszli ostatnio. Byli wystarczająco daleko. Nadchodzący zbliżał się do miejsca, gdzie siedziałem u wylotu dziury w płocie.

Nie zdążył krzyknąć. Był słaby, wątpy i ciężko przestraszony. Gdy zakneblowanego strzępem szmaty z jego własnego stroju i skrępowanego kawałkiem linki układałem w zaroślach, jego oczy wyrażały śmiertelne przerażenie.

- Nie bój się - powiedziałem możliwie najłagodniej, ściągając z niego brudne, podarte łachy. - Jak wrócą, to cię rozwiążą.

Leżał pokornie, jakby trochę uspokojony. Wciągając przez głowę jego strój - coś w rodzaju długiego poncho z kapturem, z dziurami na głowę i dłonie, zeszytego byle jak z kawałków różnobarwnej ongiś tkaniny - przyjrzałem się jego twarzy. Mógł mieć równie dobrze sześćdziesiąt jak czterdzieści lat. Twarz miał zniszczoną, o szarej cerze i zapadniętych oczach, brudne dłonie z połamanymi paznokciami. Żebak? Nie miałem czasu na dochodzenie prawdy. Przerzuciłem przez ramię pusty worek, zmierzwiłem włosy i, pokiwawszy ręką leżącemu, ruszyłem w mrok ulicy. Gromada oberwańców była widać daleko, bo nie słyszałem już stłumionego gwaru ich rozmów. Puściłem się truchtem wzdłuż parkanu. Po kilku minutach dogoniłem ich. Wlekli się ostrożnie, zbici w dość ciasną gromadę, przystając co pewien czas. Idący na czele przywódca czy przewodnik dawał im znaki, ruszyli znowu milknąc i kuląc się pod osłoną parkanów lub śmiało krocząc środkiem ulicy. Nie dołączyłem do nich, posuwając się o kilkanaście kroków z tyłu. Wreszcie zebrawszy odwagę ukryłem głowę i twarz pod kapturem - jak wielu spośród idących - i zrównałem się z dwoma, którzy szli na końcu grupy. Jeden z nich, bliższy, zauważył mnie kątem oka, przelotnie spojrzął w moją stronę i mruknął:

- Goog?

- Uhm - odpowiedziałem.

- Masz smuka? Dawaj! - burknął napastliwie.

- Nie mam - odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

- Gwolisz. Dawaj, dyrba, ty stary fulu! - nalegał.

- Odgwoł się, dyrba, ful ci do mojego smuka, docencie, bo ci przygwołę takiego kopa w tufe, że fulem gwolniesz o ziemię - powiedziałem półgłosem na jednym oddechu.

Aż przystanął. Ruszyłem szybciej, mieszając się z tłumem obdartusów. Sam byłem zdziwiony, jak szybko udało mi się opanować ten nieskomplikowany w gruncie rzeczy slang. Cóż, widocznie podróże na obce planety wyrabiają w człowieku umiejętność błyskawicznego przystosowania się do środowiska i miejscowych warunków...

Po godzinie marszu ciemnymi uliczkami, na których tu i ówdzie dołączali do nas nowi towarzysze, dotarliśmy do szerszej arterii oświetlonej kilkoma latarniami, zbyt wysokimi, by je można było unieszkodliwić przy pomocy kamieni. Przewodnik gromady zatrzymał nas gestem i sam ostrożnie wysunął się na jasną przestrzeń. Po chwili dał znak i ruszyliśmy, ostrożnie przemykając w cieniu budynków i pawilonów, stojących luźno wśród zachwaszczonych trawników.

Rozejrzałem się wokoło. Byliśmy na skraju dużego osiedla, zabudowanego jednakowymi bryłami bloków. W oknach nie świeciło się jednak, jakby i te budynki były niezamieszkane. Moi towarzysze rozproszyli się pomiędzy blokami i po chwili grad kamieni zbombardował wszystkie dostępne latarnie na osiedlowych uliczkach. W zapadłej ciemności rozbiegli się,

niknąc w drzwiach budynków. Poszedłem za dwoma najbliższymi, którzy skryli się w wejściu mrocznej sieni.

Myszkwali tam po omacku, szukając czegoś na ścianach i wymieniając przy tym krótkie uwagi.

- Ni ful. Wszystkie rozgwołone.

- Te dyrby teraz łożą wieczorem, rozgwalają i w nocy takiego fula znajdziesz. Trzeba by z rana dyrba, po przyjsciu robotów...

- Przyjdź, fulu głupi, jak chcesz w gwol dostać. Zabijają.

- Można by gromadą.

- Ich też dużo. I gnaty mają niektórzy, robią od razu w łeb...

Rozmawiając wyszli na zewnątrz, a ja zostałem i zapaliłem latarkę. W ściennych wnękach dostrzegłem jakieś urządzenia. Przypominały podajniki żywnościowe, które znałem z Księżyca. Były jednak poniszczone, wręcz zmasakrowane uderzeniami tępego narzędzia...

Wymknąłem się spomiędzy bloków i pozostawiając gromadę myszkującą po osiedlu, ruszyłem dalej sam. Odnalazłem szeroką ulicę, dość dobrze oświetloną, która doprowadziła mnie do niewielkiego budynku z resztkami neonowego napisu. Ocalały w nim tylko szczątki niektórych liter. Wnętrze za potłuczonymi szybami dużych okien było oświetlone. Na ścianach wisiało kilka automatów do napojów i żywności, a także parę aparatów wideofonicznych - wszystko jednak w opłakanym stanie, potłuczone metodycznie i unieruchomione.

Z pomieszczenia wiodły w dół ruchome schody, które ruszyły samoczynnie, gdy stanąłem u ich szczytu. Zjechałem w dół i znalazłem się w długim tunelu, który, jak się zorientowałem, był stacją kolei podziemnej. Po dwóch stronach peronu biegły osiatkowane bariery, oddzielające peron od szerokiej, walcowatej rynny, która była zapewne torem dla wagonów kolei. Rynny po obu stronach peronu niknęły w kolistych tunelach. Po peronie posuwał się z wolna automat czyszczący plastikową wykładzinę. Gdy znalazłem się na jego drodze, ominął mnie w odległości dwóch metrów i pełznąc dalej kontynuował swą pracę. Na ścianie wisiały cztery automaty z napojami - nie uszkodzone, z zapasem plastikowych szklanek. Podszedłem do jednego z nich, podstawiłem naczynie i nacisnąłem przycisk. Pocięł strumyczek gazowanego napoju o słodkavo- kwaśnym, orzeźwiający smaku. Gdy piłem, rozległ się brzęczyk i głos z megafonu obwieścił: "Pociąg do centrum - dwudziesta trzecia czternaście. Następny: dwudziesta trzecia dwadzieścia dwie".

Z narastającym szumem z wylotu tunelu wypadło długie cygaro bez okien i zatrzymało się przy peronie. Barierek na skraju peronu opadła, kryjąc się pod jego płaszczyzną. Równocześnie boczna powierzchnia cygarowego wagonu rozwarła się w kilku miejscach, ukazując oświetlone wnętrza. Pociąg stał przez pół minuty, po czym barierek uniosła się, drzwi zamknęły, a cygaro z sykiem i szumem pogrążyło się w czeluści tunelu. Po chwili megafon obwieścił kolejny pociąg, tym razem w przeciwnym kierunku, i wszystko powtórzyło się jak poprzednio. Nikt nie wysiadł, pociąg ruszył i zniknął w tunelu.

Równo z pojawieniem się na peronowym zegarze cyfr 23.22 przybył kolejny pociąg do centrum. Z wahaniem przekroczyłem białą linię na brzegu peronu i stanąłem na wprost drzwi wagonu. Zastanawiałem się widać zbyt długo, bo po chwili z megafonu rozległ się

beznamiętny, bezpłciowy głos automatu: "Proszę zajmować miejsca w wagonie lub cofnąć się w kierunku środka peronu. Proszę nie opóźniać odjazdu pociągu!" Wsiadłem, drzwi zasunęły się i pociąg ruszył. Wnętrze wagonu było czyste i jasne. Usiadłem na wygodnej kanapie, pokrytej imitacją skóry. Rozejrzałem się. Pociąg był zupełnie pusty. Gdy zatrzymywał się na kolejnych przystankach, głośnik wymieniał ich nazwy. Niektóre były mi znane - nie zmieniły się od czasu, gdy byłem tutaj ostatni raz. Dzięki temu mogłem zorientować się, gdzie jestem. Powinienem wysiąść gdzieś w pobliżu Uniwersytetu. Ciągnęło mnie przede wszystkim tam właśnie. To był przecież mój główny, a właściwie jedyny cel...

Im bliżej centrum, tym mniej znanych nazw przystanków pojawiało się w zapowiedziach automatu i zacząłem się gubić w topografii. Gdy głośnik obwieścił przystanek "Skarpa", wyskoczyłem na peron. Nim rozejrzałem się wokół siebie, bariera odcięła mnie od wagonu. Cofnąłem się wparty w nią plecami.

Przeciwległy brzeg peronu, aż po białą linię u stóp barierki, zaległa bura, kłębiąca się masa, jak rozlana kałuża żywej mazi, kipiąca, przelewająca się, wydająca piskliwe odgłosy.

Połowę peronu oblegała chmara szczurów. W jednej chwili rozpoznałem je - pospolite, rude miejskie szczury, z obrzydliwymi nagimi ogonami, ze zmierzwioną sierścią, spasione i leniwe.

Nie interesował ich pociąg, którym przyjechałem, były wpatrzone w wylot drugiego tunelu. Tłocząc się, przepychając, łącząc sobie nawzajem po grzbietach, wlokły zębami i łapkami jakieś drobne przedmioty, przejrzyste torebki z folii wypchane czymś szczelnie, szmaciane zawiniątka. Piszczwały przy tym i skamlały, tu i ówdzie wybuchały wśród nich drobne nieporozumienia i utarczki.

Stałem bez ruchu z dłonią na kolbie porażacza, którego regulator przełączyłem na szeroki strumień rażenia. Kilka szczurów zauważyło mnie czy może wyczuło węchem, bo zwróciły głowy w moją stronę. Stopniowo inne, zaalarmowane widocznie przez przewodników, także zwróciły się ku mnie. Z wyglądającej teraz jak połać rudawego mchu, znieruchomiałej gromady patrzyły na mnie setki par okrągłych błyszczących oczek. Nagie ogony wzniesione ku górze, wiły się w powolnych skrętach jak dżdżownice. Nie ruszyły jednak w moją stronę. Tylko tu i ówdzie dały się słyszeć wysokie głośnie piśnięcia, jakby wrogie okrzyki; Po chwili cała czereda piszczała bezładnie, bijąc ogonami i drapiąc pazurkami plastikową powierzchnię peronu.

Odezwał się megafon i w tej samej chwili piski jak na komendę umilkły, ogony znieruchomiały. Gdy automat wymienił nazwę stacji, do której zmierzał nadjeżdżający pociąg, tłum szczurów porwał za swe bagaże i tracąc całkowicie zainteresowanie moją osobą, zwrócił się ku brzegowi peronu. Jeden tylko ogromny, gruby egzemplarz, zrobił truchtem kilka kroków w moją stronę, zatrzymał się i fuknął, jakby spluwając w moim kierunku, po czym dołączył do gromady.

Przez opuszczoną barierkę i otwarte drzwi szczury, tłocząc się i przepychając, hurmem runęły do wnętrza wagonu, gubiąc w pośpiechu swe tobołki, gryząc się, piszcząc i depcząc nawzajem. W mgnieniu oka peron opustoszał. Pociąg nie ruszył jednak, megafon dwukrotnie powtórzył przynaglenie... Rozejrzałem się po peronie. Jakiś zapóźniony szczur nadbiegał jeszcze od

strony nieczynnych ruchomych schodów, wlokąc paczuszkę w kolorowym opakowaniu, niewiele mniejszą od niego samego.

Po chwili dopiero dostrzegłem na peronie jeszcze jednego szczura. Stał na tylnych łapach, zasłaniając swym ciałem obiektyw kamery śledzącej brzeg peronu. Dopiero gdy zapóźniony szczur zniknął we wnętrzu wagonu, drugi odsłonił czujniki i powoli ruszył wzdłuż odjeżdżającego pociągu jak dyżurny ruchu, pilnujący porządku na stacji.

Wyjechałem schodami na górę. Znalazłem się na peronie innej linii, krzyżującej się z tą, którą przyjechałem. Stąd, kolejnymi czterema ciągami schodów, wydostałem się na powierzchnię, pokonując różnicę poziomów co najmniej stu metrów.

A więc miasto dziwnym jakimś sposobem wypiętrzyło się w górę! Nie rozumiałem tego, co najwyżej domyślałem się. Jadąc w górę ruchomymi schodami miałem wrażenie, że posuwam się wzdłuż ścian podziemnych - czy może zasypanych - budynków o zamurowanych otworach okiennych.

Na górze z pawilonu stacyjnego wyszedłem wprost na jasno oświetloną ulicę. Dostrzegłem grupkę jaskrawo ubranych ludzi, którzy otaczali słup latarni. Byli oddaleni o kilkadziesiąt metrów, lecz dobiegł do mnie ich głośny śmiech, wybuchający salwami i przemieszany okrzykami kilku głosów. Zatrzymałem się i rozejrzałem cofnięty w cień portalu mijanego budynku. Ulica była pasażem, z obu stron ograniczonym ciągami kolorowych, przeszklonych pawilonów. Nad dachami migotały neonowe reklamy czy hasła. Środkiem sunęły polewaczki i zamiataczki, kilka automatów przecierało szyby wystawowe, za którymi piętrzyły się kolorowe opakowania. Poza rozbawioną grupką na ulicy nie zauważyłem przechodniów. Wyjąłem lornetkę i przyjrzałem się tym pod latarnią. Siedmiu młodych, zupełnie młodych chłopców o gładkich twarzach bez zarostu, w barwnych, choć prawie jednakowych obcisłych spodniach i bluzach, otaczało słup, na który z mozołem wdrapywała się ciemna postać.

Przyjrzałem się jej dokładnie. Był to człekokształtny robot wspinający się niezdarnie po gładkiej powierzchni słupa. Przy akompaniamencie śmiechów i pokrzykiwań usiłował wejść wyżej, lecz jego metalowe ramiona obsuwały się co chwila i zjeżdżał z powrotem w dół. Młodzi ludzie najwyraźniej znęcali się nad automatem, zmuszając go bezsensownymi rozkazami do wykonania sztuki, która przekraczała jego możliwości.

Wzdłuż ścian budynków zbliżyłem się do rozbawionej grupki. Robotowi właśnie udało się podciągnąć na wysokość około czterech metrów. Szczupły chłopak o długich, ciemnych włosach wysunął się spośród stojących wokoło i patrząc w górę, z dłonią wspartą o słup, wysokim, dziecinnym głosem zachęcał robota do dalszej wspinaczki.

Dłonie robota nie zdołały utrzymać ciężaru. Runął w dół i nim chłopak zdążył uskoczyć, padł przygnieciony masywnym cielskiem do chodnika.

Zupełnie bez udziału świadomości rzuciłem jakieś słowo - ostrzegawczy krzyk, który zabrzmiał tuż przed łoskotem upadku. Chłopcy w pierwszym odruchu skoczyli ku leżącemu. Robot podniósł się niezgrabnie i utykając usunął się na bok. Otoczyli miejsce wypadku, trwając chwilę w milczeniu i bezruchu, a potem kolejno odwracali głowy. I wtedy dopiero dostrzegli mnie.

Sprężyli się nagle, twarze ich ożywiły się, dłonie sięgnęły za bluzy. W jednej chwili pojawiły się w nich krótkie, połyskujące metalem rurki czy pałki. Zapominając o leżącym

współtowarzyszu, z dziwnymi uśmieszkami na twarzach ruszyli kocim krokiem w tyralierze w moją stronę. Cofnąłem się o dwa metry, przywierając plecami do ściany domu.

Szli powoli ściskając w dłoniach pałki. Ze sposobu, w jaki je trzymali, wynikało, że nie jest to broń palna. Służyły po prostu do bicia.

- No, cho... dyrba, no, cho... no, no, no, no! - jeden z napastników wysunął się do przodu i kiwając palcem lewej dłoni, jakby zachęcał mnie, bym się zbliżył. Inni tymczasem oskrzydłali mnie z obu stron. Patrząc w oczy nadchodzącemu, powoli cofnąłem dłoń do otworu w moim łachmanie, by ująć kolbę zatkniętego za pas porażacza. Równocześnie lewą ręką uchwyciłem mocniej trzymany na ramieniu worek, którego dotychczas się nie pozbyłem chyba dlatego, że stanowił nieodłączny składnik mojego przebrania. Chłopak zatrzymał się o dwa kroki przede mną i szybkimi spojrzzeniami ocenił odległość do stojących po obu stronach towarzyszy.

Skoczyłem do przodu, zamachnąłem się workiem. Chłopak odruchowo wyrzucił do góry lewe ramię. Puściłem worek i chwyciłem jego przegub, usiłując przerzucić go przez biodro. Był jednak zwinny i wyraźnie zaprawiony w walce wręcz. Udało mi się tylko odwrócić go i mocnym kopniakiem w tyłek odrzucić o kilka kroków. Nim upadł, miałem już na karku dwóch najbliższych spośród pozostałych. Strząsnąłem ich z siebie, lecz jednemu udało się przyłożyć mi pałką w lewe przedramię. Drugi uczeplił się mojego poncho. Szarpnąłem się w kierunku ściany, tkanina pękła od szyi po sam brzeg i spadła ze mnie, lecz plecy znalazły na powrót oparcie o twardą płaszczyznę. Stałem w rozkroku, z lewą ręką obwisłą bezwładnie, przeszywaną bólem od łokcia po nadgarstek. W prawej trzymałem porażacz.

Napastnicy jakby zamarli, zeszywnieli w pół skoku ku mnie. Wybałuszonymi oczyma wpatrywali się w mój kombinezon, ręce im zwisły, z dłoni któregoś wypadła pałka i z brzękiem potoczyła się w moją stronę. Ten, którego kopnąłem, zbierał się właśnie z ziemi. Spojrzał na mnie i pozostał w przykłęku na jedno kolano, wsparty na dłoni, z rozszerzonymi oczyma.

- Nie tryfić - syknął. - To lunak!

- Nie lunak! - rzucił któryś inny. - Patrz, co ma! To docent!

- Docenta nie widziałeś?! - burknął trzeci. - To jest kosmak!

- Gwolisz! Kosmaków nie ma!

- Ful z nim. Ja zgwałtam! - zdecydował prowodyr i długimi susami przemknął na drugą stronę ulicy.

Skierowałem w jego stronę wylot porażacza i nie mierząc pstryknąłem przyciskiem. Zawadziłem go widać swym skrajem rozproszonego pola, bo tylko nogi rnu się poplątały, ale utrzymał równowagę i oparty o ścianę, stękając głośno, rozcierał zdętwiałe łydki. Reszta stała bez ruchu, patrząc to na mnie, to na niego.

- Ty, kosmak! - odezwał się któryś potulnie i z pewną dozą szacunku. - Daj żyć, pójdziem! No?

Zrobiłem wymowny gest uzbrojoną dłonią. Prysnęli we wszystkie strony i w jednej chwili zniknęli, jakby wsiąknęli w witryny sklepów. Ten, który dostał z porażacza, kuśtykał teraz gdzieś po drugiej stronie ulicy. Podszedłem do leżącego chłopaka. Nie żył. Górna część tułowia była zmiażdżona. Jego okrągłe, szkliste oczy patrzyły w zenit.

- Czym mogę służyć? - usłyszałem obok siebie.

Obejrzałem się. Obok stał robot. Ten sam, który spadł ze słupa. Czekał na rozkazy. Widocznie był przeznaczony do umilania życia przechodniom. Tylko przypadkiem stał się mordercą, choć nie byłbym zdziwiony, gdyby uczynił to przez zemstę...

- Podnieś go i chodź za mną - powiedziałem wskazując na zwłoki. Nie oglądając się ruszyłem w stronę widocznego o kilkadziesiąt metrów trawnika. Robot człapał za mną.

- Wykop dół - powiedziałem wskazując na trawnik i obrysowując czubkiem buta kształt prostokąta. - Taki. A potem zakop ciało.

Robot ostrożnie ułożył zwłoki na trawie, przyklęknął i rozstawionymi palcami mechanicznych dłoni odgrzebał warstwę darni. Po chwili jednak metalowe pazury zazgrzytały o twardą płytę. Pod dwudziestocentymetrową warstwą gleby był beton. Zapomniałem na chwilę, że prawdziwa Ziemia znajduje się gdzieś tam w głębi, zakryta i zapomniana. To, co piętrzyło się nad nią, było tylko chorobliwą naroślą, nowotworem, nad miarę wybujałym obcym ciałem...

- Przestań. Zrób coś z nim! - powiedziałem do robota.

- Wezwę wóz funebralny - oświadczył usłużnie.

Kiwnąłem głową, nie wiedząc nawet, czy zrozumiał ten gest i poszedłem z powrotem w kierunku wejścia do stacji kolei podziemnej.

Dopiero teraz zrozumiałem, jak trudnym i skomplikowanym przedsięwzięciem będzie to, co wydawało się jak najprostsze. To miasto było mi obce, było innym miastem, narosłym nad dawnym, które znałem. Bez planów geodezyjnych trudno będzie odnaleźć miejsce, gdzie należy szukać... A jeśli nawet ustalę miejsce, to czy potrafię dotrzeć tam, o sto metrów niżej, poprzez kolejne kondygnacje i warstwy do powierzchni gruntu, pod którym powinien tkwić cylinder? A jeśli dotrę - czy go znajdę tam, poniżej dolnych piwnic dawnego gmachu?

Budynek Instytutu miał osiem kondygnacji. Pochodził z czasów, gdy wysokie budowle wznoszono z elementów betonowych, zbrojonych stalą. Należy wątpić, by całkowicie zniknął. Sądząc z tego, co widziałem oraz czego się domyślałem, przyjęty system modernizacji miasta wynikał właśnie z trudności w rozbiórce takich budowli. Już w czasach, gdy opuszczałem Ziemię, problem ten zaczynał się pojawiać w centralnych dzielnicach wielkich miast. Bezkolizyjność tras komunikacyjnych można było osiągnąć jedynie poprzez nadbudowywanie coraz to wyższych wiaduktów i estakad nad istniejącymi trasami. Wielopoziomowe arterie i węzły już wtedy sięgały okien trzeciego czy czwartego piętra sąsiednich budynków, a ślimakowate rozjazdy oplatały jak węże stojące przy trasach gmachy, stając się utrapieniem mieszkańców nękanych hałasem przez całą dobę.

Zaczynałem rozumieć mechanizm tego zjawiska urbanistycznego. Ulice wypiętrzyły się ponad zabudowę, zaś zabudowa usiłowała dorównać poziomowi ulic. Po pewnym czasie na niższych kondygnacjach miasta powstawała nieuchronnie martwa przestrzeń, odcięta od świata stropem estakad i ścianami budynków, których niższe piętra nie nadawały się już do zamieszkania ani nawet jako miejsca pracy dla ludzi. Nieuchronną koniecznością musiało się wreszcie okazać odcięcie tej martwej warstwy miasta, nie uczęszczanej, nie sprzątej, przydatnej co najwyżej dla potrzeb inżynierii miejskiej, komunikacji podpowierzchniowej lub całkowicie zautomatyzowanych zakładów przemysłowych. Sieć estakad złała się więc w jeden strop, wyznaczający nowy poziom zerowy dla miasta. Mniejsze budynki zniknęły pod

nim, większe wystawały co najwyżej górnymi piętrami. Być może dla umocnienia owego stropu trzeba było w niektórych miejscach wesprzeć go na dawnych budynkach, których ściany jako szalunek wypełniano tworzywem zwiększającym wytrzymałość.

Ile razy, w czasie gdy mnie tu nie było, powtórzyła się taka operacja? Trzy, cztery, może więcej? Ile kolejnych poziomów miasta zniknęło pod nowymi arteriami i nową zabudową? Taki proces może przybrać postać lawiny... Pamiętam, że w czasach, gdy tu mieszkałem, prawie każda nowa trasa komunikacyjna, nowoczesna i dalekowzrocznie na pozór zaprojektowana, przestawała wystarczać już po chwili udostępnienia do ruchu.

Budowle, które widziałem na najwyższej kondygnacji, będącej najmłodszą i ostatnią fazą rozwoju miasta, wyglądały na bardzo lekkie, ażurowe. Potwierdzało to moje przypuszczenia: w miarę wypiętrzania miasta stosowano coraz lżejsze materiały i konstrukcje, by nie obciążać nad miarę niżej położonych warstw.

Miałem nadzieję, że dolne poziomy, choć stanowić mogły konstrukcję komórkową, są jednak przynajmniej w pewnym stopniu drożne. Aby to sprawdzić, musiałem w jakiś sposób wniknąć w głąb, pod naskórek miasta. Wydawało mi się, że jedną z możliwych dróg na niższe poziomy powinny być szyby prowadzące do stacji kolei podziemnej.

Zjeżdżałem teraz w dół kolejnymi ciągami eskalatorów, oglądając starannie ściany szybu. Mimo powłoki tworzywa sztucznego, jakby plastikowego tynku, którym zostały niezbyt zresztą starannie pokryte, widać było, że są to ściany dawnych budowli. W miarę zagłębiania się mogłem prześledzić - jak na skarpie geologicznej odkrywki - kolejne warstwy zabudowy i dzielące je stropy. Znalazłem - na dwóch poziomach, odległych o jakieś dwadzieścia metrów - ślady zasklepionych przejść, prawdopodobnie dawnych tuneli wyjściowych dla pasażerów kolei podziemnej. Mnie jednakże interesował poziom gruntu. Pamiętałem, że przed moim odlotem istniały dwa poziomy tuneli metra. Tu także natrafiłem na dwa, lecz nie wiadomo, czy wyższy nie przebiegał już nad poziomem gruntu. W miarę przesuwania się właściwego miasta ku górze - komunikacja podziemna mogła również wkraczać na wyższe, opuszczone przez mieszkańców poziomy.

Wyszedłem na peron górnej linii kolei, biegnącej prostopadle do kierunku, z którego przybyłem do miasta. Miałem niejasne wrażenie, że udając się w prawo tą właśnie linią, powinienem zbliżyć się do rzeki. Bo przecież ona musi gdzieś istnieć, nie mogli jej zupełnie zlikwidować, jest niezbędna dla funkcjonowania miasta. Jeśli odnajdę ją, ukrytą gdzieś na dnie miasta, posłuży mi jako baza odniesienia dla zorientowania się w topografii.

Tymczasem jednak byłem zbyt zmęczony, by tej jeszcze nocy kontynuować poszukiwania. Zawróciłem w kierunku schodów. Idąc peronem dostrzegłem we wnęce ściany, przy automacie z napojami, dwa rude szczury. Jeden naciskał nosem przycisk, drugi podstawił pyszczek pod strumyk wypływającej cieczy. Na mój widok zjeżyły się, jeden pisnął ostrzegawczo i oba smyrnęły w kierunku schodów. Nim dotarłem do ich podnóża, oba zwierzaki były już u szczytu, wdrapując się błyskawicznie na kolejne stopnie. Schody ruszyły dopiero wówczas, gdy się do nich zbliżyłem. Widocznie automat nie reagował na szczury...

Ulica była pusta, tylko pod ścianą po drugiej stronie stał wciąż ten sam robot. Poznałem go po uszkodzonej powłoce. Spojrzałem w kierunku trawnika. Zwłok chłopca już nie było. Jakaś automatyczna maszyna doprowadziła do porządku trawnik rozgrzebany przez robota.

- Robot! - zawołałem w stronę androida.
- Słucham - odpowiedział i podszedł do mnie. - Czym mogę służyć?
- Gdzie dostanę coś do zjedzenia?
- Zaprowadzę do magazynu. To blisko.

Ruszył wzdłuż ulicy, a ja poszedłem za nim. Wskazał mi drzwi obszernego sklepu. Otworzyły się przede mną. Wziąłem z pierwszej z brzegu półki opakowaną w barwny plastik paczuszkę i wyszedłem na ulicę. Robot czekał przy drzwiach.

- Gdzie mógłbym się przespać? - spytałem.
- W tym domu są wolne pokoje - wskazał najbliższe wejście do budynku. - Życzę dobrej nocy.
- Dziękuję - powiedziałem odruchowo.

Ten robot był - o ironio! - jedyną "osobą", zachowującą się jak... człowiek w tym dziwnym mieście.

Wszedłem do małej sieni, w której natychmiast zapłonęła sufitowa lampa. Otwarte drzwi windy ukazywały przestronne wnętrze z szeregiem przycisków na ścianie. Wszedłem i na chybił trafił naciśnąłem jeden z nich. Drzwi zamknęły się, winda ruszyła.

Wysiadłem na pierwszym piętrze. W obie strony ciągnął się korytarz. Stałem na wprost najbliższych drzwi. Rozsunęły się przede mną, ukazując jasno oświetlone niewielkie pomieszczenie. Było prawie puste. Oprócz niskiej leżanki, stolika z wideofonem i dwóch krzeseł nie było tu nic więcej. Za zasłonką, we wnęce, był zainstalowany podajnik napojów z zapasem plastikowych kubków oraz kłapa zasłaniająca wlot zsypu na odpadki. Za małymi drzwiczkami obok znajdowała się kabina sanitarna z natryskiem. Drzwi można było zamknąć od wewnątrz, więc postanowiłem pozostać tu do rana. Zjadłem zawartość paczuski, którą zabrałem ze sklepu na dole. Było to nawet niezłe, choć o nieznanym smaku. Napój z automatu też dał się pić.

Wykąpałem się i położyłem spać. Leżąc już przy zgaszonym świetle, usłyszałem czyjeś kroki i podniesione głosy na korytarzu, ale nie chciało mi się wstać i wyrzeć.

Sięgnąłem do wyłącznika wideofonu i poprosiłem o podanie dokładnego czasu. Mechaniczny głos zaczął monotonnie powtarzać godzinę i minuty. Równocześnie na ekranie ukazały się cyfry. Porównałem migocące cyfry sekund z moim zegarkiem. Godzina była inna niż w Lunie - dostosowano tam widać miejscowy czas umowny do innej strefy czasu na Ziemi. Lecz minuty i sekundy zgadzały się dokładnie. Precyzyjne chronometry odmierzały ten sam rytm czasów, tu i tam, pomimo przeszło wiek trwającego rozłamu... Ten sam czas wyznaczał tempo zagłady jednych i drugich, obojętny wobec toczących się zdarzeń, wspólny dla wszystkich ludzi, odkąd nauczyli się go odmierzać...

Wyłączyłem wideofon i oparłem głowę o poduszkę. Z głębi pamięci nadpłynął inny obraz, wywołany widokiem zmieniających się cyfr sekundnika...

Pamiętam ironiczne spojrzenie van Troffa, kiedy porównywałem zegarki, z których jeden przez minutę pozostawał zanurzony w czeluści szybu. Musiałem mieć wówczas niezbyt mądrą minę.

- Na czym polega ta sztuczka? - spytałem wreszcie, gdy zwlekając z wyjaśnieniami bawił się moim zaskoczeniem.

- Musiałbym ci zbyt długo wyjaśniać - powiedział kładąc mi dłoń na ramieniu. - Chodźmy na górę. Wilgotno tutaj, a mój reumatyzm tego nie lubi.

W powrotnej drodze van Troff starannie zamknął za sobą tajemne przejście, a następnie objaśnił mi sposób jego otwierania.

- Lubię was oboje - powiedział, gdy na powrót znaleźliśmy się w jego pokoju. - Ciebie i Yettę, Żal mi was, gdy pomyślę, że możecie się nigdy więcej już nie spotkać... Chcę wam pomóc. Mnie już na nic nie przyda się ten wynalazek; zbyt późno doprowadziłem dzieło do końca. Nie widzę sensu w jego rozpowszechnianiu. Może się to jednak przydać właśnie wam. Jeśli chcecie, możecie z tego skorzystać. Będę miał wówczas przekonanie, że moja praca miała jednak sens. Jednym słowem - chcę dać ci młodość Yetty, zachować ją dla ciebie do czasu twojego powrotu...

- Czy to możliwe? - spytałem.

- Najzupełniej. Będzie na ciebie czekała. O ile znam kobiety, zgodzi się na pewno.

- Myślisz profesorze, że jej uczucie przetrwa przez pół wieku?

- Nic nie rozumiesz! - zachichotał kiwając z politowaniem głową.

- Nie oferuję ci eliksiru młodości dla tej dziewczyny! Chcę ci ją dać taką, jaka jest w tej chwili - za lat pięćdziesiąt.

- Więc to, co zrobiłeś z zegarkiem?...

- To nie kuglarska sztuczka. W głębi szybu, pod klapą wjazdu, znajduje się cylindryczna komora. W jej wnętrzu po zamknięciu wjazdu czas nie płynie.

- Jak to? Czy zatrzymuje się w miejscu? - nie mogłem wciąż zorientować się, kiedy "Mefi" mówi poważnie, a kiedy żartuje.

- No, niezupełnie, ale płynie niezmiernie powoli. Zgodnie z regułami ogólnej teorii pól, ujętej relatywistycznie...

- Nie jestem na tyle zorientowany...

- Wiem. Nigdy nie byłeś zbyt mocny w tych zagadnieniach. O ile dobrze pamiętam. Ale nie musisz się wstydzić. Jestem jednym z niewielu żyjących fizyków, którzy w pełni rozumieją te sprawy... Wyjaśnię ci to przez analogię, tak będzie przystępniej.

Wiesz zapewne, że w układach nieinercjalnych czas biegnie niejednakowo. Bliźniak, wysłany w Kosmos w rakiecie przyspieszającej do prędkości podświetlnej, po powrocie będzie młodszy od swego brata pozostającego na Ziemi...

- Ale... przecież cylinder pozostaje wciąż tutaj, nie porusza się... - wtrąciłem.

- Zaczekaj. Wiadomo także, że w pobliżu wielkich mas materii, w silnym polu grawitacyjnym, czas upływa wolniej niż z dala od nich. Przykładem mogą być zjawiska zachodzące w pobliżu tak zwanych czarnych dziur. Jest równoznaczne, inaczej rzecz ujmując, z zakrzywieniem przestrzeni - tym większym, im silniejsze jest pole. Ale na Ziemi grawitacja jest niewielka. Czy można jednak lokalnie zakrzywić przestrzeń tak, by osiągnąć efekt zwolnienia upływu czasu? Otóż można. Wystarczy wykorzystać odpowiednio tę grawitację, którą wytwarza Ziemia...

- Przecież pole ziemskie jest bardzo słabe, jak sam mówiłeś!

- Pole tak, ale masa? Wyobraź sobie, że cała masa Ziemi skupia się w obszarze kuli o promieniu jednego metra. Jak myślisz, ile jednostek "g" wynosiłoby przyspieszenie grawitacyjne na powierzchni takiej kuli?

- Musiałbym przeliczyć... No, powiedzmy, milion?

- Pomnóż to jeszcze przez milion i wciąż będzie za mało! - zaśmiał się van Troff. - Taka kula miałaby właściwości "czarnej dziury"!

- Ale... przecież w realnych warunkach, na Ziemi... nie można tego osiągnąć?!

- Mój drogi! - van Troff uśmiechnął się ironicznie. - Czy chcąc zapalić kawałek papieru, musisz lecieć z nim w kierunku Słońca?

- Wystarczy soczewka...

- Jesteś inteligentny jak na kosmonautę - zakpił dobrotliwie. - Sam odpowiedziałeś na własne wątpliwości. Soczewka da ci lokalny, maleńki obrazek słońca, który w jednej chwili wypali dziurkę w papierze, podczas gdy to samo słońce, oświetlając papier bezpośrednio, niczego podobnego nie wywoła. To wszystko. Zamknięcie kłapy wjazdu do cylindra powoduje odpowiednie ustawienie "soczewek grawitacyjnych", jeśli można je tak nazwać, i skupienie pola na małym obszarze wnętrza komory.

- Nie pojmuje, ale muszę ci wierzyć, profesorze - powiedziałem. - Czy zatem czas w komorze nie płynie?

- To byłoby niemożliwe. Czas nie może całkowicie stanąć. Można jednakże dowolnie wstrzymać jego upływ w porównaniu z czasem biegnącym w drugim układzie, którym jest w danym przypadku Ziemia... Wszystko zależy od skuteczności "soczewek"... Udało mi się uzyskać zupełnie niezły rezultat: sto lat naszego czasu trwa w cylindrze około ośmiu minut...

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że zegarek pozostawiony przez sto lat we wnętrzu cylindra, posunąłby się tylko o osiem minut?

- Mniej więcej... Robiłem dość dokładne pomiary. Mój zegarek był tam przez rok. Przesunął się o niecałe pięć sekund...

- Ale... człowiek? Czy mógłby...

- Tak.

- Sprawdziłeś?

- Mój zegarek był przypięty do przegubu młodego szympansa. Po roku szympans wyszedł zupełnie zdrowy i nawet nie znudzony pobytem... Zresztą... ja też... ostatnio zrobiłem sobie trzymiesięczny urlop. Wszyscy myśleli, że wyjechałem. Byłem jednak tam, w cylindrze... Zamknąłem klapę i natychmiast ją otworzyłem. Nie muszę ci tłumaczyć, że na tym urlopie nie zdążyłem wypocząć. Dla mnie wszystko trwało sekundę...

Wtedy nie wiedziałem jeszcze, co wyniknie z pomysłów starego profesora. ..

Obudziłem się późno. Gdy wyjrzałem przez okno, po ulicy snuły się gromadki młodych chłopców. Przystawali, rozmawiali krzykliwie, niektórzy mieli w rękach instrumenty wydające przeraźliwe dźwięki. Robili dużo hałasu, przez drzwi sklepów wylatywały na ulicę różne przedmioty. Miejskami wybuchały bójki, ale kończyły się szybko i bez większych skutków. Obserwowałem przez pół godziny życie ulicy, nie mogąc zrozumieć wielu rzeczy i zdarzeń. Kim byli ci rozbrykani młodzieńcy? Czy nikt nie próbował utrzymać tu porządku?

Owszem, automaty porządkowe cierpliwie sprzątały zaśmieconą ulicę, nikt jednak nie przeszkadzał nudzącym się wyraźnie chłopcom, wynajdującym sobie dziwne rozrywki.

Miasto dzieci? - pomyślałem patrząc na to wszystko. - Czy jakieś nowoczesne metody wychowania?

Nie! Przecież te "dzieci" były zdecydowane zabić mnie wczorajszego wieczora... Czyżby nie było tu ludzi dorosłych? Ci, na ulicach, wyglądali na nastolatków... A tamci, z przedmieścia? To byli przecież ludzie w starszym wieku...

Kiedy mnie zaatakowano w mieście, miałem na sobie strój z przedmieścia. Czyżby to było przyczyną? Chyba tak! Zaczynałem kojarzyć fakty. Tamci obdarci i brudni, wegetujący w starych rozpadających się domkach - podczas gdy tutaj mieszkania stoją puste, w magazynach jest wszystko, co potrzebne do normalnego życia... I ci, młodzi i rozbrykani, napadający kupą na domniemanego przybysza stamtąd...

Najwidoczniej istniał konflikt między jednymi a drugimi, jakiś zagadkowy podział społeczeństwa. Ci, którzy opanowali śródmieście, bez litości odpychali tamtych, nękali ich, zwalczali... Pamiętam zachowanie oberwańców, ich trwożne skradanie się pod osłoną cienia, "gaszenie" latarni... Kogo się bali, przed kim kryli? Czy przed tymi smarkaczami? Kto systematycznie niszczył automaty żywnościowe w bezludnych osiedlach na obrzeżu miasta? Dlaczego osiedla te były niezamieszkałe? Czyżby lunantropi mieli rację mówiąc, że Ziemię zamieszkuje zdegenerowana, wymierająca odmiana ludzi?

Zastanowiło mnie jedno jeszcze: wśród młodych na ulicy ani też wśród bandy z przedmieścia nie zauważyłem kobiet. Nie rozumiałem, co się tu dzieje, choć odkrywałem pewne prawidłowości. W gruncie rzeczy nie interesowały mnie na razie szczegóły dotyczące tutejszego społeczeństwa. Chciałem znaleźć to miejsce, dotrzeć tam jak najprędzej... Czy jednak potrafię poradzić sobie bez niczyjej pomocy?

Odszedłem od okna i usiadłem, by zastanowić się nad planem dalszych poszukiwań. Spojrzałem na wideofon, stojący przede mną na stoliku. Był czynny. Po naciśnięciu przycisku ekran rozjaśnił się i zabrzmiał głos automatu:

- Centrala miejska - proszę podać numer lub nazwę abonenta.
- Proszę informację miejscową - powiedziałem.
- Informacja, słucham.
- Kto kieruje administracją miasta?
- Centralny Zespół Koordynacji.
- Proszę mnie połączyć z szefem.
- CZK jest zespołem komputerów.
- Chcę mówić z nadzorującym je człowiekiem.
- Zespół pracuje bez nadzoru.
- Więc proszę posterunek policji.
- Nie ma takiej instytucji.
- Cholera! - zakląłem wreszcie zniecierpliwiony.
- Abonent nieznany - odpowiedział spokojnie automat. Mógłbym długo tak rozmawiać...
- Trzy siódemki, trzy jedyńki - powiedziałem na chybił trafił.

Ekran ściemniał, w głośniku kilkakrotnie zabrzęczało, nim pojawiła się twarz mężczyzny. Wyglądał na trzydzieści lat, miał nie ogolone policzki i długie potargane włosy.

- Czego? - burknął patrząc na mnie z ekranu.

- Masz trochę czasu? - spytałem.

- No, może mam. Kto ty jesteś? Zaczekaj chwile... Odwrócił się do kogoś drugiego. Słyszałem, jak powiedział:

- Nie wiem, jakiś obcy - a po chwili, w moim kierunku: - No, gadaj o co chodzi?

- Przyleciałem wczoraj, dawno tu nie byłem i nie znam miasta - wyjaśniłem.

- Skąd przyleciałeś? - przerwał przyglądając mi się uważnie.

- Z Księżyca - wypaliłem patrząc mu w twarz. Zamilkł na chwile.

- Gwolisz. Przecież widziałem lunaka... Ale na zgreda też nie wyglądasz... - powiedział powoli, z zastanowieniem. - Kto ty jesteś tak naprawdę? Odsuń się trochę od kamery, muszę cię obejrzeć!

Odstąpiłem trzy kroki w tył. Widziałem, jak twarz mu się zmienia z emocji.

- Ty...! Ty jesteś kosmak! Bitt, popatrz, gnypel prawdę mówił, że w mieście jest kosmak!

Na ekranie pojawiła się twarz drugiego mężczyzny, łysiejącego brodacza.

- Skąd wiesz, że kosmak? - mruknął niedowierzająco.

- Nie widzisz? Ma gwiazdę, po tym się ich poznaje! I gada tak inaczej, po staremu. Ty, kosmak, masz broń?

- Mam. Wróciłem z Dżety. Mam tu coś do załatwienia...

- To nie z nami będziesz załatwiał - przerwał brodacz. - Nie zwariowałem, dyrba!

- A nie sprzedałbyś tej broni? - spytał drugi, pakując się w ekran.

- Uważaj, jak ci sprzeda!

- Możemy pogadać! - rzuciłem od niechcienia, żeby przedłużyć rozmowę.

- Ja tam z tobą nie pohandluję. Ale ci pomogę, bo jesteś grzeczny, dyrba. Przyślę ci docenta, znam jednego. Stary ful, ale dogadacie się. Może mi co dasz za to. Jaki numer?

- Numer?

- No, wideofonu.

- Sto jedenaście, pięćset piętnaście - powiedziałem patrząc na tabliczkę aparatu.

- Dobra, to gdzieś w centrum. Nie wychodź lepiej na ulicę, bo ci gnypel dogwoła. Dużo ich tam w centrum. W razie czego rozgwalaj łby, niczego się nie bój, tu bez tego nie pożyjesz. Zadzwoń do docenta.

Ekran zgasł, a ja zacząłem się teraz dopiero zastanawiać, czy dobrze zrobiłem podając numer mojego wideofonu. Kto wie, co zrobią te podejrzane typy... Przed kilkoma smarkaczami mogłem się jakoś obronić, ale... Zresztą, pomyślałem, nie mam innego wyjścia. Ci dwaj przynajmniej wyglądali i rozmawiali dość normalnie, jak na ten nienormalny świat. Wiedziałem już, co w moim wyglądzie wywołało tak piorunujące wrażenie na wszystkich, którzy mnie widzieli: emblemat w kształcie gwiazdy, naszyty na moim kombinezonie - tradycyjny symbol używany od dawna przez wszystkich członków załóg statków międzygwiazdnych. To on identyfikował mnie jako "kosmaka", co miało widocznie oznaczać astronautę wracającego z Kosmosu; tak, jak słowem "lunak" określano tu mieszkańców

Księżycu... Widocznie czasem pojawiali się tu jedni i drudzy, lecz jak mi się zdaje, różnie byli traktowani. W każdym razie kosmak budził respekt i to było mi bardzo na rękę.

Leksykon bogacił mi się coraz bardziej. "Gnyple" - to byli ci młodzi, hałaśliwi chłopcy z rurkami za pazuchą. Poza tym byli jeszcze "zgreby" - chyba ci z podmiejskich domków. No i "docenci", o których nie wiedziałem jeszcze nic.

Jakże odmienny był ten świat od wszystkiego, co mogłem sobie wyobrazić w czasie mojej podróży. Prawdę mówiąc, nie próbowałem nawet budować go sobie zbyt szczegółowo w wyobraźni. Powodowałoby to jedynie niepotrzebne dodatkowe rozterki oprócz tych targających mną w chwilach refleksji. Inność przyszłego świata - niezależnie od realiów - była wystarczającym powodem niepokoju. Zbliżający się moment odlotu potęgował psychiczne napięcie między mną a Yettą. W każdym razie, sądząc po sobie samym, uważałem jej spokój za maskę, podobną do tej, za którą sam skrywałem swój stan ducha. Do tego wszystkiego jeszcze "Mefi" dokładał swoje diabelskie pokusy...

Do ostatniej niemal chwili przed moim odlotem z Ziemi na orbitę parkingową "Heliosa" van Troff przy każdej okazji namawiał mnie, bym zaakceptował jego propozycję. Uwierzył, wmówił sobie po prostu, że jest to jedyny sposób potwierdzenia przydatności dzieła jego życia.

- Przecież się kochacie! - mówił wpadając w patetyczne uniesienie.

- Czyż jest coś piękniejszego i cenniejszego niż uczucie, wielkie i prawdziwe?

Nie byłem wówczas, tak jak on, pewien wielkości mojego uczucia. Być może Yetta kochała mnie taką właśnie miłością, jak wyobrażał sobie "Mefi". Ale ja? Czy - gdybym był zakochany aż tak bardzo - nie powinienem był zrezygnować z podróży do Dżety?

Van Troff jakby nie chciał zauważyć tej antynomii... lub może chciał wmówić we mnie to uczucie... Wymyślony przez niego eksperyment stał się ostatnim, być może, celem jego życia.

- Czyżbyś bał się, że miłość Yetty nie przetrwa tych kilku minut po twoim odlocie? - Innym razem kpił sobie, jakby chciał zagrać na mojej męskiej ambicji. - To tak, jakbyś spóźnił się chwilę na umówione spotkanie. Na pewno czekałaby cierpliwie...

- Nie mogę jej tego proponować - powiedziałem wreszcie za którymś razem. - Przecież... mógłbym nie wrócić albo...

- Myślisz, że mógłbyś zakochać się w jednej z pięknych mieszkanek układu Dżety?

- Mówię poważnie. Mogę nie wrócić. Co wówczas? Yetta znajdzie się sama w obcym świecie...

- Nie przesadzaj. Pięćdziesiąt lat to mimo wszystko nie tak ogromny skok w czasie, by nie umiała sobie poradzić. Kobiety są zaradne, łatwo się adaptują...

- Nie wiem, czy zechciałaby... Wiedząc, że nie ma powrotu w swoje czasy, do swojego życia...

- Nie wymagaj ode mnie za wiele... - mruknął i zamilkł. - Powiedziałem ci, że to dopiero połowa odkrycia. Na resztę byłoby mi potrzebne jeszcze jedno życie... A ona... zgodzi się na pewno. Sam powiem jej o tym, niezależnie od twojej decyzji. To wreszcie także jej sprawa...

- Nie rób tego, nie stwarzaj jej złudzeń!

- Jakich złudzeń? Człowieku, uwierz wreszcie, że to, czemu poświęciłem życie, jest coś warte! Zrobiłbym jeszcze więcej, gdybym zdążył... Wówczas być może udałoby się wam obojgu albo jej samej, gdybyś ty nie wrócił, cofnąć wszystko...

- Co masz na myśli? Cofnąć? Wrócić?

- Może... Powiedziałem, że to kwestia jeszcze wielu lat pracy... Antygravitacja... Wystarczy w teorii zmienić znaki we wzorach... Czy także znak przy symbolu oznaczający czas... Nie wiem. Wybacz, lecz n i e wiem... Na razie tylko czuję, ale tu nie wystarczy intuicja...

Uparł się. Powiedział jej, a ona bez namysłu uchwyciła się tej możliwości. Rozmawialiśmy o tym tylko raz. Jej entuzjazm zagłuszył mój głos rozsądku. Powiedziała: "Do zobaczenia, wiesz, gdzie mnie znajdziesz. Choćby to miało trwać dłużej niż pięćdziesiąt lat..."

Tak wyglądało nasze pożegnanie. Kiedy byłem już w autokarze, Yetta pomachała mi ręką, a potem złożyła obie dłonie i przechyliwszy głowę, oparła o nie policzek. Tym dziecinnym gestem przypomniała mi, że "idzie spać"... Podobnie żegnała mnie wiele razy, gdy odprowadziwszy ją wieczorem do domu, stałem pod jej oknem, by zobaczyć ją jeszcze raz, zanim odejdę. Tylko że wtedy wracałem po kilku dniach, by znów się z nią spotkać. Teraz było to pożegnanie na dłużej, przynajmniej dla mnie, bo ona...

Nie wiedziałem, kiedy zamierza skorzystać z cylindra. Od razu czy za rok, dwa... Zawsze była tak niecierpliwa... Kiedy nie mogłem spotkać się z nią przez tydzień, zajęty w ośrodku przygotowawczym, telefonowała codziennie z pretensjami lub czułościami na przemian. Nie potrafiła znieść mojej nieobecności, jednak ani słowem nie wspominała nigdy o moim bliskim odlocie. A ja wiedząc, że będę musiał ją opuścić, też tchórzliwie unikałem tego tematu. Może początkowo wierzyła, że jej uczucie zdoła mnie zatrzymać, że zrezygnuję z udziału w wyprawie? A może od początku wiedziała o wynalazku van Troffa?

Brzęczyk wideofonu wyrwał mnie z rozmyślań. Na ekranie widniała twarz mężczyzny może sześćdziesięcioletniego, o siwych włosach i gładko ogolonej twarzy.

- Witam cię - powiedział z uśmiechem. - Zmieniło się tu u nas trochę, co? Z której ekspedycji jesteś? Od komandora Glimma?

- Dzień dobry - odpowiedziałem. - Od Harveya. Wróciłem z Dżety. Wyruszyliśmy w dwutysięcznym czterdziestym drugim.

- Ho, ho! Ładny kawałek czasu... Wszyscy myśleli, że... No, że nie wrócicie... A potem... Potem już nie miał kto zajmować się Kosmosem. Dość było własnych kłopotów. Ale pogadamy sobie później. Teraz słuchaj. Jestem blisko, ale nie chcę łązić po ulicy. Masz jakąś broń?

- Mam porażacz.

- Znakomicie. Wyjdź ostrożnie na ulicę. Spójrz w prawo. Zobaczysz duży budynek z magazynem obuwia na parterze. Wejdź do tego magazynu^ W głębi, za regałami, zobaczysz drzwi windy towarowej. Wyjadę do ciebie tą windą. Za pięć minut. Gdyby cię ktoś po drodze zaczepiał, wal z porażacza bez ostrzeżenia. Nie daj się tylko zaskoczyć od tyłu. Masz gwiazdę, nie powinni cię atakować. Gnyple boją się kosmaków.

- Dobrze. Zaraz tam będę, docencie - powiedziałem.

- Nie musisz mnie tytułować! - zaśmiał się. - To słowo oznacza teraz coś innego niż w twoim dwudziestym pierwszym wieku.

Wyszedłem na korytarz i zjechałem windą na dół. W sieni przy drzwiach wyjściowych stali tyłem do mnie dwaj krótko ostrzyżeni chłopcy.

- Zgwałać, fule! - powiedziałem groźnie. Spojrzeli równocześnie w moją stronę. Jeden znanym mi ruchem sięgnął w zanadrze... Nie zdążył już wyjąć stamtąd ręki. Upadł, trafiony słabym impulsem z porażacza. Drugi rzucił się do drzwi i uciekł krzycząc coś głośno. Przeszedłem w poprzek ulicy, odprowadzony spojrzeniami kilku innych, czujnie skrytych pod ścianami, i bez przeszkód dotarłem do magazynu obuwia. W otwartych drzwiach windy stał mój rozmówca z wideofonu.

- Wchodź - powiedział zapraszając gestem.

Przyjrzałem mu się. Przez pierś miał przewieszoną jakąś ogromną armatę - chyba miotacz laserowy. Winda drgnęła i ruszyła w dół.

- Musimy dobrze uważać, żeby nam ta hołota nie włąziła na dolne poziomy - powiedział, gdy wysiedliśmy. - Z przyjemnością dobraliby się do tego wszystkiego. Nam też by nie dali spokoju.

Prowadził mnie krętym korytarzykiem, otwierał jedne po drugich wąskie drzwiczki, potem jeszcze raz zjeżdżaliśmy windą. Przestronnym tunelem dotarliśmy do wielkiej, słabo oświetlonej hali pełnej pracujących maszyn. Za nią było znów kilka przejść, zeszliśmy schodami o parę pięter w dół, mijając podesty, z których rozchodziły się brudne i ciemne przejścia w głąb podziemnej budowli. Mój przewodnik objaśnił przyświecając reflektorem.

- Jesteśmy w drugiej warstwie, trzydzieści metrów nad poziomem gruntu. Niżej jest miasto, które znałeś z twoich czasów. Zresztą i tutaj, i jeszcze wyżej wystają stare budowle z dwudziestego i dwudziestego pierwszego. Pierwszy strop przeciął je w połowie albo, te wyższe, w jednej trzeciej wysokości. Cała kubatura jest zalana krazolitem, ale klatki schodowe i szyby wind są drożne, przynajmniej w niektórych. Dzięki temu jest dostęp do wszystkich warstw, aż po naturalny grunt. Niestety, nie w każdym miejscu. Tam gdzie strop położono powyżej budynków pierwszej warstwy, nie da się tak prosto zejść. Stare ulice są poprzegradzane litymi podporami stropu i tylko odcinkami dostępne. Ale tam i tak nie ma po co chodzić. Wytwórnice są w trzeciej warstwie, inżynieria miejska w drugiej; na poziomie gruntu została tylko kanalizacja, kolej w wydzielonych tunelach i rezerwowe siłownie, nie używane zresztą.

Rozgadał się objaśniając mijane obiekty. Widać czuł się jak u siebie w tych mrocznych zakamarkach.

- No, to jesteśmy na miejscu - powiedział. - Sam byś pewnie nie trafił.

Stanęliśmy przed betonowym blokiem, zamykającym tunel, którym tu przyszliśmy. Mój przewodnik dotknął ręką ściany. Gdzieś nad nami zaskrzeczał głośnik.

- Ile jest siedem razy osiem? - zabrzmiał tubalny głos z wysoka. "Docent" spojrzał na mnie z uśmiechem.

- Aby dostać się do Hadesu, trzeba mieć obola. Pięćdziesiąt sześć! - odburknął w górę i ściana rozstała się przed nami, ukazując oświetlone wnętrze. - Uważaj, nie potknij się!

Na środku leżał biały ludzki szkielet. Pod ścianami zauważyłem jeszcze kilka. Ściana zawarła się za nami.

- To są ci, którym udało się z tabliczką mnożenia. Dotarli aż tutaj, ale ich radość była krótka. Umarli z głodu. Zostawiliśmy ich tu, dla przykładu... - Dotknął następnej ściany.

- Całka nieoznaczona z iks do minus trzeciej potęgi po de iks? - rozległo się z góry.

- Przez całki elementarne żaden dotąd nie przebrnął! Minus jedna druga iks do minus drugiej potęgi.

Następna ściana rozwarła się, przepuszczając nas do pomieszczenia pełnego światła i zieleni bujnej roślinności. Na środku, wśród kolistego basenu, tryskała fontanna. Promienniki umieszczone wysoko pod stropem dawały złudzenie słonecznego światła i ciepła. Stałem oniemiały ze zdumienia. Mój przewodnik napawał się zaskoczeniem, jakie mi zgotował.

- Ładnie tu, prawda? Trzeba jakoś żyć... Zrobiliśmy sobie tutaj kawałek prawdziwego świata. Niestety, tylko kawałek i nie bardzo prawdziwego. Chodź, należy nam się jakiś obiad.

Zaprowadził mnie do luksusowo urządzonego apartamentu, pełnego żywych roślin i wygodnych foteli. Na półkach pod ścianami stały szeregi książek i kaset z mikrofilmami.

- Usiądź - powiedział wskazując mi fotel i wyjmując z szafki butelkę i kieliszki. - Tutaj mamy bibliotekę. Możemy teraz spokojnie porozmawiać. Miałeś, zdaje się, jakąś sprawę do załatwienia?

- Ilu was żyje tu, na dole? - spytałem rozglądając się po salonie.

- Sześciu.

- Sześciu? - powtórzyłem myśląc, że się przestyszałem.

- Tak, sześciu. Ostatnich sześciu. Zresztą dla większej liczby osób nie starczyłoby komfortu. Ostatecznie należy nam się. Jedynych sześciu jako tako normalnych w tym mieście...

A przecież to ja, ja sam skazałem na bytowanie w tym nienormalnym świecie dziewczynę, która kochała mnie tak prawdziwie - pomyślałem. Nie wolno było do tego dopuścić! Ona, taka delikatna, wrażliwa, wypieszczona w mojej wyobraźni, podsycanej wspomnieniami jej słów, jej obrazu, wegetuje teraz być może rzucona gdzieś w ciżbę odrażających indywiduów, zaludniających to miasto... Ona, którą przecież tak kochałem i wtedy, i teraz...

Czy kochałem Yettę już wtedy, przed odlotem? Zadawałem sobie to pytanie, lecz fascynacja podróżą odsuwała ów problem na drugi plan. Dopiero w drodze, a właściwie u jej półmetka w układzie Dżety, gdy wydobyto mnie z anabiozy, pytanie wróciło, z odpowiedzią coraz jaśniej rysującą się w mózgu... Może sprawiła to odległość w czasie i przestrzeni od wszystkiego, co zostawiałem, opuściłem na tak długo... Yetta była jedynym oparciem dla myśli wracających na Ziemię. Wszystko musiało się tutaj zmieniać; ona jedna trwała niezmienna, ta sama... Wierzyłem w to niezachwianie, choć nie miałem przecież żadnej pewności, czy w końcu nie zrezygnowała z zamierzonego planu. Dla mnie była tam, w cylindrze. Ta myśl, jak niepodważalny aksjomat, stała się jedynym kryterium mojego działania. Kochałem ją - teraz dopiero świadomie; uczucie to było mi niezbędne. Fotografia Yetty towarzyszyła mi wszędzie - w kabinie statku, w sterowni ładownika; gdy wyruszałem na którąkolwiek z planet, miałem ją zawsze w jednej z zewnętrznych kieszeni skafandra, bym w każdej chwili mógł po nią sięgnąć. Była moją wiarą, moim sensem bytu... Tak było prawie do końca...

Obudzeni z anabiozy, u kresu naszego powrotu, dowiedzieliśmy się, że po osiągnięciu zaledwie około jednej ósmej planowanej prędkości silniki odmówiły posłuszeństwa. Tak więc podróż powrotna trwała sto kilkadziesiąt lat zamiast dwudziestu.

Wszyscy byliśmy tym wstrząśnięci. Wtedy po raz pierwszy dopuściłem do świadomości myśl o tym, że ona może już na mnie nie czeka... Przeklinałem na przemian - silniki "Heliosa", van Troffa, siebie...

Gdybym odleciał, pożegnany na zawsze z Yettą - jak ze wszystkimi żyjącymi, których za lat pięćdziesiąt mogłem już nie spotkać - wracałbym teraz, jak moi towarzysze, pogodzony z sytuacją... Dopiero w takich chwilach człowiek zdaje sobie sprawę, jakiego znaczenia mogą nabierać pojedyncze zdania czy słowa, kiedyś przez kogoś wypowiedziane. Przypomniałem sobie słowa Yetty: "...choćby to miało trwać dłużej niż pięćdziesiąt lat..." Uczepiłem się tych słów z nową wiarą i zapałem. Snułem przypuszczenia, wyobrażałem sobie sytuacje... Oto Yetta w oznaczonym czasie wychodzi z cylindra, a przekonawszy się, że "Helios" jeszcze nie powrócił - wraca tam, by czekać dalej...

Wiadomość o naszej awarii nie mogła dotrzeć do Ziemi wcześniej niż kilkadziesiąt lat po starcie z Dżety... Przy szybkości, jaką rozwinął statek w powrotnej drodze, musiało upłynąć dużo czasu, nim znaleźliśmy się w obszarze zasięgu łączności z Ziemią. Komputer pilotujący nadawał meldunek, o tym wiedzieliśmy z zapisu... Czy został odebrany? Potwierdzenie nie nadeszło...

Teraz gdy znam sytuację panującą w tym czasie na Ziemi, mogę sobie wytłumaczyć przyczynę tego braku odpowiedzi... Wszystkie wątpliwości odżyły na nowo. Tam, na Księżycu, i tutaj, w ziemskim mieście... Jedynym sposobem, by wszystko do końca wyjaśnić, mogło być odnalezienie cylindra van Troffa... Czy go znajdę? Czy ona... tam jest? Czy w ogóle była tam kiedykolwiek? A może żyłem tylko złudzeniami?... Nie, ona musi tam być... Dla niej to przecież tylko szesnaście minut! Szesnaście minut! Czyżby nie miała dość cierpliwości... i odwagi... by je przeczekać? A jeśli czeka... Przecież nie mogę pozostawić jej tam na zawsze...

- Musisz mi chyba dużo wyjaśnić; najlepiej od początku. A co do mojej sprawy... Czy potrafisz mi wskazać drogę... Szukam budynku Instytutu Grawitologii... Oczywiście tego z połowy dwudziestego pierwszego wieku... - powiedziałem, rozglądając się po przytulnym wnętrzu.

- Znajdziemy. Mamy tu plany ze wszystkich okresów. Inna sprawa, że mogą być trudności z dotarciem... Zostawiłeś coś tam?

- Właśnie. Muszę poszukać.

- Nie wiem, czy znajdziesz. Wnętrza budynków były zazwyczaj opróżnione przed zasklepieniem.

- To było w piwnicach, a właściwie... pod piwnicami... W głębokim szybie.

- Może się uda tam dotrzeć, zobaczymy. Ale nie ma pośpiechu, czekało dwieście lat, poczeka jeszcze trochę. Czuj się naszym gościem.

- A twoi towarzysze?

- Poszli w teren. Każdy ma swoje interesy. Wrócą na kolację, poznasz ich. Oni też się ucieszą. Ostatni kosmak był w tym mieście chyba ze czterdzieści lat temu.

- Co się z nim stało?

- Wyjechał. Do innego miasta, nie wiem nawet dokąd. Też czegoś szukał. Wy wszyscy czegoś szukacie, pewnie własnych śladów... Chyba wam zazdrozczę...

- Czego? Samotności? Zagubionego czasu?

- Życia. Prawdziwego, z rozmachem...

Zamilkliśmy obaj. Patrzyłem na starego człowieka, nalewającego do kieliszków przejrzysty płyn. Może miał rację...

- No, to... - powiedział podając mi kieliszek. - Sądząc z języka, którego używasz biegle, choć nieco archaicznie, jesteś stąd. A więc, starym zwyczajem - zdrowie!

- Alkohol? - spytałem wachając zawartość kieliszka. - Przeturwał wszystkie przełomy historyczne...

- Przeturwał. Było już z tym krucho, ale wskrzesiliśmy dobre tradycje - zaśmiał się trącając mój kieliszek.

Trunek był mocny, a ja nie piłem... od dwustu lat, można by powiedzieć.

- Nie pytam, jak ci się podoba świat, który zastałeś, bo z góry znam odpowiedź - podjął odstawiając kieliszek. - Nie musisz go chwalić nawet przez kurtuazję. To nie nasza wina, że jest taki. A zresztą, czy można tu mówić o czyjejs winie?

- Dlaczego właściwie zaprosiłeś mnie tutaj? - spytałem, gdy mój gospodarz zabrał się z wprawą do przygotowania jakiegoś popisowego dania. Używał do tego - oprócz opakowanych produktów, które znałem ze sklepów - także świeżych warzyw i zieleniny.

- Przede wszystkim dlatego, że lubię porozmawiać. Tutaj jest na co dzień dość monotennie. Nic już nie ma do roboty, chyba że ktoś, jak my, jej szuka. Oni wszyscy, ci z miasta, żyją jak trzoda: między żłobem, wybiegiem i spaniem. Czasem się jeszcze trochę pobodą, ale po prawdzie nie ma już o co ani o kogo. Wszystko dostają pod sam nos: syntetyczne pożywienie, wciąż jednakowe, ale za to w obfitości; mają odzież, mieszkanie, jakieś tam własne rozrywki, których byś zapewne nie rozumiał... Miasto dba o nich i będzie dbało, dopóki pozostanie w nim choćby jeden konsument. Nawet jeszcze dłużej, aż się to rozstroi i rozleci. Nim to jednak nastąpi, nie będzie po nas wszystkich ani śladu. Automatyzacja produkcji, unifikacja konsumpcji, optymalizacja genotypu... Z tych trzech rzeczy dwie pierwsze udały się, nie można powiedzieć... Tylko że nudno jak wszyscy diabli... I tak już od stu co najmniej lat. A my, skoro już przez nierozwagę czy wręcz głupotę znaleźliśmy się tutaj, musimy sobie jakoś tę powszechność urozmaicać. Wolisz sałatę z octem, oliwą czy śmietaną?

- Masz nawet śmietaną? - byłem szczerze zdziwiony.

- Mamy jednego dobrego biochemika. Miasto produkuje różne rzeczy, lecz na użytek ogółu zestawia z tego optymalne kompozycje białkowo-tłuszczowo-węglowodanowe, na ogół obrzydliwe lub zgoła nijakie w smaku. Na szczęście dobraliśmy się do komponentów tych mieszanek i czasem udaje się zrobić coś strawnego. A zieleninę sami hodujemy. Zresztą spróbujesz i ocenisz. A jeśli ci będzie smakowało, to mam nadzieję, zrewanżujesz się paroma informacjami o waszej podróży. Gdzie was, u licha, nosiło tyle czasu? Przecież, o ile pamiętam, powinniście byli wrócić około dwutysięcznego setnego roku...

- Silniki, w drodze powrotnej... A właściwie to który rok macie teraz? Dwa dwieście czterdziesty? Śmieszne, ale nie sprawdziłem tego od chwili lądowania na Księżycu. Jakoś nie pomyślałem o tym.

- Czterdziesty pierwszy. Ja też gubię się czasem w tych rachunkach, szczególnie po paru latach anabiozy. Ostatnio zresztą nie hibernujemy się wszyscy równocześnie, więc jest jakaś ciągłość kalendarza... Widziałeś te szkielety w komorze wejściowej Bunkra. Kiedy wszyscy naraz byliśmy w anabiozie, jacyś wścibscy mieszkańcy miasta dotarli aż tutaj. Na arytmetyce nie dali się zagiąć. Dopiero gdy komputer przepytał ich z elementów analizy matematycznej, nie mogli już wybrnąć, nawet zbiorowym wysiłkiem. Cała bieda w tym, że hibernując się zapomnieliśmy zdjąć blokadę wyjścia z pierwszej przegrody. Zwykle przetrzymywaliśmy trochę takich ciekawskich, żeby ich postraszyć. No, i kiedy się zwitalizowaliśmy, było już cokolwiek za późno... Ten test wejściowy zaprogramowaliśmy na wypadek, gdyby ktoś z Kosmosu albo z Księżyca trafił tu przypadkiem i potrzebował schronienia. Jesteśmy gościnni dla przybyszów, lecz tubylców tu nie chcemy. To nie dla nas towarzystwo. Nasze hibernatory są dobrze ukryte, ale ostrożności nigdy za wiele na tej planecie. Musisz o tym pamiętać, jeśli masz zamiar tu pożyć...

- Przeżyłem na czterech planetach Dżety...

- Ilu was przeżyło?

- Wróciło nas dziewięćoro z piętnastoosobowej załogi. Zwabili nas na Księżyc, a potem zamknęli.

- Sami już nie wiedzą, kogo się bać... Uciekłeś?

- Chcę poznać rzeczywistą sytuację.

- Kolejna planeta do odkrywania! - uśmiechnął się melancholijnie. - Pomogę ci. Znam trochę historię i terażniejszość. Żyję tu dość długo. Ale trzeba wreszcie powiedzieć sobie: dość! Jak wiesz, wielokrotna hibernacja nie wychodzi na zdrowie, zwłaszcza w starszym wieku. A w tym świecie - im dalej, tym gorzej. Trzeba wreszcie przestać korzystać z odroczenia końca...

- Ja i moi towarzysze mamy podobny problem: co zrobić z dalszym ciągiem życia. Nasza wyprawa okazała się nikomu na nic niepotrzebna. Cały materiał naukowy krąży po orbicie wokół Księżyca, na pokładzie "Heliosa".

- Co znaleźliście?

- Cztery planety. Każda zupełnie inna. Dziesięć lat pracy, cztery osoby zginęły, dwie przepadły bez śladu.

- Życie?...

- Na jednej. Obfita flora, dobra atmosfera z tlenem. Pozostałe - bardzo surowe, niebezpieczne, nawet wrogie. Na jednej z nich ślady pobytu istot rozumnych. Dość świeże.

- W układzie Tau też odkryto jedną dobrą planetę. Pamiętasz może tę wyprawę? Odlecieli przed wami, wrócili po waszym odlocie. Potem jeszcze wielu tam poleciało...

- A inne ekspedycje?

- Kilka wróciło, dwie zaginęły. O ile wiem, nigdzie więcej nie znaleźli warunków do osadnictwa.

- Wszystko na marne! - powiedziałem ze złością. - To, co zdziałaliśmy, nie było warte życia ani jednego z tych wspaniałych, odważnych ludzi... Ani nawet połowy, tej lepszej połowy życia tych, co wrócili.

- Jak tam było? - mój rozmówca rzucił pytanie, siląc się na obojętny ton. Wiedziałem jednak, że pożera go ciekawość.

- Każda z planet to osobna historia. Nazwaliśmy je, dla ułatwienia, nazwami zaczynającymi się na kolejne litery alfabetu. Pierwsza to Arion. Druga nazywała się Bella... ale nie zasłużyła na tak piękną nazwę, choć wyglądała kusząco i mile. Tam właśnie straciliśmy dwóch towarzyszy i odtąd nazywaliśmy ją po prostu Druga. Trzecią nazwaliśmy Cleo. Tu właśnie natrafiliśmy na ślady Obcych, lecz musiał to być okresowy pobyt jakiejś wyprawy. Pozostawili sporą budowlę pod strażą dość perfidnych automatów. Niewiele brakowało, a zostałbym tam na wieki wraz z dwoma innymi... A czwarta, Doria, rokowała duże nadzieje. Zbudowaliśmy tam naszą stałą bazę. Były nawet projekty pozostawienia kilku osób, ale ostatecznie nikt nie został. W chwili odlotu było nas i tak o sześcioro mniej.

- Co wiecie o tych... Obcych?

- O nich samych niewiele: wysoki poziom technologii, rozmiary zbliżone do ludzkich. Żadnych danych o wyglądzie, pochodzeniu... Musieli spodziewać się gości w tej swojej budowlu, bo zabezpieczyli ją dość złośliwie. Łatwo tam wejść. Wydostać się znacznie trudniej...

- Jak do naszego Bunkra - wtrącił.

- A... rzeczywiście. Chodziło chyba o to samo. Tylko, że ich tam nie było.

- A może byli, dobrze ukryci?

Zastanowiłem się. Wtedy na Cleo nie braliśmy tego pod uwagę. Budowla Obcych była w naszym mniemaniu tylko zmyślnie skonstruowaną pułapką. Być może kryła w sobie więcej tajemnic, których my, zaabsorbowani ratowaniem własnej skóry, nie byliśmy w stanie dostrzec.

Może otarliśmy się o Obcych, nie wiedząc o tym, nie umiając stwierdzić ich obecności - gdy oni śledzili nasze wysiłki, zmierzające do wypłatania się z zadanej nam testowej sytuacji, sami pozostając biernymi obserwatorami, oceniającymi stopień naszej sprawności intelektualnej?

Czy naprawdę udało się nam wyjść zwycięsko z próby dzięki własnym umiejętnościom? A może wyszliśmy tylko w wyniku ich łaskawego przyzwolenia, gdy orzekli, że nie dorastamy do ich poziomu? Za późno teraz zastanawiać się nad tym...

Mój gospodarz nazywał się Mark, tak przynajmniej kazał do siebie mówić. Był wyjątkowo uprzejmy, choć jego sposób bycia i nadmierne gadulstwo drażniły mnie chwilami. Usprawiedliwiłem go jednak tym, że nieczęsto zdarzało się podejmować tu gościa. Miał przy tym jedną niewątpliwą zaletę: nie zadawał zbyt wielu pytań. Z zakamarków wielkiego regału wy dobył obiecane plany miasta i próbował przy mojej pomocy ustalić położenie interesującego mnie obiektu.

- Zdaje się, że masz szczęście, kosmaku - uśmiechnął się, podnosząc oczy znad planu. - Ten budynek, o który ci chodzi, wystaje ponad pierwszy strop. Dostaniesz się tam z drugiego poziomu, na pewno jest zejście, bo w pobliżu przebiega jeden z głównych kolektorów wodnych. Widzisz, tutaj... To ujęcie wody do celów przetwórczych, wprost z rzeki...

- Ta rzeka... istnieje?

- Rzeka - uśmiechnął się ironicznie. - Przepływa przez kilka miast, takich jak to. Właściwie to prawie kanał ściekowy. Ale jest - tam, w głębi.

Jeszcze przez pół godziny zestawiał plany różnych poziomów, porównywał coś, szkicował na kawałku kartki.

- Jeśli chcesz, mogę cię zaprowadzić na drugi poziom. Dalej sam sobie poszukasz.

Zgodziłem się skwapliwie. Jego dyskrecja była mi bardzo na rękę. Byłem mu wdzięczny za to, że nie interesował go cel moich poszukiwań.

Wyruszyliśmy jeszcze tego samego dnia, po obiedzie, który Mark przygotował szczególnie starannie i z dużym talentem.

Znów wchłonęły nas ciemne przejścia, brudne klatki schodowe, ponure odcinki ulic, wyłaniające się z grobowej ciemności w smugach naszych latarek. Schodziliśmy w głąb coraz niżej, przechodząc odcinki korytarzy w caliźnie domów wypełnionych szarą, twardą masą. Czasem trzeba było przecinać w poprzek prostokątne podwórza, utworzone pomiędzy ścianami domów i płytami zamykającymi ulicę z obu stron. Kilkakrotnie chcąc wydostać się z takiej przestrzeni, trzeba było forsować parę pięter, by znaleźć się powyżej stropu, na następnym poziomie, i stamtąd na powrót opuszczać się w dół... Trójwymiarowy labirynt miasta chwycił nas w pułapki ślepych korytarzy, utrudniając dotarcie do najniższych swych pięter.

- Tu nikt właściwie nie wchodzi - powiedział Mark przystając, by nabrać tchu po kolejnej wspinaczce po wyszczerbionych schodach. - Oni żyją na powierzchni i na przedostatnim poziomie, gdzie przebiegają główne ciągi komunikacyjne. Niżej żyją tylko szczury. Jest ich mnóstwo...

- Widziałem - wtrąciłem. - Nauczyły się korzystać z udogodnień cywilizacyjnych...

- Są bardzo niebezpieczne. Oczywiście, gdy jest ich dużo. Niezmiernie inteligentne. Mnożą się bardzo szybko i stają się agresywne.

- Czy sądzisz, że... to one w końcu zostaną głównymi użytkownikami miasta?

- Nie na długo, ale niewątpliwie przeżyją nas tutaj. Później stopniowo skończy się wszystko, cały mechanizm zacznie się rozstrajać, a one nie będą już umiały poradzić sobie bez syntetycznej żywności...

- To miasto ginie, prawda? - spytałem, patrząc na Marka w słabym świetle odbitym od szarej ściany przed nami.

- Gdyby tylko ono... Ginie ten świat, już od dawna. Chyba zauważyłeś, że miasto jest prawie puste...

- A ci z przedmieść?

- Ech, to zbyt skomplikowane, by wyjaśnić w paru słowach. Porozmawiamy o tym w wygodnych fotelach.

Ruszył przed siebie, oglądając sypiące się ściany mijanych budynków, jakby próbował odcyfrować z dawna zatarte napisy z nazwami ulic.

- Czy... nie można nic poradzić, zapobiec?... - spytałem cicho.

- Czemu? Wymieraniu ludzkości? Nikt nie zamierza ich ratować, to nie miałyby sensu. Oni wymierają planowo. Po prostu nie rozmnażają się. To bardzo humanitarny sposób likwidacji.

- Przecież jest sporo młodych?

- Niczego nie zauważyłeś? Byłeś tam, na Księżycu... Nie wyjaśnili ci, na czym to polega?

- Oni? Niechętnie i niejasno wspominali coś o degeneracji... O popełnionych błędach...

- Pomówimy o tym kiedy indziej. Dużo kobiet widziałeś w tym mieście?

- No... chyba... żadnej.

- Masz odpowiedź.

- Nie ma ich?

- W każdym razie bardzo niewiele... i coraz mniej. Może Cyryl wytłumaczy ci to szczegółowo, on jest biologiem, zajmował się genetyką. Zdaje się, że jesteśmy na miejscu.

Niebieskoszara elewacja budynku wydała mi się znajoma. Tak, to mogło być tutaj. Przecięty stropem drugiego poziomu na wysokości okien siódmego piętra gmach Instytutu wspierał swą bryłą kolejny strop. W oknach pozbawionych szyb szarzały zwały skrępego krazolitu.

- Czyżby nie było wejścia? - mruknął Mark i ruszył wzdłuż ściany. Poszedłem za nim.

- Może z drugiej strony? - podsunąłem.

- Zobaczymy. Powinni zostawić jedno przynajmniej okno. Zwykle tak robili, by można było dostać się do trzonu budynku poprzez jedno z zewnętrznych pomieszczeń.

Obeszliśmy wokół bryłę budowli, szczelnie wypełnioną twardym monolitycznym tworzywem.

- Nic z tego - powiedział Mark. Poczulem, jakby twarda płyta ugięła się pod moimi stopami. - Ale jest jeszcze szansa. Następny poziom wspiera się o dach budynku. Musimy się tam dostać.

Poświecił dokoła, szukając najbliższej budowli. Instytut stał w środku pustego placu, jak potężny pylon, dźwigający strop w promieniu kilkudziesięciu metrów. Mark ruszył na przełaj w stronę jakiegoś ciemnego budynku.

- W porządku - powiedział, sprawdzając coś na swoim szkicu. - To chyba dawny Ośrodek Obliczeniowy. Chyba do tej pory pracuje tu jakaś jednostka systemu komputerowego miasta. Drzwi wejściowe budynku były otwarte. Wąskimi schodami ruszyliśmy w górę, pokonując wysokość sześciu pięter.

- Doskonale! - Mark wskazał na metalową drabinę, zawieszoną u wjazdu na dach. - Spróbuj otworzyć pokrywę.

Wdrapałem się na drabinę i, wspierając się plecami o klapę wjazdu, uniosłem ją w górę. Wionęło stęchłym powietrzem, z góry posypały się grudki ziemi. Uniosłem dłoń z reflektorem i zaświeciłem w szparę pod uchyloną klapą. Powyżej znajdowała się płytka studzienka, pokryta ciężką kratką jak ściek kanalizacyjny. Usunąłem ją bez trudu i wydobyliśmy się na kolejny poziom.

- Tam! - Mark wskazał kierunek i ruszyliśmy po sykim, wysuszonym gruncie, będącym kiedyś zapewne trawnikiem. Po obu stronach biegły zaniedbane, spękane pasma asfaltowych jezdni, dalej szeregi jednakowych wysokich bloków, których architektura była mi zupełnie obca. To już było miasto powstałe na długo po moim odlocie.

- Tu gdzieś będzie zejście - powiedział Mark, przeszukując pas ziemi w odległości pięćdziesięciu metrów od miejsca, gdzie wyszliśmy na górę. - Twój Instytut jest pod nami... O, do licha. Jest, ale otwarte...

Nachyliłem się nad czarną, prostokątną dziurą w ziemi. Po pochyłych ścianach studzienki szurnęło w górę kilka szczurów.

- Szczurzy szlak. Musimy uważać, może ich być więcej. Przygotuj porażacz - powiedział Mark, przesuwając na pierś swój zawieszony na pasku miotacz gazowy. - Czego one szukają na drugim poziomie?

Schodziliśmy ostrożnie po metalowych krętych schodkach. Tak, to był Instytut. Znałem ten hali na najwyższym piętrze, kiedyś stała tu ogromna palma, tuż przed dyrektorskim gabinetem. Teraz była to przestrzeń ograniczona brudnymi ścianami i stropem pełnym nawisłych pajęczyn kurzu. Z otworów wyjętych drzwi wybrzuszały się zwały krazolitu.

Zbiegłem w dół po lastrykowych schodach, na których pozostał jeszcze jaśniejszy pas po okrywającym je niegdyś chodniku. Mark z trudem nadażył, więc zwolniłem nieco.

- Idź sam, zaczekam tutaj - powiedział, opierając się o poręcz gdzieś na poziomie szóstego piętra. - Nie chce mi się wdrapywać z powrotem tak wysoko.

- Niedługo wrócę - powiedziałem.

- Powodzenia - mruknął, wyciągając z kieszeni woreczek z tytoniem i fajkę.

Do piwnic dotarłem bez przeszkód, jeśli nie liczyć gromadki szczurów rozpierzchłych w strumieniu światła, którym je odnalazłem w ciemności piwnicznego korytarza. Czego tu szukały?

Czyżby jednak było stąd jakieś inne wyjście na niższym poziomie? W podnieceniu dwukrotnie pomyliłem drogę w labiryncie piwnicznych korytarzy, nim dotarłem do ukrytego przejścia. Odblokowałem mechanizm zamka i pchnąłem betonową płytę. Ustąpiła bez trudu. Stałem nad wylotem szybu z krętymi schodkami. Były zardzewiałe, lecz trzymały się jeszcze nieźle. Zszedłem powoli na dół.

Kłapa wjazdu była zamknięta. Szarpnąłem uchwyt. Uniosła się łatwo.

Skierowałem snop światła w głąb cylindra. Chciałem zawołać, lecz głos nie zdołał wydobyć się ze ściśniętej krtani...

Zsunąłem się w dół po metalowej drabince. Reflektor oświetlił ciasną przestrzeń. Wnętrze cylindra było puste. Nie... Niezupełnie puste. Pod ścianą, na gładkiej płycie podłogi, leżała ogromna wiązanka kwiatów. Przyklęknąłem oświetlając je z bliska. Na wpół rozwinięte pąki jasno-czerwonych róż były świeże i pachniały mocno. Między płatkami błyszcząco uwiecznione krople wody. Dłonie drżały mi, gdy rozgarniałem liście, raniąc opuszki palców o ostre kolce. Nie... Nie było żadnego listu, nic oprócz kwiatów... A więc była tutaj, była przed chwilą; gdyby nie silny zapach róż, mógłbym w tej ciasnej przestrzeni odnaleźć jeszcze znany tak dobrze i zapamiętany zapach jej ciała... Przed chwilą była tutaj...

Kiedy stąd odeszła? Czy zostawiwszy kwiaty wyszła od razu, nie zamierzając powrócić? Nie, w takim przypadku pozostawiłaby choć słowo pożegnania. A może, odczekawszy cztery minuty, wyszła, by sprawdzić, czy wróciłem? Nie, wyszłaby zabierając kwiaty, aby mi je dać na powitanie. ..

- Więc kiedy? Dlaczego?...

Nie wiem, jak długo siedziałem tam, we wnętrzu cylindra, wymyślając i odrzucając przeróżne warianty. Gdyby kłapa wjazdu była zamknięta, na zewnątrz upłynęłyby zapewne całe tysiąclecia...

Teraz gdy minęło nagle całe napięcie oczekiwania, kiedy rozwiały się nadzieje, które utrzymywały mnie w ciągłej gotowości do działania, czułem, jak przybywa mi lat - jakby oszukiwany tak długo czas odbierał sobie należną mu daninę...

Próbowałem nie poddać się jeszcze, utrzymać w sobie wbrew wszystkiemu tę wiarę, która była mi tak potrzebna wtedy, w kosmosie i teraz... Wielokrotnie zestawiałem w różnych wariantach domysły i hipotezy, szeregując je według prawdopodobieństwa. Co mogło stać się tam, na dole? Co stało się później? Dlaczego Yetta opuściła cylinder i nie powróciła tam więcej? Bo w to, że jednak tam była, wierzyłem bez cienia wątpliwości. Kwiaty, którymi miała mnie powitać, były tego wystarczającym dowodem.

Pięćdziesiąt lat - planowany okres mojej nieobecności - we wnętrzu cylindra trwał cztery minuty. Wyobrażałem sobie Yettę, z bukietem w dłoni, spoglądającą na zegarek przez te wszystkie minuty... Kiedy upłynęły, jej spokój w ciągu następnych kilku sekund musiał przerodzić się w popłoch. Świadoma, że na zewnątrz, poza cylindrem, w tempie zegarowego sekundnika migają miesiące i lata, musiała działać błyskawicznie. Wypuściwszy z ręki bukiet, wspięła się zapewne po drabince, by otworzyć właz. Wtedy oszalały czas zwolnił, wracając do normalnego tempa. Mogła się zastanowić.

Co zrobiłbym na jej miejscu? Oczywiście, wystarczyło wyjść na którekolwiek piętro gmachu, wcisnąć kontakt wideofonu, połączyć się z centralą służby kosmicznej. Wówczas, w pięćdziesiąt lat po moim odlocie, Instytut musiał jeszcze funkcjonować. Może tylko dolne piętra znalazły się już poniżej pokrywy pierwszego stropu, ale klatka schodowa pozostała do dziś od dołu do góry nie uszkodzona i nie zasklepiona. Mogła swobodnie wyjść i wrócić, zasięgnąwszy informacji...

Czego mogła się dowiedzieć w centrali? Wówczas jeszcze niczego. "Helios" był już w drodze powrotnej, lecz poza zasięgiem łączności. Dlaczego nigdy przedtem nie usiłowałem wyobrazić sobie tej sytuacji - Yetty opuszczającej cylinder... Umówiliśmy się przecież, że to ja ją tam odnajdę. Ale tego, co zaszło, nie braliśmy pod uwagę. Nie, nieprawda. Na pewno każde z nas myślało o tym, lecz żadne nie chciało poruszyć tej sprawy. Jak dwa cholerne strusie woleliśmy nie ustalać innej wersji spotkania. Być może wydawało się nam, że sama wiara w powodzenie naszego planu uczyni go niezawodnym...

Dlaczego tam nie wróciła? Statek kosmiczny opóźniający się o całe lata - to znowu nie taka rzadkość... Tak. Ale nie o stulecie, półtora stulecia... A zresztą przecież mogła wychodzić stamtąd wielokrotnie. Świeżość kwiatków świadczyła o tym, że za każdym wyjściem zamykała właz. Czy robiła to tylko odruchowo, czy... celowo, by róże nie zwiędły? Jeżeli tak, to musiała wciąż wierzyć, czekać... Aż wreszcie, wyszedłszy kolejny raz, nie powróciła. Co uniemożliwiło jej powrót? Kiedy to nastąpiło? Sto lat temu? Przed rokiem? Przed tygodniem? Może właśnie teraz, niedawno i... jest gdzieś tutaj, w mieście?

Przeraziłem się tej myśli: sama tutaj? Jak straszną rzecz zrobił van Troff, zrobiliśmy obaj...

Ale przecież mogła wyjść w każdej sekundzie tych szesnastu minut; tyle trwała moja nieobecność dla niej, zamkniętej we wnętrzu grobowca, który miał ją zwrócić żywą, młodą po wielu latach...

Znów rozwijam kilka wariantów i nie umiem wybrać żadnego z nich. Nie, nie wiem nic, nie dowiem się nigdy... Zaraz, spokojnie, bez egzaltacji! Są tylko dwie możliwości: ona żyje albo nie żyje...

Truizm. Ale od tego trzeba zacząć. Więc jeśli żyje, to... albo wróci lada chwila do cylindra i znajdzie list ode mnie, i nim zdąży zamknąć właz, ja go ponownie otworzę, bo przecież będę tam wciąż zaglądał...

Albo wyszła dawno temu i teraz...

Wstrząsnęła mną okropna wizja: ujrzałem ją wśród gromady oberwańców z przedmieścia; starą kobietę o zmierzwionych włosach, w poszarpanych łachach, wygnaną z miasta przez czeredę wojowniczych chłopaków ze stalowymi rurkami w dłoniach.

A jeśli nie żyje? Odganiam tę myśl, nie chcę brać jej pod uwagę. Yetta musi być tutaj, laka sama jak dawniej, zjawi się lada chwila.

Ale muszę być tego pewny. Jest na to sposób. Jeśli ograniczę się do przyjęcia dwóch skrajnych możliwości, to wystarczy wejść do cylindra i zamknąć właz. Pierwsze dwie, trzy minuty przyniosą odpowiedź, wyzwolą mnie z udręki dociekań i domysłów. Jeśli się nie zjawi, pozostawię za sobą o kilkadziesiąt lat w tyle ten czas i te sprawy... I co dalej? Jak będzie wyglądała Ziemia za pół wieku?

A jeśli przyjdzie, lecz... nie taka, jakiej się spodziewałem? Kto wie, ile czasu spędziła dotychczas poza cylindrem? Jeśli zamiast dwudziestoletniej, pięknej dziewczyny, którą kocham, zjawi się stara kobieta? Czy ją także kocham? Czy zdobędę się choćby na pozory uczucia do Yetty sześćdziesięcio... siedemdziesięcioletniej?! Śmieszne i tragiczne zarazem. Kogo właściwie kocham i czy to w ogóle prawda, to uczucie... Czy nie jest tylko urojeniem, wypełniającym myśli przez całe lata dalekiej podróży?

Co robić? Zejść tam zaraz, zatrzasnąć pokrywę cylindra i pędzić na oślep w niewiadomą przyszłość tej planety? Bo przecież nie uda się niczego cofnąć, odwrócić... Cofnąć?

Przekłete niech będą diabelskie sztuczki starego "Mefi". Nie, teraz jeszcze tego nie zrobię. Dni czy nawet tygodnie nie odgrywają żadnej roli. Mogę uczynić to w każdej chwili... Nie chcę tego zrobić, jeszcze nie... Czyżbym bał się tej szczególnej, dziwnej nieśmiertelności, której widać przeląkł się sam jej wynalazca?

A Yetta? Może i ona przelękła się trwania, może zapragnęła przeżyć swoje normalne, ludzkie życie w jakimś dowolnym, wcześniejszym czy późniejszym czasie - zamiast trwać praktycznie poza czasem? Może, nie wierząc w mój powrót po tylu latach i widząc ku czemu zmierza ludzkość, uznała, że dalsze odraczanie życia nie ma sensu? Jeśli spotkała kogoś, jeśli z nim pozostała - czy mam prawo ją potępić?

Jeśli jednak jest tutaj, w tych piekielnych zakamarkach pełnych potępionych skazańców - znajdę ją...

Wracaliśmy w milczeniu. Mark szedł przodem, oświetlając drogę. Nie pytał o nic. Czy mógł znać tajemnicę podziemi Instytutu? Jego poszukiwania w planach miasta, błądzenie po podziemiach, nim znaleźliśmy wejście, mogły być pozorowane... Ale jaki cel mogłoby mieć takie udawanie?

Nie wiem dlaczego, opadły mnie niejasne podejrzenia, domysły... W pewnej chwili gotów byłem podejrzewać Marka i jego towarzyszy, przypisywać im winę za nieobecność Yetty w cylindrze... Co powodowało te podejrzenia? Zastanawiałem się nad tym. Doszedłem do wniosku, że ten człowiek, jeden z kilku mieszkańców luksusowego schronu, zupełnie nie pasuje do tutejszej rzeczywistości, zajmując w niej wraz z towarzyszami jakąś szczególną pozycję... Czyżby był nie z tego czasu, podobnie jak ja? Nie był "kosmakiem" ani przybyszem z Luny. Kim był? Skąd wziął się w tym wynaturzonym społeczeństwie? Jeśli z przeszłości, to w jaki sposób przebył dystans czasu od swojej epoki do dziś?

Gdy opuszczałem Ziemię, istniała jedna tylko metoda przesunięcia życia ludzkiego w przyszłość: anabioza, osiągalna w stanie hibernacji. Jednak już wówczas, ze względu na problemy techniczne, wynikające z jej stosowania, do hibernacji uciekano się w pojedynczych przypadkach i to głównie w celach medycznych - dla krótkotrwałego utrzymania pacjenta w stanie utajonego życia, w oczekiwaniu na zabieg operacyjny. Poza tym hibernowano astronautów w czasie ich podróży. Sam przecież w czasie mojej dwustuletniej nieobecności postarzałem się zaledwie o kilkanaście lat dzięki temu, że podróż w obie strony odbyłem w anabiozie. Efekty relatywistycznej konstrukcji czasu nie miały w naszej podróży decydującego znaczenia - szczególnie podczas powrotu, odbywanego z prędkością znacznie mniejszą od zaplanowanej.

Mark najwyraźniej nie pasował do teraźniejszości. Jeśli wiedział o cylindrze... Nie, nonsens. Nie mógł wiedzieć...

Postanowiłem raz jeszcze postawić pytania, na które nie uzyskałem dotychczas odpowiedzi. Wydawało mi się, że szczegółowe odtworzenie dziejów Ziemi, ludzkości czy choćby tego miasta pozwoli mi natrafić na jakiś punkt zaczepienia, ślad pozwalający dociec, co się stało z Yettą.

W schronie zastaliśmy jeszcze dwóch jego mieszkańców. Przyjęli mnie

- podobnie jak Mark - ciepło i z zainteresowaniem. Obaj byli w wieku Marka - po sześćdziesiątce, lecz w bardzo dobrej kondycji fizycznej. Cyryl - wysoki, dobroduszny, o dużej, lekko łysiej głowie - był biologiem; drugi szczupły i nieduży, imieniem Noam, przedstawił się jako specjalista od demografii. Zaspokoiwszy ich ciekawość, odpowiadając na pytania o Osiedla na Księżycu i o przebieg naszej wyprawy, zapytałem o to, co interesowało mnie najbardziej.

Noam okazał się skłonny do rozmowy na ten temat.

- Już w połowie dwudziestego pierwszego wieku - powiedział

- a więc w czasach, które znasz, a nawet wcześniej jeszcze pojawiły się dwa problemy: przeludnienie i niedobory żywności. Wprawdzie modernizacja procesów wytwórczych łagodziła sytuację, oddalając o dziesięciolecia perspektywę powszechnego niedożywienia ludności Ziemi, lecz granice możliwości zaczynały się rysować dość wyraźnie i konkretnie. Trzeba było pomyśleć o dalszej przyszłości.

Proponowano kilka sposobów zaradzania nadciągającej groźbie. Jeden z nich - ograniczenie liczby ludności Ziemi i ustalenie tak zwanego zerowego przyrostu naturalnego - proponowano już dawniej, w końcu dwudziestego wieku; drugi sposób miałby polegać na ekspansji ludzkości poza Ziemię i poza Układ Słoneczny. Kilka wypraw międzygwiazdnych - takich jak

ta, w której uczestniczyłeś - miało między innymi na celu rozpoznanie możliwości kolonizacyjnych na planetach innych słońc. Jedną z wypraw, notabene, natknęła się na planetę znakomicie nadającą się do zasiedlania przez ludzi. Wysłano nawet sporą grupę pionierów - osadników, jednakże koszt przedsięwzięcia był niewspółmierny do efektu. Opinia publiczna domagała się poświęcenia większych funduszy na ulepszenie produkcji białka i węglowodanów, sprzeciwiając się topieniu ich w oceanie Kosmosu. Tak więc ekspansja poza Ziemię okazała się dość iluzoryczną metodą polepszenia sytuacji ludnościowej na Ziemi. Owszem, koloniści mogliby zagospodarować inne planety i dać na nich początek nowym gałęziom ludzkości, jednak masowa emigracja stała się praktycznie niewykonalnym przedsięwzięciem.

- A co się stało z tymi kolonistami, których udało się wysłać? - wtrąciłem.

- Przez kilkanaście lat borykali się z trudnościami, nie wiodło im się najlepiej. Potem z nieustalonych przyczyn kontakty rozluźniły się, wymiana informacji stała się rzadka i uboga... Zresztą wkrótce potem Ziemia wkroczyła w okres kryzysu, o którym chcę ci właśnie opowiedzieć. Wówczas to całkowicie niemal zaniechano przedsięwzięć astronautycznych, zredukowano do minimum fundusze na te cele, a cały wysiłek nauki skupiono na problemach ziemskich...

Tak więc dla przeciwdziałania groźbie głodu i przeludnienia wszczęto akcję w dwóch zasadniczych kierunkach; wzmożonej, intensywnej produkcji żywności i stabilizacji liczby mieszkańców Ziemi. To był początek procesów, które doprowadziły do sytuacji, jaką dziś oglądasz...

- Niezbyt się to udało, jak sądzę - wtrąciłem. - Chyba popełniono jakieś niewybaczalne błędy?

- Być może, gdyby ich nie popełniono, byłoby równie źle. Ale dziś trudno to ocenić... Jak wiesz, procesy demograficzne charakteryzują się dużą bezwładnością. Oznacza to, że przedsięwzięcia demograficzne owocują z opóźnieniem co najmniej dwóch generacji, a więc prawie półwiecza... Już w końcu dwudziestego wieku oszacowano dość trafnie granice możliwości globu ziemskiego w zakresie zapewnienia warunków do życia rosnącej liczbie populacji. Tyle że futurologowie jak zwykle nie doceniali tempa przemian. Horyzont przybliżył się gwałtowniej, niż się spodziewano. Pod koniec dwudziestego pierwszego wieku, a więc w czasie gdy twoja wyprawa powinna była wrócić z Dżety, ponownie wymodelowano i przeanalizowano tendencje dalszego rozwoju sytuacji ludnościowej i stwierdzono, że nadeszła ostatnia chwila dla podjęcia radykalnych decyzji.

Prace trwały zresztą od dawna i już w drugiej połowie dwudziestego pierwszego wieku uczyniono pierwszy krok. Powstał, opracowany przez światowe centrum badań demograficznych, program stabilizacji zaludnienia Ziemi. Chodziło o to, by w sposób radykalny kontrolować liczbę urodzeń i nie dopuścić do wzrostu ludności Ziemi ponad pewien docelowy poziom maksymalny. Równocześnie trwały prace w wielu dziedzinach, zmierzające do uzyskania dostatecznej ilości "czystej" energii, a także produktów żywnościowych i innych podstawowych materiałów.

Wobec widocznego w perspektywie najbliższych dziesięcioleci wyczerpania się surowców energetycznych - zdecydowano się w pełni wykorzystać energię Słońca. Już wówczas istniały techniczne możliwości wykorzystania trzydziestu procent energii słonecznej, docierającej do

powierzchni Ziemi, poprzez zamianę jej na energię elektryczną. Powstał jednak dylemat: baterie słoneczne umieszczone na znacznych obszarach powierzchni Ziemi zajęłyby miejsce lasów, pastwisk i upraw rolnych, wykorzystujących wprawdzie tylko około jednego procenta energii Słońca padającej na dany obszar, lecz produkujących tak istotną dla życia ludzi biomasę, a także regulujących zawartość tlenu, dwutlenku węgla i pary wodnej w atmosferze oraz stosunki wodne w glebie.

Problem rozwiązano, o czym przekonałeś się zapewne lądując poza miastem. Dziś praktycznie nie ma już roślinności, upraw rolnych, lasów i łąk. Cały obszar lądów poza miastami pokryty jest płytkami Grilla. Nie są to zwyczajne fotoogniwa. To niezwykle pomysłowy wytwór ludzkiej technologii: zintegrowane elementy przetwarzające energię słoneczną, które działają jak liście roślin zielonych, lecz ze znacznie większą wydajnością. Pochłaniają one w dziewięćdziesięciu kilku procentach energię promieniowania Słońca; połowa z tego zużywana jest na produkcję energii elektrycznej, około jednej trzeciej na fotosyntezę. Ponadto płytki pełnią wszelkie funkcje liści - a więc pochłaniają dwutlenek węgla, wydzielają tlen i parę wodną, a także zbierają wodę opadową z całego obszaru. Wynalazek ten ukształtował w znacznej mierze naszą obecną sytuację, lecz nie tylko on.

Drugim przedsięwzięciem, podjętym na wielką skalę, stała się powszechna antykoncepcja jako metoda regulacji urodzeń. Istota jej polegała na tym, że wszyscy ludzie zamieszkujący Ziemi poddani zostali działaniu pewnej substancji organicznej, która spowodowała modyfikację kodu genetycznego w obrębie komórek rozrodczych. Modyfikacja ta, przekazywana dziedzicznie na potomstwo, powoduje "blokadę zapłodnienia". Tak więc wszyscy stali się w zasadzie "na co dzień" niezdolni do spółdzenia potomstwa. Odblokowanie możliwości zapłodnienia uzyskuje się przez doraźne podanie innej substancji - aktywatora, uczynniającego komórki rozrodcze na pewien krótki okres. Powszechne zastosowanie takiej blokady daje więc możliwość regulacji liczby urodzeń poprzez racjonowanie aktywatora. Metodę przyjęto jako jedyne wyjście z grożącej sytuacji demograficznej. Jej wprowadzenie nie wywołało specjalnych oporów ze strony ludności Ziemi, albowiem nie krzywdziła ani nie wyróżniała nikogo, nie naruszając też innych podstawowych funkcji biologicznych człowieka. W ostatnich dziesięcioleciach dwudziestego pierwszego wieku przeprowadzono więc operację "blokady prokreacji", wprowadzając ową substancję do wody pitnej i atmosfery na całej kuli ziemskiej. Sytuacja ludnościowa zdawała się być opanowana.

Początkowo wszystko szło jak najlepiej. Zniknął problem niepożądanego ciąży i nie chcianego dziecka. Pary, które pragnęły mieć potomstwo, zgłaszały się do specjalnych placówek leczniczych, gdzie podlegały wszechstronnym badaniom. Pozytywny wynik badań upoważniał do otrzymania porcji aktywatora i spółdzenia potomka - pod kontrolą oczywiście, aby aktywator został użyty przez osoby, którym przysługiwał. Chodziło też o to, by skład tej substancji, będący ścisłą tajemnicą, nie został przez kogoś rozszyfrowany - bo tylko jego ścisła reglamentacja zapewniała skuteczność metody. Badania kandydatów na rodziców także nie budziły społecznego sprzeciwu. Każdy wszak pragnąc mieć dziecko chciał, aby było zdrowe fizycznie i psychicznie.

Odmowa udzielania zezwolenia, umotywowana możliwością powikłań fizycznych lub dziedzicznych obciążeń u potomstwa, przyjmowana była zwykle pozytywnie. Były

oczywiście próby obejścia zarządzeń. Zdarzały się kradzieże aktywatora przez pospolitych przestępców, jednak uczeni stanęli na wysokości zadania pod względem moralnym i żaden biochemik nie dał się wciągnąć w aferę nielegalnej produkcji tej substancji. Jak wszystko, co trudno dostępne, aktywator stał się przedmiotem pokątnych spekulacji i na czarnym rynku osiągnął zawrotne ceny, jednakże te drobne przecieki nie groziły naruszeniem ogólnego stanu. Wyniknęła jednakże zupełnie nowa sprawa. Powszechność badań kandydatów na rodziców, obejmujących także badania genetyczne, spowodowała niepokojące odkrycie. Wśród badanej populacji stwierdzono poważną liczbę niepożądanych mutacji genetycznych, spowodowanych zapewne rozlicznymi czynnikami mutogennymi, występującymi w przemysłowych środowiskach owych czasów - skażeniami chemicznymi i promieniotwórczymi, działaniem pól elektromagnetycznych i tak dalej. - Specjaliści od genetyki uderzyli na alarm, podając równocześnie propozycję rozwiązania problemu. Powszechna antykoncepcja była okazją do oczyszczenia populacji ludzkiej z owych genetycznych obciążeń. Zaproponowano, by spośród ogółu ludzkości wydzielić pewną liczbę jednostek w wieku reprodukcyjnym, genetycznie "czystych" - i tylko tym ludziom udzielić zezwolenia na rozmnażanie.

Z badań wynikało, że liczba takich absolutnie pewnych jednostek, w przedziale wieku od zera do czterdziestego roku życia, wynosi około dziesięciu procent całej ludzkości. Gdyby zatem stymulować rozród tej grupy tak, aby każda kobieta urodziła przeciętnie czworo dzieci, a równocześnie zakazać rozmnażania się pozostałym, genetycznie niepewnym - to po okresie rzędu osiemdziesięciu lat cała populacja składałaby się z potomstwa owej najwartościowszej genetycznie grupy spośród całej ludzkości.

Ten projekt wzbudził już wiele kontrowersji i dyskusji, jednakże zwyciężył racjonalny pogląd, dający się wyrazić stwierdzeniem, iż jeśli już i tak istnieje konieczność ograniczenia i regulacji urodzeń, to niech prowadzi ona do optymalnych skutków. Na pewno lepiej będzie, jeśli za sto lat ludzkość stanie się czysta genetycznie, pozbawiona wad życia w nowoczesnym społeczeństwie - a zatem nie ma nad czym dyskutować.

Wydano odpowiednie zarządzenia, dziewięćdziesięciu procentom ludzi odmówiono prawa do rozmnażania się (w praktyce dotyczyło to tylko ludzi w wieku reprodukcyjnym, a więc mniej więcej połowy tej liczby), natomiast pozostałe dziesięć procent zostało zobowiązane do dźwigania ciężaru podtrzymywania gatunku homo sapiens. Nie za darmo oczywiście. Ustalono wiele przywilejów dla ludzi posiadających czworo i więcej dzieci. Przywileje te, siłą rzeczy niedostępne pozostałej grupie, budziły zazdrość -- choć wszyscy bez wyjątku mieli zapewnione znacznie więcej; niż minimum środków egzystencji i nawet - wobec postępów automatyzacji - praca nie była już w owych czasach obowiązkiem. Dla przeciętnego człowieka jednakże nie jest ważny bezwzględny standard życia lecz porównanie swoich warunków warunkami życia innych ludzi. Tak więc - wobec powszechnej osiągalności innych dóbr --- posiadanie dziecka stało, się dla wielu synonimem luksusu i pozycji społecznej. Przepisy były jednak twarde i tylko nielicznym "nieuprawnionym" udało się czasem zdobyć aktywator nielegalną drogą. Część ludzkość, obarczona obowiązkiem rozrodu, sprawowała się na ogół dobrze, pobudzona systemem mądrze obmyślonych bodźców ekonomicznych. Jak wynikało z prognoz, w ciągu najbliższych kilku dziesięcioleci liczba ludności świata powinna ulec pewnemu zmniejszeniu - w związku ze stopniowym bezpotomnym ubywaniem owych

dziewięćdziesięciu procent, przy niewielkiej jeszcze liczbie rozmnażających się. Miało to dać pewien "oddech" ludzkiej cywilizacji, pozwalając na przygotowanie warunków do życia dla maksymalnej, planowej liczby ludzi. Projektowano przeprowadzenie w tym czasie generalnej modernizacji miast, które -- wobec wykorzystania ogromnych terenów wokół nich dla pokrycia płytkami Grilla - stały się jedynymi ośrodkami przebywania ludzi. Całe przetwórstwo, przemysł energetykę -- ze względu na oszczędność terenu i zwartość miejskich aglomeracji - umieszczono we wnętrzu miast. Miały się one stać samowystarczalne pod każdym względem, korzystając z otaczających je wkoło pól energochłonnych Grilla.

Niestety zaszły poważne komplikacje. Ludność świata, jak się wkrótce okazało, zamiast maleć - zaczęła nawet trochę wzrastać, mimo ścisłego przestrzegania zasad systemu regulacji urodzeń. Ograniczono więc nieco liczbę zezwoleń na prokreację i gorączkowo przystąpiono do badania tego niespodziewanego zjawiska. Po kilku miesiącach sprawa się wyjaśniła. Długo trzymano to w tajemnicy przed opinią publiczną. Okazało się mianowicie, że zastosowana substancja, powodująca zahamowanie płodności, działa wprawdzie skutecznie, ale... nie na wszystkich! Nie działa ona w około dziesięciu procentach przypadków, i to - o zgrozo! - na ludzi noszących w swych komórkach rozrodczych najbardziej wynaturzające mutacje genetyczne! Wynikało stąd, że oprócz owych dziesięciu procent starannie wyselekcjonowanych, zdrowych fizycznie i wysoce inteligentnych - w równym stopniu, choć bez aktywatora, a zatem bez kontroli - rozmnaża się dziesięcioprocentowa część populacji, obejmująca ludzi silnie obciążonych genetycznie, z dziedzicznymi wadami lub o niskiej inteligencji, a nawet wręcz debilnych. Na mocy wydanych przepisów ludzie ci korzystali z przywilejów dla wielodzietnych, i rozmnażali się z dużym zapałem. Wśród sfer naukowych (należących rzecz jasna do owej uprzywilejowanej grupy rozrodczej) powstał niesamowity popłoch. Co teraz robić? Poszły w ruch komputery, które bez trudu wymodelowały sytuację na najbliższe stulecie i dały straszliwa w swej wymowie odpowiedź: przy obecnej dynamice rozrodu za osiemdziesiąt lat społeczeństwo składać się będzie w połowie z potomków owej "najgorszej genetycznie grupy, w połowie zaś z potomków grupy "najlepszej". Grupa "średnia" - około osiemdziesięciu procent wyjściowego stanu liczebnego populacji - zniknie w tym czasie, wymierając bezpotomnie. Przy tym za owe osiemdziesiąt lat zaludnienie osiągnie stan przekraczający nieco planowaną, możliwą do wyżywienia liczbę osób... A w latach następnych wzrost zaludnienia będzie oczywiście jeszcze większy!

Sytuacja przedstawiała się fatalnie. Rozpatrzono kilka wariantów postępowania - wszystkie jednak nie wytrzymały krytyki z uwagi na skutki.

A więc po pierwsze -- można było zrezygnować z całego programu, cofnąć priorytety za wielodzietność: spowodowałoby to spadek urodzeń w grupie pierwszej (genetycznie prawidłowej) i trzeciej (genetycznie silnie skażonej). Obniżyłoby to dynamikę wzrostu ludności, lecz stworzyłoby - choć nieco później - tę sarną fatalną strukturę populacji: połowa ludzi będzie genetycznie silnie obciążona. Gdyby przy tym nadal zapobiegać mieszaniu się obu grup - prowadziłyby to do coraz większego ich zróżnicowania; wymieszanie zaś spowodowałoby, że po paru pokoleniach już nikt nie byłby genetycznie bez zarzutu.

Wariant drugi: dopuścić normalne, żywiolowe rozmnażanie się wszystkich grup, także i tej średniej: ale w tym przypadku wracamy do punktu wyjścia: trzeba szukać nowego sposobu regulacji urodzeń. A tego uczeni chcieli za wszelką cenę uniknąć.

Wariant trzeci: silnie ograniczyć rozmnażanie grupy pierwszej i całkowicie drugiej. Skutek: przeludnienie nastąpi niezbyt prędko, lecz gwałtownie wzrośnie odsetek ludności dziedzicznie obciążonej, potomków trzeciej "najgorszej" grupy.

Nie podjęto żadnych decyzji i na razie pozostawiono w mocy obowiązujące zasady. Narzędzie regulacji przyrostu i czystości genetycznej, jakim miała być "powszechna" antykoncepcja, okazało się nieskuteczne właśnie wobec tych, których miało przedmę wszystkim wyeliminować...

Szukano przez wiele dziesięcioleci nowej substancji, ograniczającej rozmnażanie także tej trzeciej grupy. Trwało to do czasu, aż liczebność obu grup o pierwszej i trzeciej - zrównała się, a grupa druga zniknęła w sposób naturalny. Nastąpiło, mówiąc w uproszczeniu, rozszczepienie populacji. Równocześnie świat stanął na granicy możliwości demograficznych. Należało przedsięwziąć coś radykalnego.

I wtedy znalazł się sposób. Nie taki wprawdzie, jakiego szukano, lecz skuteczny. Nie poddawano go publicznej dyskusji -- wręcz przeciwnie, zachowano w ścisłej tajemnicy. Znała go tylko nieliczna grupa uczonych i ludzi odpowiedzialnych za politykę demograficzną. Ta grupa właśnie wprowadziła w życie nowy projekt regulacji liczby ludności. Czy był dobry i humanitarny - trudno ocenić. W każdym razie był jedynym możliwym posunięciem, przynoszącym zamierzony skutek. Potajemnie wybudowano na Księżycu samowystarczalne osiedla dla kilkudziesięciu tysięcy ludzi. Wyselekcjonowano z pierwszej grupy pewną liczbę osób - głównie uczonych najwyższych szczebli i ich rodziny, także wszystkich, którzy wiedzieli coś o nowym programie, aby we własnym interesie zachowali tajemnicę.

W krótkim czasie wciąż w tajemnicy przetrzucano tych ludzi na Księżyc. Ostatni spośród nich opuszczając Ziemię wprowadzili do atmosfery i wód nowo odkrytą substancję. Nie ograniczała ona wprawdzie możliwości rozrodu trzeciej grupy genetycznej, powodowała jednak, że u wszystkich, którzy ją wchłonęli, powstała dziedziczna skłonność do płodzenia potomstwa prawie wyłącznie płci męskiej. Liczba rodzących się dziewczynek osiągała zaledwie około jednego procenta ogólnej liczby urodzeń. Poza tym uciekinierzy zabrali ze sobą tajemnicę aktywatora, uniemożliwiając tym samym dalszy rozród grupy pierwszej. Tak więc wybrańcy ukryli się w swej arce, zsyłając potop na pozostałych. Trzeba przyznać, że ten potop nie miał cech gwałtownego kataklizmu. Nikogo nie pozbawiono prawa do życia - wręcz przeciwnie: pozostawiono działające, obliczone na wiele lat samoczynnego funkcjonowania urządzenia dostarczające żywność, zabezpieczające pomoc medyczną, zapewniono wszystkim klimatyzowane pomieszczenia mieszkalne, usunięto wszystko, co mogłoby zagrażać życiu ludzkiemu - broń, materiały wybuchowe, trucizny, nawet środki komunikacji indywidualnej, będące - przy braku dostatecznego nadzoru nad ruchem - poważnym źródłem zagrożenia życia... Uciekinierzy zamierzali spokojnie poczekać, aż ziemską ludzkość dożyje kresu.

Zadziwiające są prawa rządzące populacją. Prześledziłem to na prostym modelu matematycznym. Los owej spolaryzowanej populacji na Ziemi został przesądzony: w ciągu

następnych osiemdziesięciu lat zniknęła pierwsza grupa genetyczna. A grupa trzecia? W czasie pierwszych lat czterdziestu nastąpił w jej obrębie niewielki wprawdzie, ale zauważalny wzrost ilościowy. W ciągu następnych czterdziestu - spadek, również niezbyt gwałtowny. Kolejne, piąte dwudziestolecie spowodowało redukcję tej grupy o połowę... Dziś, w połowie szóstego dwudziestolecia od początku operacji, na Ziemi pozostało jedynie kilkanaście procent pierwotnej liczby ludzi trzeciej grupy, głównie starców płci męskiej... Za kolejnych kilkanaście lat, gdy odejdą ci najstarsi, pozostanie już tylko trochę dorosłych i starych mężczyzn, niewielka liczba młodych chłopców i... praktycznie nie będzie już kobiet.

Wszystko to wynika z nieubłaganych praw demografii... Popatrz, kosmaku. Oto wydruk z komputera, na którym modelowałem ten proces przy bardzo upraszczających założeniach wyjściowych. A tutaj mam bardzo interesujące krzywe, obrazujące śmierć populacji ludzkiej...

Mój rozmówca pokazał mi kilka wykresów.

- Jak widzisz, obecnie jest nas na Ziemi już bardzo niewiele – mówił po chwili dalej. - Za czterdzieści lat, a może prędzej nie będzie nas wcale... Wówczas, zgodnie ze swym programem, wrócą tu lunacy.

- A jeśli nawet... - powiedziałem z wahaniem. - Czy byłoby dobrze, gdyby to właśnie oni dali początek nowej ludzkości? Ich kwalifikacje moralne wydają mi się dość wątpliwe po tym, co zrobili...

- Nie sądz ich pochopnie, kosmaku. Można na to spojrzeć inaczej. Przecież oni pozostawili ludziom skazanym na bezpotomne wymarcie całą cywilizację, wszystko, co stworzyli tu, na Ziemi. Bo przecież, jak powiedziałem, była to umysłowa elita ludzkości! Nie wyrządzili nikomu bezpośredniej krzywdy. Zapobiegli piekłu przeludnienia. Zapewnili wszystkim żywność, mieszkania, energię, ubrania, rozrywkę - w granicach możliwości współczesnej im cywilizacji! Nie spowodowali niczyjej przedwczesnej śmierci - a jedynie uniemożliwili rozmnażanie. Gdyby tego nie zrobili, świat konałby z przeludnienia. A oni sami? Przecież żaden z nich tam, na Księżycu nie przeżył dłużej niż ci, którzy tu zostali. Dzisiejsi lunacy - to ich potomkowie. Czyż więc ci, którzy wyrzekli się wygod w swych ziemskich mieszkaniach, w ziemskich miastach i dobrowolnie zaszyli się w lochach Księżyca, by przechować tam genetycznie czystą część populacji - nie zasługują na miano bohaterów? Pomyśl o tym kosmaku, nim ich osądzisz!

- Bronisz ich....

- Jestem po prostu obiektywny. Gdyby zostali, pożyliby wygodnie do śmierci, nie kłopotąc się o losy ludzkości.

- Obawiam się - powiedziałem - że na nic się nie zdało ich poświęcenie. To, co tam widziałem, jest objawem degeneracji, moralnej przede wszystkim. Nawet potomkowie geniuszów, hodowani w tamtych warunkach, przestają być normalnymi ludźmi. Oni tu nie wrócą. Niektórzy już to czują, wiedzą o tym.

- Nie wiem... Nie znam ich, spotkałem zaledwie dwóch czy trzech lunaków, którzy zostali stamtąd przysłani. Rzeczywiście nie przedstawiali się najlepiej, lecz sądziłem, że to wyrzutki tamtejszego społeczeństwa...

- Wyrzutki? To chyba najlepsi spośród nich, za dobrzy, by tam wytrzymać...

- A zatem nie ma nadziei na ponowne zaludnienie Ziemi... - mruknął Mark.
- Nie rozumiem jeszcze jednego - wtrąciłem. - Dlaczego nie zostawili na Ziemi tajemniczego aktywatorka? Przecież uniemożliwiają rozród pierwszej grupy...
- ...tylko przedłużyliby jej bezsensowną egzystencję. Maskulinizacja objęłaby w jednakowym stopniu obie grupy, a koniec byłby ten sam. Myślę, że mieli w tym zresztą pewien uboczny cel: degeneracji "grupy trzeciej", pozostawieni sami sobie, znikną szybciej. Nie rywalizują ilościowo z nikim, a poza tym, nie trzymani w ryzach przez mądrzejszych od siebie, walczą między sobą, niszczą technikę, dzięki której egzystują, słowem, podcinają gałąź, na której sami siedzą... W ten sposób przyspieszają czas powrotu lunaków...
- ...którzy jednak pewnie tu nie wrócą. Czy nie ma rzeczywiście żadnego ratunku dla Ziemi?
- Jest jedna szansa, znikoma wprawdzie, ale jest. W końcu dwudziestego wieku, jak wspominałem, opuściła Ziemię duża grupa osadników, udająca się na jedną z planet gwiazdy Tau Ceti. Zaczęli wszystko od początku. Może... już nie istnieją. Jeśli jednak przeżyli i zbudowali zaczątki cywilizacji, mogą tu kiedyś wrócić. Ale wtedy nie będzie już ani lunaków, ani tych tutaj...
- ...ani docentów - dodałem.
- Docentów już nie ma - powiedział Mark z ironicznym uśmiechem. -- Nazwano tak wymierającą pierwszą grupę genetyczną po opuszczeniu Ziemi przez lunaków. Odlecieli prawie sami profesorowie, dla docentów, tych prawdziwych z habilitacjami, nie było już miejsca na Księżycu. Stąd żartobliwa - z czasów gdy jeszcze chciało się ludziom żartować - nazwa wszystkich, którzy pozostali z pierwszej grupy. Potem w ustach tych z grupy trzeciej nabrało to znaczenia pogardliwego, coś w rodzaju "mądrala" - podobnie jak kiedyś używane pogardliwe określenie "filozof". Obecnie, gdy "docenci" wymarli, słowo zostało jako obelga, którą raczą się gnyple i zgredy. Zresztą w liczbie mnogiej mówi się teraz "docenty"...
- A wy? Kim właściwie jesteście?
- To osobna historia - powiedział Mark. - Na dobrą sprawę mnie i moich pięciu kolegów też już od dawna nie powinno tu być. Pochodzimy z pierwszej grupy genetycznej. Gdy odlecieli lunacy, byliśmy dziećmi. Potem studiowaliśmy, dopóki działały uczelnie. Wiedzieliśmy, co czeka naszą generację. Postanowiliśmy... pożyć trochę dłużej. W mieście takim jak to musiało się znaleźć parę hibernatorów - w szpitalach na przykład. Zdobyliśmy je. W ten sposób przeżyliśmy naszych rówieśników. Sądzę, że w innych miastach znaleźli się podobni spryciarze...
- Właśnie... Jak jest w innych miastach?
- Sądzę, że podobnie. Trochę lepiej, trochę gorzej, ale warunki wyjściowe były identyczne. Miasta w dwudziestym drugim wieku bardzo się zunifikowały. Może w niektórych nie ma już nikogo. Jednak niełatwo to sprawdzić. Łączność i komunikacja między miastami zostały stopniowo zlikwidowane przez odpowiednio zaprogramowane centralne jednostki sterujące miastem. Lunacy przewidywali rozwój sytuacji na następne dwieście lat po ich odlocie i wszystko uwzględnili w swoich planach. Wobec doskonałej samowystarczalności! i podobieństwa miast - łączność między nimi nie ma zresztą od dawna zasadniczego znaczenia, ani gospodarczego, ani turystycznego...

- Wyjaśniliście mi wiele, dużo zrozumiałem, choć jeszcze mnóstwo spraw mnie dziwi i zaskakuje - powiedziałem. - Co stało się z kulturą? Przecież najbardziej nawet prymitywne społeczeństwa mają jakąś kulturę, sztukę... A poza tym, co oznaczają te dziwne podziały społeczeństwa?

- O kulturze porozmawiamy kiedy indziej. Może zresztą sam się zetkniesz z jej przejawami i nie będę ci musiał tego wyjaśniać... A podziały? To proste. Ci smarkacze, gdzieś tak do dwudziestego roku życia, to gnyple. Nudzą się, szukają sobie rozrywek, biją tych, którzy się ich boją. Ci z przedmieść, po czterdziestce --- to zgredy. Nic są tolerowani w mieście, wygania się ich, muszą zakradać się nocą, by zdobyć coś do jedzenia. Jest ich dużo, ale są starzy, słabi i niedożywieni...

- Kto ich wygania? Gnyple?

- Nie, ci tylko wzorują się na starszych, tych między dwudziestym a czterdziestym rokiem życia...

- Jak ich nazywają?

- Nijak. To są po prostu "ludzie". Oni właśnie prześladują zgredów, robiąc im regularne pogromy w ich podmiejskich norach za dnia i w mieście, gdy tamci zakradają się nocą.

- Ale dlaczego? Przecież dla wszystkich wszystkiego wystarczy!

- Oficjalna "ideologia" tego konfliktu głosi, iż młodzi mają za złe starym to, że ich urodzili mimo świadomości braku perspektyw na przyszłość i genetycznych obciążeń. To ich kompleks, te obciążenia. Gdyby nie przywiązywali do tego takiej wagi, większość z nich mogłaby żyć zupełnie normalnie. Ale te pretensje to tylko pretekst. Naprawdę to oni po prostu nie mogą patrzeć na starych wiedząc, że ich także czeka ten sam los. Człowiek nie lubi, kiedy mu ktoś podtyka pod nos obraz jego niezbyt świetlanej przyszłości... Zresztą obecni ludzie w średnim wieku pewnie już nie dadzą się wygonić z miasta garstce gnypli, która egzystuje w tym pokoleniu. Ale walki ze zgredami mają wieloletnie tradycje. Każdy uważa je za rzecz naturalną. W ogóle ludzie ci, urodzeni i wychowani w tym mieście po odlocie lunaków, traktują zastany układ warunków, jak człowiek pierwotny traktował dżunglę: po prostu żyją, jak się da. A bijatyki stanowią jedyną rozrywkę. Przecież nie ma tu żadnego szkolnictwa, wszyscy są zdegradowani umysłowo do poziomu ciemnego średniowiecza. Bo po co i czego uczyć członków społeczeństwa, które ginie? I kto miałby to robić? Więc żyją jak prosięta w supernowoczesnej chlewni...

- Straszne - powiedziałem w zamyśleniu.

- Można się przyzwyczaić i jakoś urządzić, jak widzisz. To wszystko, co tutaj mamy, zawdzięczamy naszym zdolnościom. Tutejsi ludzie razem z gnyplami i zgredami niby gardzą nami., ale naprawdę boją się nas i szanują. Robią z nami różne interesy. W ogóle to nas sześciu rządzi tym miastem.

- Interesy? Jakież interesy można tu robić. Przecież oni mają wszystko za darmo, z automatów, z magazynów...

- Nie wszystko, oj, nie wszystko! -- zaśmiał się Mark pstrykając palcami w butelkę. - Tego nie mają! A ja jestem z wykształcenia chemikiem i robię to zupełnie nieźle.

- Dajesz im alkohol?

- Sprzedaję. Kiedy potrzebuję czegoś od nich. Jak sądzisz, skąd mamy te rośliny? Najbliższy niewielki rezerwat roślinności znajduje się o dwieście kilometrów stąd, a środków lokomocji brak. To oni przynoszą nam skrzynki z sadzonkami. Mają dużo czasu, a alkohol też lubią... A broń? Czy myślisz, że umieją ją sami robić? Albo dostają w magazynach?

- Dostarczacie im broni? Którym?

- I tym, i tamtym. Żeby była równowaga sił. Ale nie za duża.

- Przecież to...

- Draństwo, chcesz powiedzieć? Nie takie straszne. W historii ludzkości popełniano gorsze. Tutaj są szczególne warunki, a wszystko i tak szlag trafi. Są i inne rzeczy, których im dostarczamy. Na przykład dziewczyny. To bardzo poszukiwany towar.

- Jak to? Skąd?

- Produkuje! - zaśmiał się Cyryl. Pomyślałem, że żartuje.

Z uzyskanych wyjaśnień wynikało, że byłem jedynym zapewne człowiekiem na Ziemi, który nie został poddany kolejnym eksperymentom genetycznym: nie posiadałem wrodzonej blokady rozrodczości, nie byłem też obciążony cechą odpowiedzialną za wyłącznie męską płć potomstwa... Jednakże nie miało to istotnego znaczenia, dopóki byłem tylko ja sam... Gdybym odnalazł Yettę...

Ta myśl zaczęła mnie obsesyjnie nawiedzać po kilka razy na dzień. Uwierzyłem, że mogę to uczynić celem swojego istnienia... Dać początek nowej ludzkości... Ja, Yetta i cylinder, który pozwoliłby nam przeczekać do finału tej skazanej na zagładę ludzkości... Lunacy nie wrócą tu nigdy, prędzej wymordują się wzajemnie. Cierpią na fobię wmówioną im od pokoleń. Nie wyrwą się ze swego zamknięcia...

Pomyślałem o moich towarzyszach. Były wśród nich dwie kobiety - w średnim wieku, ale można by je wziąć pod uwagę... Czy jednak zdołają wydobyć się z Luny? Czy zdołam ich wyciągnąć stamtąd nie ryzykując utraty własnej wolności lub... życia? Cóż wówczas?...

Obłudnie odkładałem na później sprawę moich towarzyszy; nie chciałem myśleć o nich teraz, dopóki nie znajdę Yetty lub nie przekonam się o jej nieistnieniu. Coraz głębiej wierzyłem w moje posłannictwo, w przeznaczenie do roli drugiego Adama, ojca nowej ludzkości... W chwilach refleksji starałem się otrząsnąć z tego absurdu, lecz obsesja wracała...

Nienawidziłem teraz van Troffa. To on właśnie winien jest, że oto rozprysnęło się wszystko, co przez tyle lat utrzymywało wewnętrzną spójność mojej osobowości. To on, kusiciel, podsunął mi swój diabelski pomysł, wbrew moim oporom wmusił we mnie ten obłądny plan. Obiecując mi Yettę, materialną i żywą, łudził mnie i mamił jej obrazem przez cały czas świadomie przeżyty poza Ziemią. Teraz, choć jej nie było naprawdę, zżyty z jej obrazem, z jej wyimaginowaną obecnością, nie potrafiłem pogodzić się z jej fizycznym nieistnieniem. Szukałem jej, nie ustając w wysiłkach, przemierzając na oślep, na chybił trafił, wszystkie dostępne poziomy i zakamarki miasta. Wypełniałem tym swój czas, bo zaprzestanie poszukiwań równałoby się dopuszczeniu do głosu realistycznych, racjonalnych wniosków, które same się narzucały... Nie umiałem sobie powiedzieć wprost: "nie ma jej, zniknęła, zgubiła się gdzieś na przestrzeni dwustu lat, jak chcesz ją odnaleźć, głupcze?"

Wiedziałem, że rezygnacja z poszukiwań odbierze wszelki sens dalszemu bytowaniu - tutaj czy gdziekolwiek. Yetta była jedynym elementem - teraz już urojonym, ale jednak... - który łączył mnie z tym światem: ginącym w oczach, skazanym na zagładę. Ale to nie był jedyny skutek diabelstwa, którym uraczył mnie stary "Mefi". Był jeszcze cylinder, realny, skutecznie działający... Ciągnął mnie, mimo woli trafiałem tam prawie codziennie w swych samotnych wędrówkach. Bukiet róż, pamiętający dotyk dłoni Yetty, leżał tam zawsze świeży i pachnący; krople wody wśród płatków wciąż jednakowo odbijały światło reflektora, gdy uchylając klapę wjazdu spoglądałem w głąb cylindra. List, który pozostawiłem dla Yetty, wciąż biał na środku podłogi...

Być może van Troff nie zdawał sobie sprawy, jakiego okrucieństwa dopuścił się wobec mnie... Dał mi nadzieję, która okazała się złudą, a równocześnie... praktycznie pozbawił mnie tego, co każdy człowiek ma w zapasie: możliwości rezygnacji z dalszego istnienia.

Patrząc w głąb przestrzeni, w której czas można było prawie zatrzymać, wiedziałem, że oprócz tamtej nie spełnionej nadziei dano mi inną jeszcze, równie złudną...

Wiedziałem już na co jestem skazany. Bo któż oprócz diabła wcielonego, jakim niewątpliwie był Vergil van Troff - oprzeć by się zdołał szatańskiej pokusie? Któż odrzuciłby możliwość zaspokojenia żądzy spojrzenia przed siebie - dowolnie, a przynajmniej niewyobrażalnie daleko?

Jak daleko? Wielekroć mnożyłem minuty przez godziny, doby, lata... Dwadzieścia pięć lat tam - to przecież... wieczność. "Ale jeszcze nie teraz" - myślałem patrząc w głąb cylindra. Moja pierwsza nadzieja jeszcze nie wygasła, jeszcze nie chciałem zrobić nieodwracalnego kroku, choć nieraz miałem nieprzepartą chęć zeskoczyć w dół, zatrzasnąwszy klapę wjazdu... A przecież to był jedyny niezawodny sposób pozostawienia wszystkiego za sobą, oderwania się od całej przeszłości, odcięcia możliwości powrotu...

Pod koniec drugiego tygodnia pobytu w mieście znałem już wszystkie możliwe przejścia, wiodące do gmachu Instytutu. Obsesja oczekiwania zaczęła niebezpiecznie opanowywać mój umysł i wolę. Czułem, że muszę zrobić cokolwiek, by przerwać to ciągnące się w nieskończoność pasmo bezsensu.

Czułem się winny w stosunku do moich towarzyszy, którzy pozostali na Księżycu. Należało im się przynajmniej parę informacji stąd, z Ziemi, aby mogli zdecydować o dalszym postępowaniu. Na razie zbierałem te informacje, ale szło mi to zbyt wolno. Moje wędrówki po mieście miały bardzo konkretny cel - uświadomiłem to sobie... Po prostu szukałem Yetty, jej śladów, jakiegokolwiek wieści o niej.

Zamiast włóczyć się po dolnych poziomach miasta, powinienem raczej wertować zbiory biblioteczne zgromadzone przez Marka i jego towarzyszy. Powinienem możliwie szczegółowo odtworzyć i zrozumieć kolejność wydarzeń, jakie zaszły po naszym odlocie. Jeśli, zgodnie z wyjaśnieniami Marka i Noama, populacja ludzka zamieszkująca Ziemię nie jest w stanie przetrwać następnych kilku pokoleń - my, niejako przybysze z przeszłości, których ominęły skutki genetycznych kombinacji, jesteśmy być może ostatnią szansą ludzkiego gatunku... Bo przecież nie lunantropi z ich degeneracją fizyczną i lękiem otwartej przestrzeni, z wypaczonymi nawykami społecznymi i skażoną psychiką.

Ale tymczasem nie potrafiłem jeszcze opanować przemożnej chęci codziennego zaglądania do cylindra. Moje wędrówki wzbogacały wprawdzie znajomość miasta na wszystkich jego poziomach, lecz nie pomagały mi poznać i zrozumieć przeszłości i terażniejszości jego mieszkańców.

Pewnego dnia, gdy wracałem z poziomu zerowego, na drugiej kondygnacji natrafiłem na dobrze zachowany gmach ze stylowym, klasycystycznym portalem. W ten sposób w różnych okresach budowano chyba tylko teatry czy muzea, nawiązując do tradycji starych kultur śródziemnomorskich. Gmach pochodził z końca XXI wieku. Zainteresował mnie głównie dlatego, że skojarzył mi się z muzeum czy biblioteką, a ponadto wewnątrz jego nie było wypełnione, gdyż nie stanowił wsporcze elementu stropu.

Oświetlając fasadę reflektorem, szukałem śladów jakiegoś szyldu czy napisu. Jednak nad wejściem widniała tylko płaskorzeźba przedstawiająca kobietę z lirą.

Jedne z ciężkich drzwi gmachu były uchylone, wszedłem przez nie do przestronnego hali i przemierzając kamienną posadzkę zagłębiłem się w łukowato biegnący korytarz. Mijałem szereg drzwi po wewnętrznej stronie łuku. Tak, to musiała być sala teatralna lub koncertowa. Nagle przez zamknięte drzwi od strony owej domniemanej sali dobiegł mnie delikatny, cichy dźwięk. Brzmiał jak pobrzękiwanie strun jakiegoś instrumentu. Instrumentu, który musiałem znać...

Ostrożnie napałem na drzwi. Otworzyły się prawie bezgłośnie. Nie tłumione dźwięki zabrzmiały ostrzej, wyraziście. Spojrzałem w ciemność za drzwiami, gasząc swój reflektor. Sala była nie oświetlona, lecz w głębi, na wprost mnie rysował się na tle czerni jaśniejszy prostokąt. Przyjrzałem się dokładniej. To był otwór sceny, częściowo przesłonięty po obu stronach na wpół rozsuniętą draperią kurtyny. Słabe źródło światła znajdowało się gdzieś za kulisami, wydobywając z mroku matowo połyskujące w głębi sceny rury organowych piszczałek. Łagodne, powolne takty prostej melodii płynęły gdzieś spoza fałdów kurtyny. Tak, to mogła być tylko harfa.

Poczułem skurcz serca i zupełnie irracjonalna myśl przebiegła mi przez głowę: przecież Yetta grała na tym instrumencie!

Zapaliłem reflektor i osłaniając światło dłonią, ruszyłem powoli pomiędzy szeregami foteli, ustawionych tarasowate wokół sceny w szczerbate półkola. Niektóre były połamane, większość miała podarte obicia. Po małych schodkach, ostrożnie, by nie wywołać najmniejszego hałasu, znów ze zgaszoną latarką wszedłem na scenę i zajrzałem za kurtynę.

Mała ręczna lampka stała na deskach sceny obok stylowego taboretu o wytartych złoceniach, na którym siedziała tyłem do mnie kobieta grająca na harfie. Widziałem jej nagie plecy i ramiona, obejmujące stojący przed nią instrument. Jej wąskie biodra opinała lśniąca tkanina, opadająca dalej w obfitych fałdach wzdłuż nóg, po obu stronach harfy.

Śpiewne arpeggia nasilały się przechodząc w fortissirno. Czułem, jak pot spływa mi po karku pod kombinezonem, a tętno rozsadza skronie...

Ten zarys ramion i lekko zgiętych pleców, ten kształt głowy z krótko przystrzyżonymi ciemnymi włosami... Bałem się wykonać jakikolwiek ruch, by nie spłoszyć tego zjawiska... jeśli było tylko widziadłem. A jeśli była to realna istota... Gdyby odwróciła twarz w moją stronę, w jednej chwili prysnęłoby złudzenie...

Stałem patrząc i słuchając. Jakże podobna była do niej, w każdym ruchu ramienia, gdy dłoń przebiegała po strunach, w każdym pochyleniu głowy, w przytuleniu twarzy do ramy instrumentu...

Podłoga trzasnęła, gdy bezwiednie zrobiłem krok do przodu. Odwróciła ku mnie twarz, przerywając grę, a potem nagle wstała.

W słabym świetle padającym od dołu dostrzegłem jej twarz. Skamieniałem. To była twarz Yetty.

Patrzyła na mnie spokojnym spojrzeniem dużych, szeroko rozstawionych oczu, których zewnętrzne kąciki były opuszczone w dół. Jej jasna, owalna twarz, odcinająca się od śniadych ramion, była tą samą twarzą, którą nosiłem pod powiekami przez cały czas mojej podróży. Stała przede mną, niewysoka, smukła, o dużych, rozbiegających się nieco na boki, sterczących pod cienką tkaniną piersiach - ta sama, nie zmieniona, bliska.

-- Yetta... - udało mi się wykrztusić, lecz nie mogłem zrobić żadnego ruchu, wyciągnąć dłoni.

- To ja, to ja...

Patrzyła na mnie - bez lęku, ale też bez uśmiechu, tylko jakby zaciekawiona. Zauważyłem, jak wzrok jej przebiega po mojej twarzy, potem ześlizguje się w dół i powraca zatrzymując się na piersi.

- Kosmak! - powiedziała cicho. - Prawdziwy kosmak...

- Yetta! -- zawołałem, ruszając ku niej z wyciągniętymi ramionami. Nie cofnęła się, stała bez ruchu z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała, bezwładna jakby, nie reagując nawet wówczas, gdy objąłem ją mocno i zacząłem całować jej twarz. Jej oczy były wciąż szeroko otwarte, lecz patrzyły w przestrzeń, jakby omijając moje spojrzenie.

- Yetta, to ja, nie poznajesz mnie? - powiedziałem szeptem.

- Nie znam cię. Nazywam się Sandra - powiedziała cicho.

Rozwarłem ramiona, cofając się o pół kroku. Patrzyłem na nią niczego nie rozumiejąc.

Sandra została ze mną. A raczej ja z nią zostałem, nie mogąc uwierzyć, że nie jest tą, której szukałem. Pamięć mnie nie myliła. Sandra była identyczna z Yettą z fotografii, którą miałem zawsze przy sobie. Była w tym samym wieku, powtórzona w najdrobniejszych szczegółach, wraz z lekką asymetrią zarysów twarzy, ze sposobem poruszania się. Tylko pamięć miała inną, a właściwie nie miała jej prawie lub nie chciała o sobie niczego powiedzieć.

Zaprowadziła mnie do swojego mieszkania na przedostatnim poziomie miasta. Małeńki pokój wypełniony był mnóstwem drobiazgów, gromadzonych bez ładu i sensu, zarzucony strojami, jakby wydobytymi z teatralnej garderoby, tak różnorodnymi i z rozmaitych epok.

Nie chciała lub nie umiała nic o sobie powiedzieć. Próbowałem usystematyzować i rozważyć wszelkie hipotezy, starałem się wyjaśnić, kim jest. Pozostałem wreszcie przy jednej - tej, która była najbardziej zgodna z moimi pragnieniami. Wymyśliłem sobie, że Sandra jest Yettą... Nie była nią pod względem osobowości, lecz i to próbowałem wytłumaczyć. Przecież nikt nie zbadał ubocznych skutków tak długiego trwania w cylindrze van Troffa! Sam "Mefi" przebywał w nim zaledwie sekundy. Być może działanie pola wpływało na zawartość pamięci i Yetta, wyszedłszy z cylindra, nie pamiętała niczego z przeszłości! Niczego oprócz umiejętności gry na harfie.

Przez trzy tygodnie, które spędziłem z nią razem, od czasu do czasu tylko zaglądając do schronu, stała się dla mnie Yettą. Cieszyłem się jej odnalezieniem, odpychając od siebie każdą myśl o tym, że może nią nie być. Czego więcej mogłem żądać! Po tylu zwątpieniach w jej istnienie - oto odnalazła się, tym bardziej droga i niezastąpiona, choć nieodgadniona do końca, obca wewnętrznie, bez tej ciągłości wspomnień i uczuć, która stanowi o ludzkiej osobowości...

Chodziliśmy razem po labiryncie miasta, które dobrze znała. Było mi teraz obojętne, gdzie chodzę i co robię - mój cel został osiągnięty, odnalazłem ją, nie byłem już tutaj sam. Jej obecność nadawała sens mojemu istnieniu w czasach, kiedy od dawna już powinno mnie nie być.

...I wtedy pośród tej euforii, tego szczęścia, w które chciałem uwierzyć, poraziła mnie nagła myśl, nie dająca się odepchnąć, natrętna. A jeśli Sandra nie jest Yettą? Tak niezwykle podobieństwo nie może być przypadkowe! Czyżby...

Tak, to było bardzo prawdopodobne! Brałem przecież pod uwagę tę możliwość. Yetta mogła przecież zniecierpliwic się wreszcie, zwątpić w mój powrót, wyjść z cylindra, rozpocząć normalne życie w tym mieście, jeśli można je nazwać normalnym. Sandra może być jej córką... Jeśli tak, to Yetta żyła na pewno jeszcze dwadzieścia lat temu... Więc może jest - gdzieś w mieście, może - korzystając z cylindra - zachowała młodość, może jest niewiele starsza od Sandry... Nie, to absurd! Jeśli już zdecydowała się opuścić cylinder, urodzić córkę, to nie wróciła tam zapewne. Córka? Mogłaby ją mieć tylko z którymś z tutejszych mężczyzn - ale przecież wiadomo, że urodzenie córki jest w tym społeczeństwie niezmierną rzadkością. Wprawdzie Yetta nie podlegała genetycznym zabiegom w przeszłości, lecz o ile wiem, o płci decydują chromosomy męskiego partnera i to one zapewne w tym przypadku nie dopuszczają do powstania żeńskiego potomka... Zbyt wiele nieprawdopodobnych zdarzeń, jak na jeden przypadek.

Wprawdzie Sandra mogła być dzieckiem mężczyzny z mojej epoki - lecz po cóż by Yetta podejmowała swą podróż w przyszłość, jeśli znalazł się w jej życiu inny mężczyzna? A jeśli Yetta była w ciąży już przed moim odlotem? Wówczas... Sandra może być moją córką! To zupełnie prawdopodobne! Upór Yetty, z jakim postanowiła trwać do mojego powrotu, mógł oznaczać, że chciała dać mi to dziecko, nie powstrzymując mnie od podróży, nie przyprawiając o rozterkę i wyrzuty sumienia. To nawet byłoby do niej podobne... Wzdragalem się przed przyjęciem tej wersji, bo pociągala za sobą nieuchronny wniosek, że od trzech tygodni żyję z własną córką. Właściwie to wszystko teraz wydawało mi się możliwe, a każda hipoteza - lepsza od tej właśnie. Przecież - myślałem

- Sandra może być córką Yetty i kogoś z jej epoki albo nawet jej prawnuczką, która przetrwała do teraz w cylindrze zamiast Yetty!

Ratowałem się w ten sposób przed zaakceptowaniem prawdopodobieństwa nie chcianej sytuacji. Nie mogłem wyrzec się Sandry, którą kochałem. Ta miłość była kontynuacją uczucia niesionego we mnie z Ziemi do układu Dżety i z powrotem. Jakże mógłbym teraz znowu zawiesić to uczucie w próżni, pozbawić je obiektu... Opędzałem się od wątpliwości i trwałem w poczuciu spełnienia pragnień.

Sandra też wydawała się szczęśliwa. Rozstawaliśmy się czasem na krótko, gdy odwiedzałem Marka i jego towarzyszy lub gdy ona wychodziła po żywność na górny poziom.

Moje myśli uporczywie powracały do przypuszczenia, że Sandra jest jednak Yettą, która utraciła pamięć. Czy mogła ją odzyskać? Myślałem nad tym. Postanowiłem nawet pokazać jej coś, co mogłoby przypomnieć jej przeszłość.

Podczas kolejnej wizyty w schronie zapytałem Marka o możliwość dotarcia do najbliższego rezerwatu roślinności.

- Owszem - powiedział. - Jest taki rezerwat. Byłem tam kiedyś, ale to bardzo daleko...

- Czy nie ma tu żadnych pojazdów? Widziałem znakomitą autostradę za miastem.

- Pojazdy istnieją, lecz nie potrafimy ich uruchomić. Są sterowane automatycznie, prowadzone przez samą autostradę, a więc pozbawione układu kierowniczego i urządzeń sterowania silnika. Zostały jednak stopniowo unieruchomione, wycofane z ruchu czy może nawet celowo uszkodzone przez automaty konserwatorskie, zgodnie z programem lunaków opuszczających Ziemię. W ogóle wszystkie urządzenia miasta kierowane są przez system komputerowy, a my, nie znając się na tym zupełnie, nie próbujemy ingerować w jego działanie, by czegoś nie popsuć. Chronimy jedynie ten mózg miasta przed jego mieszkańcami, bo gdyby się do niego dobrali... Lepiej sobie tego nie wyobrażać! Na szczęście centrum sterowania jest znakomicie zabezpieczone.

Może jednak - powiedziałem - uda mi się uruchomić jakiś pojazd. Chciałbym spojrzeć na żywe rośliny pod gołym niebem.

- Możesz spróbować. Pojazdy są zmagazynowane w garażach na przedostatnim poziomie. Mapę okolic miasta też mogę pożyczyć.

Odnalazłem garaże, w których stały pojazdy. Większość z nich nosiła ślady wandalizmu mieszkańców miasta. Automaty konserwatorskie były jednak zupełnie głuche na moje żądanie uruchomienia pojazdu - podlegały centralnemu programowi i nie sposób było je do czegokolwiek zmusić. Zabrałem się sam do rozgryzienia skomplikowanego układu elektrycznego jednego z pojazdów. Na szczęście nie był poważnie uszkodzony, Po paru godzinach udało mi się uzyskać pewien efekt. Silnik pojazdu zaczął pracować. Okazało się, że baterie energetyczne były naładowane do maksimum - widocznie automatom nie cofnięto polecenia ich doładowywania.

Teraz należało tylko sprawdzić, czy drogi zechcą przejąć sterowanie uruchomionym pojazdem. Przypomniałem sobie, że idąc w kierunku miasta, spotkałem pojazd jadący autostradą. Był to wóz techniczny, ale fakt jego poruszania się po drodze znaczył, że sterowanie działa.

Teraz, zrozumiałem, dlaczego lunacy wyłączwszy pojazdy polecili automatom utrzymywanie w porządku dróg. Widocznie chcieli - po powrocie - zastać je w stanie nadającym się do użytku. Świadczyły o tym choćby syzyfowe wysiłki wozów technicznych, naprawiających bezsensownie niszczone oświetlenie ulic na przedmieściach. Więc jednak opuszczając Ziemię liczyli na to, że ich potomkowie odnajdą ją, bezludną wprawdzie, lecz nadająca się do natychmiastowego zamieszkania. W swoich kalkulacjach uwzględnili także ową walkę wandalizmu zdziczałych mieszkańców z mechanicznym uporem automatów.

Równocześnie łatwość, z jaką udało mi się uruchomić pojazd, świadczyła niezbyt pochlebnie o poziomie technicznych umiejętności mieszkańców Ziemi w czasach, gdy opuszczali ją Junacy. Widocznie już wówczas wszelkich napraw dokonywano wyłącznie za pośrednictwem wyspecjalizowanych automatów.

Sterowanie pojazdem było proste. Na pulpicie rozdzielczym znalazłem tylko kilka przycisków; "start", "stop", "w lewo", "w prawo" "na wprost". Szybkość i promień skrętu narzucała sama droga. Wyjechałem z garażu poprzez tunel prowadzący pod górnym poziomem miasta. Była noc. Światła reflektorów włączyły się samoczynnie, oświetlając puste, rozgałęziające się tunele. Na chybił trafił przejechałem przez kilka z nich, wprawiając się w prowadzeniu pojazdu. Nie miałem z tym najmniejszych trudności. Droga prowadziła mnie bezbłędnie, jedynie na skrzyżowaniach i rozgałęzieniach tuneli należało odpowiednio wcześniej zaprogramować kierunek jazdy. Po kilku próbach stwierdziłem, że można nawet z góry określić kierunki jazdy na kolejnych skrzyżowaniach, naciskając wielokrotnie odpowiednie przyciski. Znając plan dróg, można było zatem od razu zakodować w pamięci pojazdu całą podróż. Być może możliwości pojazdu były jeszcze bardziej wyrafinowane, ale to mnie na razie nie interesowało. Pojazd był niewielki, o owalnym kształcie; górną jego część stanowiła przezroczysta kopuła, zapewniająca znakomitą widoczność. Było w nim miejsce dla dwóch osób.

Przemykając pustymi tunelami ulic przedostatniego poziomu, zauważyłem zaledwie paru przechodniów. Wszyscy z zainteresowaniem oglądali się za pojazdem, jakby pierwszy raz w życiu widzieli coś takiego w ruchu. Kiedy zatrzymałem się przy trzyosobowej grupce stojących na chodniku, cofnęli się pośpiesznie do bramy budynku.

Wróciłem do garażu i wyłączyłem pojazd. Odchodząc zauważyłem dwa automaty naprawcze, zbliżające się do niego z wyciągniętymi manipulatorami. W jednej chwili zrozumiałem, co to znaczy: miały w pamięci rozkaz unieruchomienia każdego czynnego pojazdu pasażerskiego. Oprócz nieprzydatnego w tej sytuacji porażacza nie miałem żadnej broni, którą mógłbym je powstrzymać. Ze zgrozą patrzyłem, jak zbliżają się, by zniweczyć owoc mojej pracy. Roboty zatrzymały się w połowie drogi.

W pierwszej chwili miałem zamiar wyprowadzić pojazd na ulicę, lecz od razu zrezygnowałem z tego pomysłu. Miasto działało konsekwentnie. Zgodnie z programem mój pojazd zostałby pewnie natychmiast odstawiony na właściwe miejsce przez automaty porządkowe...

Rozejrzałem się po garażu. Naliczyłem sześć robotów, stojących beczynnym w różnych miejscach rozległego pomieszczenia. Co robić? Jak je wyłączyć? Nie mam pojęcia, czy to w ogóle możliwe. I nagle, w jednej chwili znalazłem rozwiązanie. Wskoczyłem z pojazdu i szybkim ruchem porwałem wiszący na ścianie plazmowy aparat do cięcia metalu. Kabel zasilania był na szczęście dostatecznie długi. Włączyłem aparat i w ciągu kilkunastu sekund odciąłem głowy dwóm robotom, które znów rozpoczęły wędrówkę w stronę mojego pojazdu. Zatrzymały się z opuszczonymi bezwładnie manipulatorami. Potem zrobiłem to samo z czterema pozostałymi automatami i zgasiwszy palnik szybko wyszedłem z garażu. Drzwi zamknęły się za mną samoczynnie.

Teraz dopiero dotarło do mojej świadomości, że po tym, co zrobiłem, stałem się naprawdę obywatelem tego miasta... Tu po prostu nie można było inaczej, jeśli chciało się w czymkolwiek przeciwstawić zamysłom twórców miasta, cieleśnie nieobecny, lecz wciąż narzucającym swą wolę zapisaną w mózgu molocha...

Jak należało nazwać postawę mieszkańców tego miasta? Czy byli anarchistami? Anarchia wbrew pozorom nie potrafi istnieć bez władzy i porządku, któremu się przeciwstawia. Pozbawiona obiektu działań anarchia umiera albo szuka sobie nowego przeciwnika. Społeczeństwo nie może być zbiorem anarchistów, bo wcześniej czy później uformuje się z tego jakiś porządek, jakiś mniej lub bardziej wynaturzony układ stosunków.

W tym mieście nie było władzy, a raczej była, lecz nieuchwytna, nieosobowa. Mark i jego towarzysze nie dawali odczuć mieszkańcom miasta, do jakiego stopnia mogą nimi kierować. System sterowania miastem, przejawiający się w działaniu jego elementów, był jeszcze bardziej niewidoczny dla oczu mieszkańców. W tej sytuacji jedynymi realnymi przeciwnikami, których można by obwiniać i karać za bezsens egzystencji - byli inni ludzie, równie uwikłani w ten sam bezsens, lecz słabi, a więc znakomicie nadający się na przeciwników.

Wydawało mi się teraz, że lepiej zrozumiałem istotę konfliktu pomiędzy poszczególnymi grupami społeczeństwa miasta. Ale być może zbyt mało wiedziałem o nich, by zgłębić do końca ten problem.

Któregoś dnia, wędrując przez dolne poziomy z. Sandrą przytuloną do mojego ramienia, stanęliśmy niespodziewanie przed gmachem Teatru Muzycznego, gdzie spotkałem ją po raz pierwszy. Gdy wchodziliśmy do wnętrza, zapytałem, kto nauczył ją grać na harfie. Spojrzała na mnie lekko zdziwiona, jakby nie rozumiejąc. Dopiero gdy za kulisami sceny wskazałem na instrument i ponowiłem pytanie, uśmiechnęła się.

- To było dawno. Pamiętam, że kiedyś... Pewna kobieta uczyła mnie tego, a potem przychodziłam tu sama, próbowałam...

- Kim była ta kobieta?

- Nie wiem. Spotkałam ją kiedyś. Tu, w mieście... Potem jeszcze kilka razy.

- Kiedy to było?

- Chyba bardzo dawno... Tak dawno, że nie pamiętam... Może byłam wtedy zupełnie mała?

- A później nie widziałaś się z nią?

- Ja naprawdę nie wiem, kiedy ostatni raz ją spotkałam. Pokazała mi, jak się gra, prowadziła moje dłonie. To było bardzo piękne. Przychodziłam tu później sama, kiedy... kiedy nie mogłam już wytrzymać tam, na górze.

Usiadła przy instrumencie. Jej palce przebiegały po strunach z taką wprawą, że trudno było uwierzyć, iż biegłość ta jest wynikiem zaledwie kilku lekcji i własnych ćwiczeń. Czyżby więc owa kobieta, która uczyła małą dziewczynkę gry na harfie, była jakąś przebitką utraconej pamięci, obrazem pierwszych lekcji muzyki z wczesnego dzieciństwa? Chciałem w to uwierzyć, chciałem ucześcić się czegoś, pociągnąć za jakąś nitkę jej pamięci, by wywlec z powłoki, którą stanowiła Sandra, skrytą w niej osobowość Yetty... Nie udało się jednak zrobić

ani jeznego kroku naprzód. Te nikłe okruchy dawnej pamięci rozsypały się, nie dając się złożyć w trwałe motyw.

Wychodząc z teatru, skierowałem się bezwiednie w stronę zejścia na drugi poziom, skąd można było dotrzeć do wjazdu nad dachem Instytutu. Nie zdając sobie z tego sprawy, dotarłem tam w zamyśleniu, którego Sandrą nie przerwała ani jednym słowem. Zatrzymałem się nad otwartą studzienką. Sandrą spojrzała na mnie i sądząc, że chcę przepuścić ją przodem, zaczęła zstępować w głąb po szczeblach rdzawej drabinki. Po chwili zniknęła mi z oczu, więc pospieszyłem za nią. Gdy zszedłem, stała na środku hallu górnego piętra gmachu, u szczytu schodów wiodących w dół. Patrzyła pytająco. Skinąłem głową. Zaczęła zwinnie zbiegać po kolejnych ciągach schodów, a ja z trudem nadążając schodziłem za nią. W piwnicy na dole spojrzała z wahaniem w obie strony korytarza, świecąc ręczną lampką. Pod ścianą tuż obok niej przemknęło kilka szczurów. Popatrzyła za nimi bez lęku czy odrazy, raczej z zaciekawieniem. Ruszyła w stronę, gdzie pobiegły, i idąc ich śladem dotarła do zejścia wiodącego na niższy poziom piwnic.

- Byłaś tu kiedyś? - spytałem idąc za nią. Nie odpowiedziała śledząc kolejnego przebiegającego szczura.

- Popatrz! - powiedziała. - Tędy przechodzą.

W głębi ciemnej wnęki bocznej ściany korytarza widniał otwór, obwiedziony nieregularnym kołem utłuczonej kamionki. To musiał być wlot starego kanału, połączony gdzieś niżej, pod ziemią, z głównym kolektorem miejskim. Kiedyś widocznie odprowadzano tędy ścieki z Instytutu. Wlot kanału zaczynał się w połowie wysokości ściany, a więc około czterech metrów pod powierzchnią gruntu. Zaświeciłem do wnętrza. Kamionkowa rura o średnicy kilkudziesięciu centymetrów krótkim, prostym odcinkiem opadała nieco w dół, a potem ostrym łukiem skręcała w prawo.

- Zaczekaj chwilę! - powiedziałem do Sandry, stojącej za mną, i wślizgnąłem się do wnętrza rury. Wyrząłem zza zakrętu kanału. Dalej rura wnikała do pionowej studni. Na jej bocznej powierzchni widać było stalowe klamry stanowiące stopnie. Popełzłem w tamtą stronę z latarką w jednej i porażaczem w drugiej ręce, czołgając się na łokciach i kolanach.

Studzienka była dość szeroka. Zszedłem po klamrach kilkanaście metrów niżej. Tu w ścianie studni zaczynał się inny poziomy kanał, biegnący, jak mi się wydało, z powrotem pod fundamenty Instytutu.

Zagłębiłem się w ten odcinek rury. Była znacznie szersza niż ta, którą dostałem się do studni. Mogłem iść nią na ugiętych nogach i pochylony, świecąc przed siebie reflektorem. Między moimi stopami przebiegł szczur i wyprzedzając mnie pobiegł dalej. Poświeciłem za nim. Smuga światła padła na jakąś rudawą nieruchomą masę, leżącą na dolnej powierzchni rury, o kilka kroków przede mną. Podeszedłem bliżej, oświetlając rudy kłęb. To były szczury. Sterta martwych, nieruchomych szczurzych ciał... Nie! Nieruchomych, lecz...

Jeden z nich zawisł w powietrzu nad innymi, jakby skamieniał w skoku i trwał w tym zawieszeniu, nie poruszając łapkami ani wyprężonym ogonem. Inne, skłębione niżej, miały otwarte, błyszczące oczy, niektóre ogony sterczały ku górze, u niektórych pyszczki były otwarte, ukazujące rzędy ostrych zębów. Trwały w przypadkowych pozach, jakby sfotografowane w migawkowym zdjęciu...

Stałem przez chwilę ogłupiały, nim spojrzałem na górną powierzchnię rury nad szczurami. W górę biegł kiedyś szyb, studzienka podobna do tej, którą przed chwilą schodziłem. Teraz zatkana była dnem metalowego walca. O trzy kroki przede mną, w nieczynnym widać od dawna odcinku pionowego przewodu kanalizacyjnego tkwił cylinder van Troffa. Widziałem właśnie jego dolną część, zawierającą prawdopodobnie instalację, nazwaną przez "Mefiego" "soczewkami grawitacyjnymi".

A więc nie tylko we wnętrzu cylindra, lecz także tutaj, pod jego dnem, musiało występować pole. Być może słabsze, rozproszone, jakieś jego peryferia, lecz wywołujące efekt zwolnienia upływu czasu.

Sięgnąłem do kieszeni i wydobyłem pierwszy drobny przedmiot, który wpadł mi w rękę - mikroogniwo elektryczne do latarki. Rzuciłem je przed siebie. Poleciało po płaskiej paraboli, lecz nagle, jakby przekroczywszy niewidzialną granicę, zawisło tuż koła ogona szybującego szczura.

W odcinku starej rury kanalizacyjnej powstała najdziwniejsza pułapka na szczury, jaką kiedykolwiek skonstruował człowiek. Każde przebiegające tędy zwierzę musiało przebywać ten odcinek milion razy dłużej, niż gdyby nie było pola. Oczywiście dla szczurów było to niezauważalne. W ich subiektywnym odczuciu czasu przebycie tej przestrzeni trwało dokładnie tyle, co w normalnych warunkach.

Wycofałem się z kanału i dotarłem z powrotem do piwnic gmachu.

Sandra niepokoiła się o mnie. Gdy wynurzyłem się z kanału, przyłgnęła do mojego ramienia.

- Nie zostawiaj mnie samej - powiedziała cicho. - Ja już nie umiem być bez ciebie.

Pocałowałem ją i poprowadziłem dalej. Patrzyła uważnie, jak po drodze otwierałem ruchomą ścianę, a potem z ciekawością zajrzała do otworu cylindra, gdy podniosłem klapę wjazdu. Zszedłem w dół i podniosłem z dna komory wciąż jednakowo świeże kwiaty.

- To dla ciebie - powiedziałem podając jej bukiet. - Uważaj na kolce.

Wyciągnęła dłonie, a potem zanurzyła twarz w kwiatkach, chłonąc ich nieznaną, intrygującą zapach. Spojrzała na mnie nie wiedząc, co ma zrobić z wiązką.

- Zabierzemy je stąd. Kwiaty nie powinny żyć dłużej niż ludzie - powiedziałem.

- Co jest... tam? - wskazała w dół.

- Tam? - uśmiechnąłem się. - To moja ostatnia kryjówka. Ale teraz niepotrzebna, dopóki jesteś ze mną.

- Nie mów "dopóki"! - krzyknęła i uderzyła mnie pięścią w ramię.

Zatrzasnąłem wjazd. W tym samym momencie pomyślałem, że z chwilą gdy go otwierałem wyłączając pole, uwolniłem szczury z pułapki. Teraz zaczęły działać na nowo.

- A jeśli... - pomyślałem - jeśli one nie przypadkiem tylko przebiegały przez kanał? Jeśli dążyły tam celowo, świadomie zanurzając się w obszar deceleracji? Bzdura! Świadomość u szczurów?!

Mogłem to sprawdzić. Jeśli były tam nadal, to znaczy, że pułapka nie schwyciła ich w biegu, lecz trwały w niej dobrowolnie. Ale doprawdy zupełnie nie miałem ochoty ponownie włączyć do kanału.

Na przedostatnim poziomie miasta przebiegały główne arterie komunikacyjne, po których poruszały się obecnie tylko samoczynne wozy techniczne i dostawcze. Tu - w odróżnieniu od poziomu powierzchniowego - spotykałem znacznie mniej wałęsających się chłopców. Przeważali mężczyźni w sile wieku, ubrani mniej pstrokato i zachowujący się nieco ciszej. Jednak i oni też wystawali na ulicach, ospale włączyli się wzdłuż witryn, czasem znikali we wnętrzach domów.

Odkąd zamieszkałem z Sandrą, zamieniłem mój kombinezon na ubranie podobne do tych, które nosili mieszkańcy miasta. Mimo to zwracałem na siebie uwagę. Mijając grupki mężczyzn, dostrzegałem wśród nich lekkie poruszenie, pomruki cichych narad czy wymianę uwag. Ich spojrzenia odprowadzały mnie, dopóki nie zniknąłem im z oczu. Początkowo myślałem, że być może moje ubranie, wzięte z magazynu, wygląda zbyt świeżo. Nie goliłem się od dłuższego czasu, by podobnie jak wielu widywanych mężczyzn dochować się brody, która zamaskowałaby nieco moją twarz, o cerze znacznie ciemniejszej niż u większości tutejszych mieszkańców, z rzadka widać opuszczających ten sztucznie oświetlony poziom miasta. Starłem się nieco przybrudzić i wygnieść moje ubranie, ale i to nie pomogło. Byłem wciąż zauważany i śledzony nieufnie, chwilami nawet z pewnymi objawami wrogości, wyrażającymi się w słownych zaczepkach, wypowiedzianych w niezbyt eleganckim slangu miasta. Dopiero Sandra, gdy ją o to spytałem, wyjaśniła mi, o co chodzi.

- Usiądź i popatrz! - powiedziała, stając za moimi plecami i podtykając przed oczy lustro w stylowej, drewnopodobnej oprawie - jeden z jej teatralnych rekwizytów. Prawy policzek przytuliła do mojej twarzy, dłonią odgarnęła pasmo włosów z mojej skroni. Spojrzałem na nasze twarze w lustrzanej tafli i zrozumiałem.

Od chwili powrotu, używając automatu do golenia i strzyżenia włosów, nie miałem potrzeby przeglądania się w lustrze. Nie miałem go nawet w swoim podręcznym bagażu, zabranym z "Heliosa". Teraz dopiero uświadomiłem sobie, jak dawno nie przyglądałem się własnej twarzy. Pamiętałem ją wciąż taką, jaką była w czasach, gdy oboje z Yettą przystawaliśmy przed dużym lustrem w hallu konserwatorium, skąd zabierałem ją czasem po jej muzycznych zajęciach. Patrzyliśmy wtedy nawzajem na nasze twarze, ciesząc się nimi, tak pasującymi do siebie, młodymi, o gładkiej skórze... Potem wielokrotnie patrząc na fotografię Yetty w wyobraźni widziałem siebie obok niej, wciąż tak samo młodego jak jej wizerunek. Bieg czasu, który nie miał wpływu na nią - na fotografii i, jak wierzyłem, w rzeczywistości także - mnie wszakże nie omijał, o czym zupełnie zapomniałem w moich kalkulacjach.

Teraz patrząc na tę samą, nie zmienioną ani na jotę twarz dziewczyny, wciskającą się obok mojej w ciasny owal lusterka, odczułem dziwny, przykry skurcz serca. Więc to jestem ja, ten człowiek z bielejącymi włosami na skroniach, z rysującą się wokół oczu siateczką gęstych zmarszczek, z przyciężkami powiekami i przygaszonym spojrzeniem... Takiego siebie przywiozłem z podróży, w którą wyrwałem się, jakby miała być jedyną szansą osiągnięcia szczytu zadowolenia. Takiego siebie miałem do zaoferowania dziewczynie, która pozostawiła wszystko - najbliższych, swój dom, swoje czasy, pamięć o nich nawet - by spotkać się tu ze mną, oczekiwać mnie w każdym czasie, gdy powrócę.

Poczułem gwałtowny przyływ wdzięczności dla tej małej, ciemnowłosej dziewczyny o dziecinnych biodrach i nie bardzo już dziecinnych piersiach. Nie myślałem o tym, czy jest

Yettą, czy tylko Sandrą, nie wiadomo jakim sposobem posiadającą wszystkie fizyczne cechy tamtej. Odwróciłem się w jej stronę i objąłem mocno. Lusterko wypadło z jej ręki i uderzyło o podłogę, rozpryskując się na kilka kawałków. Było z prawdziwego starego szkła...

- Musisz uważać - powiedziała, leżąc na podłodze obok mnie. Uniosła się na łokciu i palcami powiodła po moich skroniach. - Zaczyna się z ciebie robić zgred. Oni tu nie chcą zgredów. Ale ja chcę ciebie takiego. Musisz wyglądać jak prawdziwy kosmak, z gwiazdą i z tym... - wskazała dłonią na porażacz leżący obok mnie. - Muszą to widzieć, bo mogliby cię obić. Zgredy wiedzą, że trzeba się na czas wynieść z centrum. Zawsze tak było.

- Nie zawsze - powiedziałem, przyciągając ją do siebie - ale to nie ma znaczenia. Bądź ze mną, dopóki potrafisz.

- Będę zawsze - powiedziała. - Bo ty jesteś inny, nie taki jak ludzie. Ty jesteś prawdziwy kosmak, nie zmanipulowany i będę miała od ciebie córkę. Będę miała, prawda? - w jej głosie brzmiała prośba i nadzieja.

- Co to znaczy "zmanipulowany"? - spytałem, patrząc ze zdziwieniem w jej zielonkawę, wilgotne oczy.

- Wszyscy mężczyźni są zmanipulowani, mają preferowany igrek w chromosomach płci i dlatego rodzą się sami chłopcy.

- Skąd znasz się na tym?

- Wiem ze szkoły.

- Z jakiej szkoły?

- Jest tylko jedna. U Tessa.

- To docent?

- Nie. Bardzo stary zgred. On daje prawdę. Każdemu, kto chce.

- Tutaj, w mieście?

- Tak. Nikt go nie tknie. To zofofil.

- Chyba filozof? - zaśmiałem się.

- Nie, zofofil. Filozofów było dużo i każdy mówił co innego. A Tess jest jeden i mówi prawdę. Jedną dla wszystkich.

- Zaprowadzisz mnie do niego?

- Tak... Ale... Będę miała córkę, prawda? Syna też... I on nie będzie zmanipulowany. Ale najpierw córkę.

- Bardzo chcesz?

- Każda przecież by chciała.

- Dlaczego?

- No... bo to... tak trudno. Rzadko się zdarza. Dziewczynkom jest dobrze w mieście. Chłopcom gorzej, dużo gorzej...

- Ale... przecież i tak później... i mężczyźni, i kobiety muszą opuścić miasto?

- No to co? Takie jest życie. Jeszcze później wszyscy umierają. Czy dlatego mają od razu nie chcieć żyć?

Zamilkłem, nie znajdując odpowiedzi. Bo czy istniało kiedykolwiek logiczne uzasadnienie dla pragnienia życia i jego tworzenia, w najbardziej nawet beznadziejnych warunkach... Świadomość braku perspektyw istnienia nie wyklucza woli życia jednostek.

- Czego jeszcze dowiedziałaś się od Tessa? - spytałem po chwili.

- Prawdy o wszystkim. O tym, że nim miną trzy pokolenia, nie będzie tu prawie wcale ludzi ani nawet docentów. A potem przylecą kosmacy. Kto doczeka ich przybycia, będzie szczęśliwy.

- Skąd przylecą? Z Księżyca?

- Nie. Na Księżycu są lunacy. Oni są źli. Kosmacy są daleko, w niebie.

Następnego dnia poprosiłem Sandrę, by zaprowadziła mnie do Tessa. Ubrałem się znowu w mój kombinezon z gwiazdą na piersiach i wyruszyliśmy w kierunku dolnych poziomów. Klucząc korytarzami ulic, dotarliśmy do okazałego budynku, przed którym stała gromada 'mężczyzn. Sandrą podeszła sama i wymieniła z nimi kilka zdań. Jeden skinął na mnie i poprowadził w głąb budynku. Tam przekazał mnie następnemu, uzbrojonemu w nie znany mi rodzaj ręcznej broni. Strażnik kazał mi iść przodem, a gdy poprzez kilka korytarzy i pustych pomieszczeń dotarliśmy do dużych podwójnych drzwi, wysunął się naprzód.

- Daj! - powiedział wskazując na mój porażacz. - Potem ci oddam.

Zawahałem się, lecz podałem mu broń. Zatknął ją za pas i uchylił drzwi. Powiedział kilka słów do kogoś po drugiej stronie. Czekaliśmy chwilę przed drzwiami, a potem strażnik przepuścił mnie, pozostając na zewnątrz. Śniady chłopak o twarzy Mulata przyjrzał mi się z zaciekawieniem.

- Mistrz czeka na ciebie, kosmaku! - powiedział z szacunkiem i ruszył przodem przez salę zastawioną regałami pełnymi starych książek.

Za następnymi drzwiami był mały pokoik. W głębi, w kręgu światła rzucanego przez stojącą stylową lampę, zobaczyłem Tessa. Był starcem, drobnym i zasuszonym, o żółtawej twarzy, otoczonej rzadkimi, siwymi włosami. Pótleżąc na poduszkach rozłożonych na grubym dywanie, patrzył w moją stronę, lekko kiwając głową. Wokół niego leżało kilka książek.

- Witaj, kosmaku! Wiedziałem, że wkrótce przyjdiesz do mnie - powiedział głosem nadspodziewanie dźwięcznym, jak na jego wiek i wygląd. - Możesz odejść, Pim! - zwrócił się do Mulata. - I niech nam nikt nie przeszkadza.

Chłopak skłonił się nisko i wyszedł zamykając drzwi.

- Nie dziw się tym ceremoniałom - powiedział starzec, podsuwając w moim kierunku jedną z poduszek. - Siadaj. Stworzyłem im wiarę i musiałem dać jej odpowiednią oprawę. Ale z tobą mogę rozmawiać zwyczajnie.

- Czy... jesteś jednym z "docentów"? - spytałem siadając. Skrzywił się z niesmakiem.

- To są kombinatorzy, spryciarze. Nie lubię ich i nie radzę im ufać. Niczego nie robią bezinteresownie. Ja jestem normalnym człowiekiem. Urodziłem się prawie czterdziestu lat temu.

- Pochodzisz więc... z tych, którzy...

- Tak. Z tych, których lunacy nazywają degeneratami. Ale prawda jest nieco inna od tego, co słyszałeś na Księżycu. Także to, co wiesz od docentów, jest niezupełnie prawdziwe.

- Podobno głosisz prawdę. Chciałbym ją usłyszeć...

- Prawda, którą mam dla tych biedaków, jest bardzo uproszczona. Chciałem dać im coś, co wypełniłoby pustkę w ich głowach. Ale tobie mogę powiedzieć więcej. Widziałeś moje książki. To one pozwoliły mi wszystko zrozumieć. Miałem na to wystarczająco dużo czasu...

- Nie wygnano cię z miasta?

- Jak widzisz, pilnują mnie nawet, aby nie stała mi się krzywda. Docentów i mnie broni to, że jesteśmy potrzebni tym ludziom. Oni zaspokajają ich niższe potrzeby. Ja próbuję zaspokoić wyższe... Bo i takie też posiadają. Musisz wiedzieć, że to są wciąż ludzie. Są bardziej ludzcy od lunaków... Nie myśl, że to banda degeneratów. To prawda, że genetycznie są silnie zdeformowani, ale nie oznacza to, że wszyscy przejawiają jakieś wynaturzone cechy. Oni są po prostu bezradni, nie nauczeni niczego, zdani na łaskę miasta z jego automatami. Żyjają tutaj tak samo jak szczury, których wszędzie pełno. Tylko że szczurów jest coraz więcej, a ludzi coraz mniej... - starzec przetarł palcami powieki i nie otwierając oczu, z twarzą uniesioną ku górze, ciągnął równym, spokojnym głosem: - Metoda, którą próbowano zastosować dla pohamowania eksplozji "bomby populacyjnej", jak kiedyś nazwano zjawisko lawinowego wzrostu ludności Ziemi, przyniosła nieprzewidziane skutki uboczne. Trudno teraz kogokolwiek obwiniać za to, że zastosowano środki niedostatecznie sprawdzone. Po prostu nie było czasu. Każde dziesięciolecie zwłoki oznaczało pogłębienie problemu...

Lunacy uzurpowali sobie przywilej stwarzania nowej ludzkości. Genetycznie wyselekcjonowani, postanowili zbudować "arkę" i przeczekać, aż wywołany przez nich "potop" zlikwiduje pozostającą na Ziemi populację.

Można powiedzieć, że działali humanitarnie. To, co pozostawili na Ziemi - miasta produkujące wszystko, co potrzebne do życia mieszkańców - zapewniało przetrwanie kolejnych pokoleń, które miały jeszcze szansę narodzenia się tutaj. Ale musieli być konsekwentni w swoich planach. Ziemia miała pozostać zagospodarowana na tyle, by przyjąć powracające pokolenie lunaków i umożliwić im szybkie jej zaludnienie.

W grupie genetycznie obciążonej było wielu ludzi zdolnych, a nawet genialnych. Niektóre błędy kodu genetycznego wpływają na mniej ważne elementy struktury organizmu, niektóre zaś w ogóle nie dają jawnych efektów w kilku następnych pokoleniach, ulegając z czasem eliminacji przez krzyżowanie się z materiałem genetycznie czystym. Poza tym trzeba pamiętać, że skrajne przypadki mutacji same eliminują się z populacji na drodze czysto biologicznej, dając efekty letalne.

Jednak większość tych ludzi opanował marazm wynikający stąd, że zdawali sobie sprawę, iż stanowią usychającą gałąź ludzkości. Mogąc korzystać z tego, co zapewniały ludziom miasta, mało kto już miał ochotę uczyć się, tworzyć, pracować. Robili to tylko nieliczni, którym sprawiało to jeszcze satysfakcję. Ale każdemu, kto sobie uświadomił, że tylko kilka pokoleń dzieli jego czasy od końca ziemskiego społeczeństwa, opadały ręce. To właśnie brak motywacji, brak celów stały się przyczyną rozkładu. Nie debilizm, skłonność do agresji i inne skutki genetycznych obciążeń - lecz poczucie beznadziejności i bezcelowości działania. Człowiek od początku istnienia jako gatunek rozumny był świadomy skończoności swego życia - a jednak powstała cywilizacja doskonalona przez przemijające pokolenia dla pokoleń następnych. Tu zabrakło spadkobierców, odbiorców owoców działania. Co robię w tym mieście? Po prostu próbuję niektórych z nich przekonać o tym, że powinni do końca zachować człowieczeństwo. Może ich łudzę i mamię zmyślając cele, ku którym każę im zmierzać. Ale dla każdego z nich czyż nie łatwiej będzie dożyć kresu swoich lat z poczuciem pewnego sensu swego istnienia? Tak jak dla mnie dziś to wszystko, co robię, stanowi o

sensowności mojego bytu. Starzec zamilkł, patrząc na mnie błyszczącymi oczyma. Z trudem oddychał, zmęczony długą przemową. Jego dłoń sięgnęła po książkę, którą kartkował przez chwilę. Szukał czegoś, patrząc przez dużą lupę, z widocznym trudem odczytując słabym wzrokiem drobne litery.

- Oni tutaj wszyscy nienawidzą lunaków - powiedział cicho. - Nie podsycam w nich tej nienawiści. Wynika ona z legendy, przekazywanej przez kilka pokoleń. Prymitywne ujęcie całej sprawy rzeczywiście wskazuje na lunaków jako na zdrajców, którzy tak "urządzili" ludzkość. Tylko że dzisiejsi lunacy to przecież potomkowie tamtych, też przez nich nieszczególnie "urządzeni". Ale aby ludzie mieli w kogo wierzyć, uczę ich, że wrócą tu kiedyś tacy jak ty, którzy opuścili Ziemię, nim się to wszystko zaczęło. Zdaję sobie sprawę, że nie nastąpi to prędko - o ile w ogóle nastąpi. Ale przecież istnieje jakaś szansa... Ufam, że gdzieś daleko stąd przetrwali do dziś potomkowie tych, co wyruszyli ongiś zasiedlać obce planety. Jeśli istnieją, to wrócą na pewno odszukać ślady przeszłości swojego gatunku.

- Czy udało ci się przekonać ich o tym?

- Niektórzy wierzą, inni nie. Ale tych, co wierzą, jest coraz mniej. Wierzą w kosmaków i w inny, zaludniony nimi świat. Niektórzy wierzą nawet w to, że bliski jest czas, gdy oni tu przybędą i uratują pozostałych na Ziemi ludzi, umożliwią im normalne rozmnażanie. Ciągłość swej populacji traktują jak nieśmiertelność, jej koniec - jak własną śmierć. Nie masz pojęcia, jak ważne stało się to dla nich! Resztki populacji bronią się przed zagładą. Powstał niewyobrażalny wprost kult kobiety jako brakującego a niezbędnego elementu dla przetrwania gatunku. Kobiety zdolne do rodzenia zajmują wśród nich szczególnie uprzywilejowaną pozycję. Urodzenie się dziewczynki jest jedynym chyba wydarzeniem zdolnym wzbudzić ich entuzjazm. Dobrze, że tu jesteś. Byłeś mi potrzebny, czekałem na taką okazję. Teraz kiedy widziano cię w mieście, będę mógł im powiedzieć, że jesteś zwiastunem rychłego przybycia kosmaków. A potem gdy już mnie nie będzie, zostawię tu ciebie. Będziesz kontynuował moje dzieło, podtrzymując w nich wiarę w sens ich bytu.

- Nie wiem, czy naprawdę tak trzeba - powiedziałem w zamyśleniu. - To przecież oszustwo.

- Jedno z wielu, jakimi w różnych czasach karmiono ludzkość. Ale w tym przypadku to oszustwo służy najlepszemu celowi. Pomyśl nad tym. Nie wymagam, abyś się natychmiast zgodził. Chcę ci jednak przekazać władzę nad tymi, którzy mi ufają. Nastawię ich przychylnie do ciebie.

Wychodząc od Tessa byłem tak zamyślony, że zapomniałbym o porażaczu. Strażnik jednak, odprowadziwszy mnie do wyjścia z budynku, sam wcisnął mi broń do ręki. Zatkanwszy porażacz za pas, w słabym świetle jedynej lampy płonącej nad portalem budynku rozejrzałem się szukając wzrokiem Sandry. Nie było jej wśród grupki stojących na ulicy mężczyzn. Spytałem o nią stojącego najbliżej. Nie był pewien kierunku, w którym się oddaliła. Ruszyłem więc drogą, którą tu przybyliśmy, lecz nie znając jej, szybko zabłąkałem się w ciemnych przejściach i zupełnie przypadkowo towarową windą wyjechałem na przedostatni poziom. Znalazłem się w hallu jakiegoś gmachu. Minęło mnie kilku niechlujnych, zarośniętych drabów, od których wionęło alkoholem. Z głębi budynku dobiegały odgłosy hałaśliwej muzyki, zmieszane z gwarem rozmów. Zajrzałem tam. W słabym świetle kinkietu, przysłoniętego zawieszoną na nim brudną szmatą, na podłodze niedużego pokoiku siedziało

kołem paru mężczyzn. Na środku, pomiędzy nimi, stało kilka plastikowych butelek. Powietrze było ciężkie od oparów alkoholu. Nie zauważyli mnie, gdy stanąłem w drzwiach oparty o framugę. Rozmawiali głośno i bezładnie. Przysłuchiwałem się przez chwilę, lecz były to zwykłe, bezsensowne pijackie wywody, przeplatane gęsto przekleństwami. I nagle nad tym wszystkim wystrzelił wysoki, płaczliwy głos któregoś z siedzących.

- Ludzie! Ludzie, zróbcie coś, ja tak dalej nie mogę! Zagłuszył go chóralny wybuch pijackiego śmiechu.

- Dajcie mu, bo trzeźwieje! - poradził ktoś i wszyscy rzucili się poić owego nieszczęśnika.

Ruszyłem dalej, by wydostać się na ulicę, z której mógłbym trafić do mieszkania Sandry. Poszedłem jednak w złym kierunku, bo korytarz kończył się zamkniętymi drzwiami. Zawróciłem i w tej samej chwili zza jednych z mijanych drzwi dobiegł mnie głośny, kobiecy śmiech. Znieruchomiałem, a potem bez zastanowienia pchnąłem drzwi. Na środku pokoju kłębiło się kilka ciał. To spośród nich dobywał się ów wysoki, ostry śmiech. Przyjrzałem się znieruchomiałym na chwilę, patrzącym w moją stronę czterem mężczyznom. Spoza nich wychyliła się kobieta. Była naga. Śmiała się jeszcze. To była Sandra. Wstała i podeszła w moją stronę, patrząc jakoś dziwnie, obco.

- Przyłącz się do nas, kosmaku! - powiedziała. - To jest Armo, to Avis - mówiła wskazując swych towarzyszy. - To Jack i Milo. A ja jestem Sandra... Chodź, zapraszam cię - znów zadźwięczał jej przejmujący, wysoki śmiech. Pamiętam, że uniosłem dłoń, by ją uderzyć, ale powstrzymałem się i tylko pchnąłem ją tak, że upadła na powrót na legowisko pomiędzy swoich kompanów.

Krew huczała mi w skroniach, gdy biegłem na oślep przez ulice miasta. Nie wiem, kiedy znalazłem się przed wrotami schronu. Tam dopiero, z głową opartą o zimny beton, odzyskałem jasność myśli.

- Siedem razy osiem? - zapytał głośnik.

Nie chciałem wracać do mieszkania Sandry, nie chciałem nawet myśleć o niej... Wymazywałem ją z pamięci, lecz nie udawało mi się to żadną miarą, bo jej postać zbyt silnie splotła się w mojej wyobraźni z wizerunkiem Yetty, który był już zrosnięty ze mną częścią mojej osobowości. Próbowałem teraz wykazać samemu sobie, że Sandra nie była Yetlą, że to niemożliwe... Za wszelką cenę chciałem uratować mit o wiernie oczekującej mnie dziewczynie.

W chwilach chłodnej refleksji zmuszony byłem uznać, że Sandra, będąc mieszkanką tego miasta i tego czasu, musiała akceptować istniejące tu układy społeczne jako obowiązującą normę.

W społeczeństwie o tak znikomej liczbie kobiet musiał uformować się zupełnie odmienny od tego, który znałem, typ wzajemnych stosunków pomiędzy płciami. Poliandria była jedyną możliwą formą współżycia, jaka mogła tu obowiązywać. Ale nie potrafiłem się z tym pogodzić, gdy miało to dotyczyć Yetty. To nie mogła być ona! Przecież przebywając tak krótko poza cylindrem nie mogła wyzbyć się od razu całego bagażu nawyków i obyczajów, w których się wychowała!

Zapomniałem w tym momencie o mojej hipotezie utraty pamięci podczas przebywania w cylindrze, odrzucałem podświadomie wszystko, co mogłoby podtrzymać moją dotychczasową wiarę w odnalezienie Yetty w osobie Sandry. Wolałem, by pozostała zaginiona. Mit o jej istnieniu był mi już niezbędny do życia, szukanie jej stało się jedynym celem; wyrzucałem sobie, że tak łatwo dałem się omamić pozorom.

Mieszkańcy Bunkra przyjęli mnie bez żadnych pytań, choć ostatnio zaglądałem tu rzadko i rozluźniłem nieco kontakty z nimi. Musieli dostrzegać moją apatię, w którą popadałem po zdarzeniu z Sandrą, lecz widocznie nie dziwiło ich to. Sądziłem zapewne, że mój nastrój wynika z trudności w zaakceptowaniu tego, co znajdowałem w mieście.

Znów zaczęły się częste wędrówki do cylindra. Jakże żałowałem teraz, że podarowałem Sandrze kwiaty, które były jedynym dotykającym śladem Yetty. Teraz usychały w pokoju, do którego postanowiłem więcej nie zaglądać. Odczuwałem to jak najcięższą zdradę wobec Yetty.

Któregoś dnia, gdy siedząc w bibliotece Bunkra wpatrywałem się bezmyślnie w fotografię Yetty, usłyszałem nagle za plecami głos Marka.

- Kto to? - spytał, wyciągając rękę ponad moim ramieniem w kierunku ramki z fotografią, którą trzymałem przed sobą. Odruchowo zakryłem zdjęcie, jakby zawstydzony, przyłapany na czymś zdrożnym.

- Pokaż, pokaż! - Mark wyjął mi z dłoni fotografię. - Chyba znam tę twarz!

Drgnąłem. Odwróciłem głowę, obserwując twarz Marka, wpatrującego się w wizerunek Yetty.

- Cyryl! - Mark przywołał jednego z towarzyszy. - Spójrz, poznajesz?

- Oczywiście! Przecież to Sandra! Mój najlepszy model! Skąd to masz?

-- To własność naszego gościa - powiedział Mark oddając mi zdjęcie. - Czyżby to była przyczyna twojego przygnębienia? Znikasz ostatnio na dłużej. Teraz rozumiem. Cyrylu, czy mógłbyś zrobić coś dla naszego gościa?

- Mogę spróbować. Mam jeszcze trochę materiału wyjściowego z tej serii... Chcesz? - zwrócił się do mnie. - Będziesz miał Sandrę, ale to trochę potrwa.

Patrzyłem na nich nie rozumiejąc, o czym mówią. Chichotali, rozbawieni widać moim zdziwieniem.

- Nie wiesz nawet, jak zdolnego mamy towarzysza! - powiedział Mark, wydobywając spomiędzy kart jakiejś książki złożony kawałek folii gazetowej. - Przeczytaj sobie. To wycinek sprzed stu lat.

Artykuł dotyczył jakiegoś głośnego procesu sądowego. Pod dużym tytułem "Afera profesora Ordena" następował długi opis sprawy. Przebiegłem oczyma tekst, by wreszcie zatrzymać się na fragmencie zawierającym skrót aktu oskarżenia.

"Profesor Orden, kierując zakładem biologii molekularnej, dopuścił się między innymi przestępstwa przeciwko artykułowi 3125 Kodeksu Karnego, wykorzystując swą wiedzę i posiadane możliwości techniczne w celu sporządzenia z chęci zysku kopii osób żyjących. Zastosował on metodę sztucznego pobudzenia komórki organizmu ludzkiego do partenogenetycznego rozwoju. W wyniku takiego postępowania oskarżony wraz ze swymi współpracownikami hodował duplikaty kobiet znanych z urody - gwiazd filmu i holowizji.

Powstałe twory, będące organizmami dokładnie identycznymi z oryginałami, były następnie poddawane działaniu substancji stymulującej szybki wzrost i rozwój. W wyniku zbrodniczej działalności profesora powstały liczne kopie słynnych piękności, całkowicie dojrzałe fizycznie, lecz na poziomie rozwoju kilkuletnich dzieci. Były one następnie obiektami handlu żywym towarem.

W ostatniej fazie swej działalności szajka kierowana przez oskarżonego podejmowała się dostarczać na zamówienie kopie kobiet dowolnie wskazanych przez klienta. Pobierając podstępnie próbki tkanek od wskazywanych osób, zbrodniczej grupie udało się wyprodukować co najmniej czterysta kopii, których ceny uzależnione były od urody i pozycji oryginału. Nie znana jest liczba kopii, które zostały przez właściciela zniszczone. Stanowi to przedmiot osobnego śledztwa. Przypuszcza się, że przypadki takie były dość częste, ponieważ kopie - dorosłe kobiety o umysłowości małych dzieci - stawały się w stosunkowo krótkim czasie uciążliwe dla właścicieli żądnych nowych atrakcji i nowych, aktualnie modnych "modeli" partnerek. Pozbycie się kopii było sprawą stosunkowo prostą ze względu na to, że nie posiadały one tożsamości i osobowości prawnej. Niemniej jednak orzeczeniem Najwyższego Trybunału zostały one uznane za pełnoprawne osoby fizyczne i tym samym fakt likwidacji kopii traktowany jest jako morderstwo z premedytacją.

- Teraz rozumiesz? - uśmiechnął się Mark - Nasz przyjaciel Cyryl był wówczas bliskim współpracownikiem Ordena. Tyle że był dość sprytny, by wymknąć się sprawiedliwości. Ale umiejętności zachował do dziś. Był specjalistą od partenogenetycznego rozwoju żeńskich komórek rozrodczych. Zrobił na tym niezły majątek...

- Może byś wspomniał o aferze z syntetycznymi narkotykami w dwa tysiące sto trzydziestym? - odgryzł się Cyryl. - Ty też byłeś zdolnym chemikiem.

- Więc Sandra... jest kopią? - wyjąkałem.

- Sandra to nazwa modelu. Wyhodowałem kilkanaście takich egzemplarzy. Wszystkie nazywają się "Sandra". Tu jest duży popyt na dziewczynki. Oprócz modelu "Sandra" były jeszcze "Gracje", "Marylin", "Margerity"... Ale "Sandry" były najbardziej udane...

- Kto był oryginałem? - zerwałem się stając przed Cyrylem. Cofnął się, trochę przestraszony.

- Różne dziewczyny, z miasta...

-- Ale ta... z której... pochodzi Sandra, kim była?

- Usiądź. O co ci chodzi? - Mark odciągnął mnie od Cyryla.

- Zaraz ci odpowiem - wtrącił Cyryl. - Pamiętam tę dziewczynę...

- Kiedy to było?

- Dawno. Może ze dwadzieścia lat temu. Tutaj nie bawiłem się w przyspieszenie rozwoju. Klienci brali małe dziewczynki na wychowanie. .. One są wszystkie normalnie rozwinięte, umysłowo i fizycznie. Przecież w tym świecie przy braku kobiet taki proceder nabiera cech pozytywnych... Musisz to przyznać...

- Wiec kim była ta dziewczyna? Co się z nią stało?

-- Spotkałem ją na jednym z dolnych poziomów, niedaleko stąd. Chyba zabłądziła w nie znanym terenie, bo znalazłem ją zagłodzoną i w stanie kompletnego wyczerpania. Była tutaj ze dwa tygodnie, gorączkowała, majaczyła... Pamiętam, że plotła jakieś nonsensy... Potem gdy odzyskała siły, zniknęła nagle któregoś dnia. Nie szukałem jej, nie widziałem więcej.

Miała wtedy około dwudziestu lat, teraz miałyby pewnie ze czterdzieści. Może jest jeszcze w mieście, a może już na przedmieściach... Zostało po niej trochę komórek, pobranych jeszcze w czasie jej choroby. Nie wszystkie wykorzystałem, mam jeszcze mały zapas. Jeśli ci na tym zależy, mogę wyhodować dla ciebie jedną kopię, ale to trwa parę miesięcy, a potem jeszcze ze dwa lata, żeby stała się dojrzałą kobietą... Więc może lepiej poszukaj w mieście, tam powinno być kilkanaście egzemplarzy, mniej więcej dwudziestoletnich.

Teraz wszystko stało się jasne... Yetta była tutaj. Była dwadzieścia lat temu! Wyszła z cylindra, może nie po raz pierwszy, lecz nie udało się jej wydobyć samodzielnie na powierzchnię miasta.

Na ileż cierpień naraziłem tę dziewczynę! Co stało się z nią później? Czy udało się jej dowiedzieć czegokolwiek o nas, o tym, że nie powróciliśmy jeszcze z Dżety? Wątpliwe, by ktoś mógł ją wówczas o tym poinformować. Cyryl nie przywiązywał wagi do tego, co mówiła, biorąc jej słowa za majaczenie w gorączce.

Czy wróciła do cylindra? Może nie udało się jej tam trafić... Może została w mieście...

A Sandra była jej córką - kopią wyhodowaną bez udziału męskiej komórki rozrodczej, co dawało gwarancję identyczności z oryginałem... Była jedną z wielu jej córek, doskonale podobnych do niej, rozsianych po tym mieście...

To dlatego znalazłem Sandrę. Wśród nielicznych kobiet w tym mieście prawdopodobieństwo spotkania wreszcie jednej z kopii modelu "Sandra" było dość duże.

Teraz dopiero dotarło do mnie, że Sandra, którą przyłapałem na erotycznych harcach z mieszkańcami miasta, mogła być, a nawet na pewno była inną osobą... Czy jednak miało to jakieś znaczenie? Czy ta "moja" Sandra, wychowana tutaj od dziecka, mogła posiadać inną mentalność, inne obyczaje? A może... pokochała mnie naprawdę? Może chciała zostać tylko ze mną? Nie! Trudno przypuszczać, by w jej umyśle narodziła się nagła myśl, że można być zawsze z jednym tylko mężczyzną. Przywykła do obowiązującego tu obyczaju. Nawet gdybym miał być jej szczególnie bliski, nie widziałaby powodu, aby zaniechać kontaktów z innymi. Tutejsi mężczyźni także nie odczuwali zapewne nie dającej się tu od dawna realizować chęci posiadania kobiety wyłącznie dla siebie...

Czułem się jednak winny wobec Sandry, którą bez powodu opuściłem. Czy znajdę ją teraz? Jak mnie przyjmie? Czy powinienem szukać Yetty? Nie ma jej w cylindrze - mogła tam dotrzeć po ucieczce z Bunkra... Mogła przetrwać tam następne dwadzieścia lat i wyjść teraz znowu, wciąż w wieku bliskim lat dwudziestu... Jeśli jest w mieście, to czy odróżnię ją od tych kilkunastu kopii, które mogę tu spotkać? Czy mam do każdej zwracać się imieniem Yetty, aż znajdę tę właściwą? Czy rozpoznałaby mnie, zmienionego trudami dalekiej i długiej podróży? Czy może - zamiast beznadziejnie gonić za cieniem przeszłości - powinienem raczej spróbować pomóc moim towarzyszom uwięzionym w Lunie I?

Nie bez trudu odnalazłem wśród wielu podobnych wejście do garażu, gdzie pozostawiłem uruchomiony kiedyś pojazd. Znalazłem go na miejscu. Uszkodzone przeze mnie roboty stały tak, jak je pozostawiłem. Widocznie w normalnych warunkach naprawiały się nawzajem lub sygnalizowały potrzebę naprawy innym automatom. Ponieważ uszkodziłem wszystkie naraz, system naprawczy nie zadziałał i tylko dzięki temu nie miał kto popsuć ponownie pojazdu.

Wyprowadziłem go na ulicę i pomknąłem w kierunku południowego skraju miasta. Wybierając drogę, starałem się korzystać z najszerszych tuneli i arterii przedostatniego poziomu. Wkrótce wyprowadziły mnie one poza strefę centralną. Tutaj przedostatni poziom stał się ostatnim, wypadłem z tunelu na estakadę biegnącą wśród budynków, zniknął jednolity strop, tylko tu i ówdzie przemykałem pod biegnącymi wyżej pierścieniami kolejnych obwodnic. Estakada schodziła coraz niżej, biegła teraz wśród bloków osiedli podmiejskich, chyba już co najwyżej o jedną kondygnację nad poziomem naturalnego gruntu. Obejrzałem się do tyłu. W jasnych promieniach słońca piętrzyło się za mną miasto oświetlone od południa, wznoszące się tarasami kolejnych kondygnacji.

Pojazd wtoczył się na pasmo autostrady biegnącej nasypem. Po obu stronach w dole widać było zapuszczone ogrody z wysokim zielskiem. Kto tu mieszkał, nim opanowali ten teren wypędzeni z miasta starzy ludzie? Kto w ostatniej fazie istnienia starego porządku uciekał poza miasto, ratując resztki roślinności w przydomowych ogródkach? Czy zamieszkiwanie tutaj było luksusem, czy raczej wygnaniem z zaspokajającego wszelkie potrzeby raj, jakim miało być miasto?

Po kilku minutach szaleńczej jazdy, z wciśniętym do oporu przyspiesznikiem, pozostawiłem w tyle także i te pojedyncze zabudowania. Po obu stronach autostrady rozciągała się teraz bezkresna czarna powierzchnia płytek Grilla. Nawet w pełnym słońcu wyglądały tak samo czarno, jak przed wieczorem, gdy widziałem je po raz pierwszy.

Po prawej stronie szosy, w oddali dostrzegłem jakiś jaśniejszy punkt na czarnym pyłe płytek. Zwolniłem nieco przyglądając się baczniej.

W odległości kilkudziesięciu metrów od skraju pasma autostrady leżał podłużny, jasny kształt. Zatrzymałem pojazd i wysiadłem. Pojazd ruszył, gdy zatrzasnąłem kopułę i przez chwilę myślałem, że pojedzie dalej, pozostawiając mnie tutaj. Jednak to tylko samoczynne zabezpieczenie spowodowało, że zjechał na pobocze i tam zatrzymał się ponownie.

Ruszyłem w stronę leżącego przedmiotu. Już po kilkunastu krokach rozpoznałem to, co leżało na czarnej płaszczyźnie.

Nagi zupełnie człowiek, o bardzo jasnej skórze i wątlých kończynach, spoczywał bezwładnie, twarzą w dół, z rękami wzdłuż ciała. Gdy podszedłem, zauważyłem, że jego dłonie i łokcie są otarte do krwi i pokryte skrzepami. Był nieprzytomny, lecz żył. Odwróciłem go na wznak. Kolana miał także starte i pokrwawione.

Wydobyłem z mojej torby zestaw pierwszej pomocy i zrobiłem zastrzyk pobudzający. Po kilkunastu minutach poruszył się, lecz nie odzyskał przytomności. Zaniósłem go do pojazdu.

Przyjrzałem mu się dokładnie. Miał wszelkie cechy lunantropa: zwiotczałe mięśnie, bladą cerę. Wyglądał na skrajnie wyczerpanego wędrowniką przez czarną pustynię. Jak daleko mógł zajść, pełznąć na kolanach i łokciach - bo na taki sposób poruszania wskazywały obrażenia jego ciała?

Rozejrzałem się wokoło przez lornetkę. W oddali, w kierunku, z którego, jak należało sądzić, przybył ten człowiek, zobaczyłem słaby odbłask światła wśród czerni. Odległość była jednak zbyt duża, by tam dotrzeć pieszo w upale południa, a mój pojazd nie mógł poruszać się poza wyznaczonym szlakiem.

Jeśli był to rzeczywiście zesłaniec z Księżyca, to w pobliżu mógł jeszcze znajdować się ładownik, który go tu wysadził. Nim jednak udałoby mi się do niego dotrzeć, zapewne wystartowałyby z powrotem na orbitę, gdzie oczekiwał go macierzysty wahadłowiec. Ponownie zabrałem się do cucenia nieprzytomnego, wykorzystując wszystko, co miałem w podręcznej apteczce. Po piętnastu minutach otworzył oczy i zaczął wracać do przytomności. Bałem się przedawkować medykamenty, czekałem więc, dopóki sam nie spróbował unieść głowy z powierzchni fotela, na którym go położyłem. Jego wargi zadrgały, próbował coś powiedzieć, lecz udało mu się to dopiero po kilku próbach.

- Ty... ty... jesteś... - wychrypiał patrząc na mój emblemat. - Jesteś z Kosmosu?

- Jestem człowiekiem.

- Tak, wiem, ale...

- Nie bój się. Skąd się tu znalazłeś?

- Z Luny...

- Wysłali cię? Tak bez odzieży?

- Przecież oni tak... wszystkich. A tutaj... tak trudno... się poruszać. Sił brakuje... Jestem głodny.

Zawróciłem na pierwszym rozjeździe i pomknąłem w stronę miasta. Po drodze usiłowałem wydobyć jakieś bliższe informacje od lunantropa, lecz mówienie sprawiało mu trudność. Ze względu na niego zrezygnowałem z zamiaru dotarcia do mojej rakiety, oczekującej gdzieś po drugiej stronie autostrady, o godzinę drogi od niej. Nie potrafiłem pozostawić własnemu losowi tego półżywego biedaka, dla którego następnych kilka godzin mogło decydować o życiu. Gdybym go nie znalazł w takim stanie wśród pustyni płytek Grilla, będących - jak na urągowisko - podstawą życia tej planety, zapewne siedziałbym już za sterami mojej rakiety i wyznaczał trajektorię lotu w kierunku Księżyca. Jak potoczyłyby się wówczas dalsze moje losy?

To był taki właśnie punkt w czasie, od którego zaczynać się muszą rozgałęzienia rzeczywistości, o jakich mówi teoria czasów równoległych... Takimi punktami mogły być też wszystkie inne chwile mniej lub bardziej ważkich decyzji, przypadków, zdarzeń, z których składał się mój los czasoprzestrzenny. Gdybym mógł powrócić do któregośkolwiek z takich punktów rozgałęzienia, wybrać inny wariant...

Gdyby dano mi możliwość wyboru - do którego z nich powróciłbym teraz, mając za sobą, widoczny w zwięzającej się perspektywie, cały przebyty szlak?

Znow na chwilę powrócił obraz Yetty, wyraźny, choć nie odświeżony w pamięci wizerunkiem, na który nie patrzyłem od chwili, gdy dowiedziałem się, że w mieście istnieje wiele żywych portretów Yetty.

Powrócić tam, do własnej epoki, do czasu przypisanego mi chwilą urodzenia... Jak powrócić, jeśli mogę jedynie poruszać się naprzód, nieograniczenie daleko, lecz tylko naprzód? A może... Może w tej właśnie nieograniczoności tkwi możliwość, jedyna wyobrazalna?

Gdy znaleźliśmy się w mieście, lunantrop zemdlął ponownie przy próbie postawienia go na nogi, więc przerzuciłem go sobie przez barki i zaniósłem do Bunkra. Był dość lekki, więc po drodze przystawałem tylko ze dwa razy. Mieszkańcy miasta napotkani na ulicy przyglądali się nam z uwagą. Słyszałem prowadzone między nimi spory na temat tożsamości niesionego

przeze mnie osobnika. Przeważał pogląd, że to lunak, jednak byli i tacy, co brali go za zgreda lub docenta. Nagość - nawet tu i teraz - zacierała różnice klasyfikacyjne.

Przekazałem lunantropa Cyrylowi, który podjął się doprowadzić go do przytomności i wzmocnić na tyle, by można było z nim porozmawiać. Udało mu się to dopiero na drugi dzień.

- Jego organizm jest niedostosowany do ziemskich warunków - powiedział rozkładając ręce. - Kości ma łamliwe i cienkie, mięśnie do niczego, a przy tym przystosowany do bardzo oszczędnej gospodarki energetycznej i niskiej zawartości tlenu w powietrzu błyskawicznie traci siły, spala natychmiast wszystko, co jest w stanie przyswoić. Jeśli oni wszyscy są w takim stanie, to...

Machnął ręką z rezygnacją, co zrozumiałem jako wyrok dla lunantropów. Jeśli nawet mieliby kiedykolwiek powrócić na Ziemię, musieliby przedtem być poddani długotrwałej adaptacji w przejściowych warunkach. Nie mówiąc już o innych elementach składających się na ich przystosowanie do życia na Ziemi, na otwartej przestrzeni, w otwartym układzie społecznym...

Nie obchodzili mnie zresztą w tej chwili lunantropi. Nim znalazłem tego nieszczęśnika, byłem zdecydowany powrócić do Luny I i choćby kosztem życia wszystkich mieszkańców Osiedla wydobyć moich towarzyszy... Ile było w tym postanowieniu autentycznej solidarności z nimi, a ile potrzeby uspokojenia własnego sumienia, zadośćuczynienia za opieszałość, zdradę nieomal, wobec nich zamierzoną?... Dziś trudno mi to rozstrzygnąć.

Jak napisałem, spotkanie zesłańca z Księżyca było tym szczególnym punktem w czasie, tą zwrotnicą biegu rzeczy, decydującą o wszystkim.

Na drugi dzień lunantrop był zdolny do krótkiej rozmowy. Poczuł się na tyle bezpieczny, że nawet sam nieco się rozglądał. Dowiedziałem się od niego, że w chwili jego startu z Księżyca sytuacja w Osiedlu Luna II, z którego pochodził, przedstawiała się dość ponuro. Grupa anarchistów opanowała centralny węzeł energetyczny i groziła odcięciem dopływu prądu do układów powietrznych i regeneracji wody. Bunt udało się zlikwidować, winnych zabito w czasie akcji, a dla odstraszenia pozostałych mieszkańców wybrano na chybił trafił trzech podejrzanych o sympatyzowanie z ruchem anarchistycznym i wysłano ich na Ziemię. Jednym z nich był właśnie ten, którego znalazłem. Biedak na własnej skórze mógł się przekonać, że na Ziemi nie ma warunków do życia. Niewiele brakowało, a umarłby w tym przekonaniu.

- W innych Osiedlach też były rozruchy - powiedział, gdy zapytałem o przyczynę zajść. - A wszystko zaczęło się od tego, że w jednym z Osiedli anarchiści spowodowali wybuch tlenowni... Eksplozja wyrwała zamknięcie jednego z szybów. Nastąpiła gwałtowna dekompresja. Technicy, którzy byli w tym czasie na zewnątrz, zawiadomili inne Osiedla. Wysłano ekipy ratunkowe. Wydano skafandry i sprzęt wielu mieszkańcom, którzy nigdy nie byli na zewnątrz. Ale nie udało się nikogo uratować.

Zginęli wszyscy z tego Osiedla. A ci, którzy uczestniczyli w akcji ratunkowej, przekazali wiadomość o tym swoim współmieszkańcom. Nie dało się opanować ogólnej fali oburzenia, wrogości w stosunku do władz Osiedli, które obwiniano za doprowadzenie do takiej sytuacji. Odtąd nie ma spokoju...

- Które... to było Osiedle? To, gdzie był ten wybuch? - spytałem ze ściśniętym gardłem.

- Luna I - powiedział.

Wybiegłem z Bunkra bez celu i bez jednej myśli pod czaszką, z poczuciem winy, obrzydzenia i nienawiści do samego siebie i wszystkiego wokół.

Teraz nic już nie wiązało mnie z tym miastem, z tym czasem, z przeszłością. Utraciłem wszystko: przyjaciół, których przez własną opieszałość nie zdołałem uratować; dziewczynę, której już tu nie ma - przynajmniej takiej, jaką chciałem znaleźć.

Miasto stało się dla mnie obce, jak obce były wszystkie poznane przeze mnie planety - bo człowiek jak roślina nie może istnieć po odcięciu od korzeni łączących go z glebą, na której wyrósł...

Pozostała przede mną tylko niewyobrażalnie odległa przyszłość, a raczej szansa przyszłości. Zagłębiłem się w cylindrze, podtrzymując jego pokrywę uniesioną w górę ręką. Następny krok, jeszcze jeden szczebel w dół...

Kłapa na ułamek sekundy przywarła do krawędzi otworu, lecz odskoczyła natychmiast, szarpnięta od zewnątrz, odrywając się od wspierającej ją dłoni.

Snop światła padł na mnie z góry. Wbiegłem po drabince kilka szczebli wyżej. Smuga z reflektorem ześliznęła się z mojej twarzy, pozwalając oślepienym oczom rozpoznać w odbitym od ścian świetle zarys drobnej postaci. Stałem bojąc się odezwać słowem, które cisnęło się na wargi.

- Jesteś! Dlaczego odszedłeś? Szukam cię tak długo...

To była Sandra. Moja Sandra...

Odnalazła mnie w mojej ostatniej kryjówce. Widocznie zapamiętała drogę tutaj. Wyrwała mnie ze studni czasu, w której chciałem się pograć, zostawiając wszystko za sobą, opuszczając tę teraźniejszość. Zatrzymała mnie w ucieczce. Cóż z tego, że jedna z wielu identycznych, ale przecież w jakiś sposób niepowtarzalna, jak niepowtarzalne są ulotne słowa i gesty, migawkowo utrwalone w pamięci na tle rozmytej smugi pędzących zdarzeń.

Poszedłem za nią, niosąc jednak na dnie świadomości przecucie, że wrócę tu jeszcze, że coś się zdarzy, że coś powróci i że nie wszystko stracone...

KOMENTARZ

"Zielony zeszyt" odnalazłem w trzeciej warstwie centralnej strefy Miasta C. Należy tu wyjaśnić, że stosowana przez archeologów numeracja warstw jest odwrotna do używanej w treści notatek nomenklatury poziomów. "Pierwsza warstwa" jest zatem najwyższym poziomem Miasta, odsłoniętym po zdjęciu osadów naniesionych przez wiatry. Ta pierwsza warstwa jako najbardziej narażona na działanie czynników zewnętrznych uległa prawie całkowitemu zniszczeniu. Była zresztą, jak zanotował autor zapisu, budowana z materiałów

lekkich, uformowanych w ażurowe konstrukcje. Następne warstwy zachowały się znacznie lepiej, jednak i one w wielu miejscach bądź to pozapadały się wskutek nadmiernego obciążenia, bądź też zostały zasypane przez wyrwy powstałe w stropach. Obecnie, po upływie około tysiąca stu lat od okresu opisywanego w notatniku, krajobraz planety w niczym nie przypomina tego, który oglądał autor zapisu. Postępująca erozja wodna w połączeniu z działaniem pewnych drobnoustrojów i glonów, rozwijających się w kanalikach płytek Grilla, spowodowała kilkaset lat temu prawie całkowite zniszczenie od dawna już bezużytecznych pól energochłonnych. Odsłonięta gleba, zmieszana z produktami rozpadu płytek Grilla, w początkowej fazie swobodnie przemieszała się wskutek silnych huraganów, zasypując wymarłe miasta. Przyczyną huraganowych wiatrów były zaburzenia gospodarki wodnej na planecie pozbawionej roślinności i zastępujących ją pól energetycznych. Jednakże szczątkowa roślinność, która przetrwała w nielicznych rezerwach, wkrótce rozpoczęła dość energiczną ekspansję na opuszczone tereny i w ciągu paru stuleci pokryła prawie całą powierzchnię lądów strefy umiarkowanej i gorącej. W ten sposób wytworzyły się warunki zbliżone do pierwotnych, jakie panowały na planecie przed okresem rozwoju cywilizacji. Zbliżone, lecz nie identyczne. Brakowało wielu gatunków roślin lądowych, które nie zachowały się w rezerwach, jak również wszelkich gatunków lądowych świata zwierzęcego, z wyjątkiem najniższych. Za to fauna i flora głębin oceanicznych przetrwała prawie w całości, w nie zmienionych praktycznie warunkach.

Taką zastała Ziemię pierwsza ekspedycja filijska, która dotarła tu dwadzieścia lat temu. Wstępne badania wykazały, że warunki na planecie pozwalają na osiedlenie się filijczyków. Jednakże nim to nastąpi, prowadzone są tu do dnia dzisiejszego wszechstronne prace badawcze. Nasza grupa jest jedną z wielu, zajmujących się odtworzeniem przeszłości planety. Nie czując się kompetentnym w innych dziedzinach wiedzy o Ziemi, ograniczę się do uwag dotyczących obszaru moich zainteresowań badawczych, to znaczy do archeologii. Miasto C, jedno z niewielu, które dotychczas udało się udostępnić archeologom, jest prawdziwym skarbem dla badaczy. Jednakże nawet i tutaj nie znajdujemy prawie żadnych zapisów z epoki, która stanowi największą zagadkę dla badaczy historii ziemskiej cywilizacji. Notatnik, który odnalazłem, jest dokumentem zupełnie wyjątkowym. Dopiero po jego przeczytaniu stało się dla mnie jasne, dlaczego w całym mieście nie znaleziono prawie żadnych dokumentów ani ksiąg z Epoki Rozszczepienia i poprzedzających ją okresów ziemskiej cywilizacji. Już same okoliczności znalezienia notatnika wyjaśniły mi po części tę zagadkę.

Poszukując jakichkolwiek archiwów czy bibliotek, przetrząsnąłem trzecią warstwę Miasta C, budynek po budynku, docierając wszędzie tam, gdzie wnętrza pomieszczeń nie były wypełnione materiałem wiążącym. Niestety! Nie znajdowałem żadnego śladu ksiąg czy taśm, ani też innych form zapisu informacji. W ogóle Miasto nie zawierało w swym wnętrzu żadnych przedmiotów wykonanych z tworzyw sztucznych, a tym bardziej z pochodnych celulozy. Wszystko to zostało z niepojętą dokładnością rozdrobnione na strzępy. Aż wreszcie w pomieszczeniu, które musiało być ongiś biblioteką, na jednej z półek metalowego regału znalazłem zeszyt w zielonych okładkach. Był nie naruszony... choć wokoło pełno było śmieci z pociętych książek, taśm i mikrofilmów. Proste badanie laboratoryjne substancji, z której był wykonany zeszyt, wyjaśniło mi przyczynę ocalenia tego przedmiotu. Treść notatek wyjaśniła

resztę, w tym również przyczynę totalnego zniszczenia innych przedmiotów kultury materialnej. Sądzę, że sprawcami tego były ginące z głodu szczury, które przetrwały w mieście dłużej niż jego właściwi mieszkańcy.

Ofiarą ich depresji padły nie tylko stare, papierowe księgi, lecz nawet niejadalne tworzywa sztuczne. Notatnik - dzięki swej odporności - ocalał nie naruszony i przez to wyodrębnił się niejako spośród wszystkich mniej trwałych dokumentów.

Oprócz osobistych, banalnych czasem zapisów i refleksji autora notatek, zeszyt ów zawiera znaczną warstwę informacyjno-historyczną, którą chciałbym uczynić przedmiotem osobnego opracowania. Niezależnie od tego zainteresowała mnie ze wszech miar ciekawa postać samego autora notatek, którego - nie bez przewrotnej ironii - nazwałem Nieśmiertelnym.

W ogóle całe zagadnienie cylindra van Troffa wydaje się rewelacją na miarę epoki, nawet dla nas, filijczyków. Wprawdzie dziedzina nauki, zajmująca się sprawami teorii czasu, jest mi doskonale obca, jednak wedle opinii fachowców, której nie omieszkałem zasięgnąć, teoretycznie rzecz jest do pomyślenia.

Wszystko zresztą wskazuje na autentyczność danych zawartych w notatkach. Moje prace w dolnych warstwach Miasta potwierdziły wiele informacji przekazanych przez Nieśmiertelnego. Niedawno także doniesiono o odkryciach dokonanych na Księżycu i choć nie dysponuje szczegółowymi sprawozdaniami z tych badań, sądzą, że one także potwierdzą dobrą wiedzę i prawdomówność autora notatek.

Zapis w "zielonym zeszycie" rozpoczyna się w momencie powrotu autora z wyprawy międzygwiazdnej. Na temat tej wyprawy niewiele wiadomo - być może prace prowadzone na Księżycu ujawnią obfitsze źródła, dotyczące jej przebiegu i losów innych jej uczestników. W notatniku znajdujemy zaledwie reminiscencje i fragmentaryczne wspomnienia autora. Komentując zapis, pominię świadomie okres pobytu autora w Osiedlu Luna I, albowiem obraz przedstawiony przez niego jest dostatecznie przejrzysty, a ja sam, wiedząc znacznie mniej, niczego tu dodać nie potrafię. Natomiast czas pobytu Nieśmiertelnego na Ziemi - jego obsesyjne poszukiwania śladów własnej przeszłości, szamotanie się z sobą samym, z własnymi uczuciami - nasuwa wiele wniosków. Autor notatek w pewnej chwili sam stwierdza, że dostępność przyszłości, jaką daje cylinder van Troffa, jest pokusą przekraczającą zdolność oporu normalnego człowieka. Tym bardziej człowieka pozbawionego jakichkolwiek perspektyw i złudzeń co do terażniejszości. Notatki urywają się w zupełnie przypadkowej chwili - jakby ich autor zgubił lub porzucił notatnik... Może podjął nagłą decyzję, może przytrafiło mu się jakieś nieszczęście. Jeśli jednak nie zginął przypadkową, nagłą śmiercią - w co wątpię ze względu na jego astronautyczną przeszłość - to cóż mogło się z nim stać? W tym miejscu chciałbym sformułować pewne twierdzenie, którego dowód zamierzam przeprowadzić. Twierdzą mianowicie, że Nieśmiertelny istnieje.

Nie tylko "istniał", a "istnieje"! W każdej chwili czasu, od swych urodzin do dziś i dalej jeszcze. Gdzie należy go szukać? Oczywiście we wnętrzu cylindra van Troffa.

Jeśli zaś znajdziemy ów cylinder, a jego w nim nie będzie, oznacza to - z prawdopodobieństwem równym prawie pewności - że Nieśmiertelny żyje wśród nas, tutaj, na tej planecie. Wśród nas, filijczyków, których jest tutaj parę setek, spośród których wielu nie zna się nawzajem... Trzeciej możliwości nie ma! Naszych tysiąc sto lat - to wszak zaledwie

półtorej godziny we wnętrzu cylindra! Czy dysponując takim środkiem technicznym, człowiek ów oparł się chęci poznania dalszych losów tej planety? Cóż miał do stracenia - gdy już nic nie łączyło go z przeszłością, do której nie miał powrotu, ani tym bardziej z obcą mu teraźniejszością? Jest rzeczą prawie pewną, że mając świadomość ograniczenia czasu życia biologicznego, nie zdecydował się na przeżycie go do końca w ginącym świecie, który zastał po powrocie z gwiazd. Ta sama przyczyna, dla której porzucił swą epokę ruszając do gwiazd, także w tej sytuacji kazała mu skorzystać z szansy dalszej podróży naprzód. Jestem przekonany, że wybrał ten szczególny rodzaj nieśmiertelności, który oznacza nieśmiertelność dla nas, obserwatorów - a dla niego jest tylko przeżywaniem kolejnych interwałów rzeczywistości, poprzedzielanych stuleciami trwania w cylindrze, które dla niego są minutami...

Wróciwszy na Ziemię Nieśmiertelny liczył sobie lat około czterdziestu. Teoretycznie przyjmując, że żyłby do lat siedemdziesięciu, mógłby przy użyciu cylindra przenieść się o prawie dwieście milionów lat naprzód (sądzę, że wobec takiego wyniku nikt nie zakwestionuje imienia, które mu nadałem, jest to wszak zupełnie niezwykle przybliżenie... nieskończoności, w skali czasu trwania cywilizacji istot rozumnych na tej planecie). Rachunek taki jest jednakże dość bałamutny, jeśli weźmie się pod uwagę potrzeby fizjologiczne człowieka zamkniętego w cylindrze. Na jak długo starczyłoby mu zabranych do cylindra zapasów żywności i wody? Na tydzień, a może na miesiąc... Z innymi potrzebami można sobie poradzić, otwierając co pewien czas cylinder i wychodząc na spacer - aby przewietrzyć wnętrze. Oczywiście dopóki istnieje atmosfera nadająca się do oddychania. Ale licząc się z rychłym końcem automatycznych wytwórni żywności, można się spodziewać, że po miesiącu, który oznacza "na zewnątrz" ponad pół miliona lat, z zaopatrzeniem w żywność mogłoby być zupełnie źle. A więc nieśmiertelność taka jest złudna. Czego zatem spodziewał się Nieśmiertelny, decydując się na podróż w przyszłość? Wątpię, by liczył na mieszkańców Osiedli księżycowych. Nie wierzył w nich i, jak się okazało, słusznie...

Może więc liczył na nas? Miał do tego pewne podstawy. Ale przede wszystkim kierowała nim żądza poznania do końca dziejów cyklu cywilizacyjnego, którego był uczestnikiem.

Moja hipoteza zakłada, że Nieśmiertelny przebywa obecnie we wnętrzu cylindra. Od czasu gdy tam wszedł, upłynęło dla niego do dziś zaledwie półtorej godziny. Być może, co kilka minut opuszcza cylinder, by przekonać się, jak zmienia się sytuacja na Ziemi. Lecz dla nas, obserwatorów z zewnątrz, te jego spacerunki są chwilkami, powtarzającymi się raz na kilkadziesiąt, być może, lat. A zatem prawdopodobieństwo spotkania jest jak dotąd niewielkie. To raczej my wcześniej odnajdziemy cylinder, niż on zawita do nas...

Zasięgnąłem w tej sprawie opinii profesora Offi i uzyskałem jego zgodę na wszczęcie poszukiwań cylindra. Przedsięwzięcie to będzie trudne i pracochłonne. Wskazówki zawarte w notatniku są niezmiernie ogólne, lecz mam nadzieję, że wkrótce na poparcie moich wywodów będę mógł przedstawić żywy dowód w postaci Nieśmiertelnego. Jego relacje będą dla nas, archeologów, dokumentem wielokrotnie cenniejszym od wszystkiego, co wyczytać można z murów tego miasta.

Jednakże gdy już zdecydowałem się wszcząć poszukiwania, ozwały się we mnie pewne wątpliwości. Czy Nieśmiertelny życzy sobie spotkania z nami? Czy nie obawia się, że

zdekonspirowanie jego kryjówki pozbawi go możliwości decydowania o własnym losie? Wyobrażam sobie fizyków rzucających się na cylinder van Troffa w celu zbadania zasady jego działania...

Poza tym wydaje mi się teraz, że oprócz zaspokojenia ciekawości jeszcze inny cel kierował Nieśmiertelnym. Cel ten - nie wprost, lecz w możliwej do rozszyfrowania formie, zawarł w dwóch co najmniej ustępach swego notatnika. Czy naprawdę liczy na realizację tego celu? O to, mam nadzieję, sam go będę mógł zapytać...

POSŁOWIE

Na tym kończy się, a raczej urywa komentarz Akka Numiego, zamieszczony na ostatnich stronach rękopisu, który przypadkiem pozostał w mojej kwaterze. Mimo usilnych poszukiwań nie odnalazłem niczego więcej - ani u mnie, ani wśród jego osobistych rzeczy.

Muszę przyznać, że początkowo nie doceniłem wagi tego dokumentu. Jednakże po dokładnym przeczytaniu zaintrygowała mnie nie dokończona myśl Akka, wyrażona na końcu rękopisu. Co mogło być tym celem Nieśmiertelnego? Nie dawało mi to spokoju. Wydało mi się, że owo enigmatyczne stwierdzenie wiąże się jakoś ze zniknięciem Akka. Czy to tak zwana intuicja, czy też moja podświadomość, zawierająca całość niezbędnych informacji, rozwiązała zagadkę, nim zrobiłem to w warstwie świadomości?

Teraz, przystępując do ostatecznego podsumowania, wiem już właściwie wszystko do końca; lecz nim podzielę się z kimkolwiek moimi wnioskami, chcę opisać wszystko dokładnie. Tak się bowiem złożyło, że jestem jedyną osobą świadomą tego, co przydarzyło się mojemu przyjacielowi Akkowi.

Analizując wielokrotnie, zdanie po zdaniu, tekst "Notatnika Nieśmiertelnego" - dostępny mi w wolnym przekładzie Akka - odnalazłem wreszcie to, co miał na myśli mój przyjaciel. Myśl o owym "celu" zasugerował Nieśmiertelnemu profesor Vergil van Troff. Opisując zasadę działania grawitacyjnej komory, pozwalającej na podróżowanie w przyszłość, wspomniał także o tym, że - gdyby miał dość czasu - pokusiłby się o jej modyfikację. Chodziło o antygravitację i... odwrotny efekt czasowy. Chodziło o podróż w czasie - ale wstecz!

To tej właśnie idei uczepił się Nieśmiertelny, to ona pchnęła go do podróży naprzód... Musiał uwierzyć w możliwość ponownego zasiedlenia Ziemi, w kontynuację jej cywilizacji. Więc jednak liczył na nas, filitów, powracających po kilkunastu stuleciach do kolebki naszej cywilizacji, odkrywających przeszłość świata, z którym na tak długo utraciliśmy wszelki kontakt. Budując od podstaw nasz nowy świat na planecie Filii w układzie gwiazdy Tau Ceti, przekazywaliśmy z pokolenia na pokolenie to wszystko, co łączyło nas z opuszczoną ojczystą planetą. Kontynuujemy jej tradycje kulturalne, uznając za naszą własną całą jej przeszłość do chwili, gdy pierwsza i jedyna grupa kolonistów wyruszyła na Filię. Po stuleciach borykania

się z trudnościami, z żywiołem obcej przyrody, uniknąwszy wielu błędów popełnionych tu, na Ziemi, zachowaliśmy naszą ludzką postać zarówno pod względem biologicznym jak i psychicznym. A teraz - gdy na Ziemi nie ma już nikogo - my właśnie wrócimy jej życie, zaludnimy ją naszymi potomkami. Lecz nim to nastąpi, upłyną jeszcze stulecia...

A więc Nieśmiertelny uznał to za szansę dla siebie. Czas nie odgrywa dla niego praktycznie żadnej roli. Może w swym cylindrze doczekać dowolnie odległego momentu w nadchodzącym nowym cyklu cywilizacyjnym. Może za kilka godzin "czasu cylindra" potomkowie nasi dościgną i prześcigną geniusz Vergila van Troffa. Dla rozumnej istoty możliwa jest realizacja wszystkiego, co istnieje jako idea wśród nieskończoności wariantów i możliwości Wszechświata...

Czego spodziewa się Nieśmiertelny? Czy pragnie zawrócić swój czas do punktu wyjścia, do chwili startu wyprawy do Dżety? Czy chce raz jeszcze spotkać swą utraconą Yette? Czy Sandre - jej wierną kopie, którą znów być może utracił? Czy zatem jest zwolennikiem teorii nieprzeliczonej mnogości równoległych rzeczywistości, generowanych przez każdą chwilę czasu, rozgałęziających się nieskończenie jak czoło fali w modelu Huygensa, które docierając do każdego dowolnego punktu przestrzeni daje początek nowej fali kulistej? Czy może jest przekonany o słuszności hipotezy Yarma o fałdzie czasowej, pozwalającej uniknąć paradoksu wynikającego z tak zwanej pętli czasu, czyli spotkania samego siebie w przeszłości?

W każdym razie wierzy w możliwość cofnięcia się, wszczęcia na powrót w swój nie przeżyty czas na Ziemi, którą opuścił na zbyt długo, tracąc to, co jedyne i niepowtarzalne - drugiego człowieka...

Pobudki, które kierują Nieśmiertelnym, są dla niego racją nadrzędną - dlatego też uczyni wszystko, aby nikt nie mógł przeszkodzić mu w realizacji jego zamierzeń.

Mój przyjaciel Akk Numi pomimo całej swej przenikliwości przeoczył jedną możliwość. Może nie tyle przeoczył, co zlekceważył. Twierdził, że Nieśmiertelnego należy poszukiwać w podziemiach Miasta C, we wnętrzu cylindra.

Ja natomiast zbadałem ów przeoczony wariant. Założyłem, że Nieśmiertelny mógł wiedzieć o naszej obecności na Ziemi. Mógł wiedzieć, że wylądowaliśmy tutaj i badamy także jego Miasto. A więc - on jest wśród nas! Jest - a raczej był. Był, bo zdawał sobie sprawę, że w Mieście znajduje się jego niezniszczalny notatnik! Notatnik, którego znalezienie przez wścibskiego archeologa musiało spowodować poszukiwania cylindra. Dopóki notatnik nie znalazł się w rękach autora, Nieśmiertelny nie mógł być pewien, czy nie znajdziemy jego kryjówki. Nieśmiertelny był wśród nas. Zorientował się, kto ma jego notatki i że nikt oprócz Akka nie zna ich treści. A potem zniknął wraz z Akkiem, notatnikiem i całością materiałów dotyczących pracy Akka. Jestem przekonany, że Akk żyje.

Znając go, spodziewam się, że nie trzeba go było długo przekonywać. Za obietnicę podróży wstecz zgodził się dobrowolnie towarzyszyć Nieśmiertelnemu.

Kim był zatem Nieśmiertelny? Oprócz Akka zniknął także profesor Per Offi, znający częściowo - a może w całości - treść notatnika. W pierwszej wersji moich dociekań sądziłem, że Nieśmiertelny zabrał ich obu do cylindra. Ale... oprócz tych dwóch, nikt inny spośród nas przecież nie zniknął!

Czyżby więc? . . .

Zbadałem dokładnie przeszłość profesora Offi. Okazuje się, że ten sześćdziesięcioletni mężczyzna przybył tutaj z drugą ekspedycją i od tej pory ani razu stąd nie wyjeżdżał. Od dwudziestu bez mała lat tkwi tutaj, badając planetę. Jest znakomitym znawcą jej przeszłości. W chwili obecnej nie ma tu ani jednej osoby, która znałaby go od początku jego pobytu na Ziemi. Jego towarzysze dawno już powrócili na Filię.

Czyżby to Per Offi był Nieśmiertelnym? Transmisja na Filię i z powrotem trwa zbyt długo, by tą drogą uzyskać w rozsądnym czasie rysopis lub fotografię Pera Offiego, który wyruszył z Filii jako profesor historii Ziemi. Tu, w naszej podręcznej biblioteczkę, znalazłem tylko popularne wydanie encyklopedii, w której jest jego zdjęcie - bardzo stare, sprzed dwudziestu paru lat, bo już wówczas był znakomitością. Patrząc na to zdjęcie mam coraz więcej wątpliwości. To chyba nie jest ten sam człowiek...

Jakkolwiek rzecz się przedstawia, faktem jest, że Nieśmiertelny nie wiedział nic o notatkach Akka, które dostały się w moje ręce. Czy Akk sam pamięta, gdzie je zostawił? Zawsze był dość beztrocki, gdy chodziło o porządek... A jeśli pamięta - to czy powie o tym Nieśmiertelnemu?

Pytań jest jeszcze wiele, każda odpowiedź rodzi parę nowych problemów. Nie jestem w stanie udowodnić niczego na pewno, ale wszystko zdaje się potwierdzać mój punkt widzenia. Ostatnio znalazłem jeszcze jedną szansę na potwierdzenie moich domysłów. Rozumowałem następująco:

Jeśli Nieśmiertelnemu powiedzie się jego plan - a więc jeśli po podróży w przyszłość uda mu się zdobyć tajemnicę przestrojenia cylindra na podróż w odwrotnym kierunku - to wraz z Akkiem znajdą się w przeszłości. Być może w czasach Rozszczępienia, a także wcześniej. Akk nie odmówi sobie przyjemności obejrzenia świata w XXI, a może w XX wieku...

Jeśli wie, że mogłem znaleźć jego notatki, to również może się domyślać, że wyciągnąłem z nich odpowiednie wnioski. Znając mojego przyjaciela wiem, że będzie chciał dać mi jakiś sygnał, znak z przeszłości, by upewnić mnie w moich przypuszczeniach. W jaki sposób mógłby to zrobić? Jak, znając losy cywilizacji, przekazać mi tę informację? Nie zostawi jej w formie listu, bo gdzież bym go znalazł... Jednak taki sposób istnieje. Akk jest w posiadaniu swej pracy dotyczącej całej historii Nieśmiertelnego. Myślę, że będąc w XXI wieku, a może jeszcze wcześniej, Nieśmiertelny nie będzie się sprzeciwiał opublikowaniu tego materiału!

Jeśli więc Akk wyda swoją pracę w możliwie znacznej ilości egzemplarzy, to być może choć jeden dotrwa do dziś! Nie na Ziemi wprawdzie, lecz na Księżycu, dokąd opuszczający Ziemię „Junacy” zabrali ze sobą całe biblioteki.

Właśnie niedawno nadałem radiogram do mojego kolegi, pracującego przy badaniach Osiedli księżycowych. Prosiłem go, aby poszukał wśród pozycji bibliotecznych. Okazało się, że rozumowałem prawidłowo. Kazałem mu szukać nie wśród naukowych opracowań, bo przecież w owych czasach materiały dotyczące Nieśmiertelnego nie mogły się ukazać drukiem jako praca naukowa. Poleciłem, aby przejrzał beletrystykę, a szczególnie dwudziestowieczne wydawnictwa typu science-fiction. W tych czasach osiągały one ogromne nakłady, a więc Akk, publikując swą pracę jako fantastykę, stwarzał mi szansę trafienia na taki egzemplarz.

Oczywiście nie mogłem znać tytułu, pod jakim Akk mógłby to wydać, lecz i tu intuicja mnie nie zawiodła. Mojemu koledze na Księżycu podałem kilkanaście haseł - tytułów polecając, aby przejrzał wszystko, co będzie podobnie zatytułowane lub skojarzy mu się z podanymi słowami. Wreszcie, o ile znam dwudziestowieczną fantastykę (a znam ją, bo koloniści zabrali na Filię sporo książek tego gatunku), tytuł zwykle określał treść każdej pozycji...

I oto leży przede mną książka wydana w końcu XX wieku. Jej tytuł nie budzi wątpliwości. To musi być to właśnie, o co mi chodziło. Przypadkowa zbieżność jest zupełnie nieprawdopodobna. Tytuł brzmi "Cylinder van Troffa"...

Otwieram tę książkę na chybił trafił, czytam kilka zdań. Tak, znam te sformułowania. To styl Akka, te same słowa. Więc jednak moje domysły są słuszne. Akk jest tam z Nieśmiertelnym... To znaczy, teraz jest w cylindrze, ale będzie... był... No, mniejsza o to, tu gramatyka zawodzi. W każdym razie miałem rację...

Udało im się. A więc nawet szukając cylindra, nie znajdziemy go w podziemiach Miasta, choć on tam na pewno jest. Skoro im się udało, to znaczy, że nigdy w żadnym czasie nikt nie znajdzie cylindra. Trochę dziwne, bo my archeolodzy wiedząc, że coś jest ukryte w ziemi, nie mamy zwyczaju pozostawiać tego w spokoju.

Jest jeszcze jedna dziwna sprawa. Zaczynam czytać tę książkę od początku i widzę, że tam, na wstępie - to już nie są słowa Akka! To mój wstęp, przeze mnie napisany! Jak to możliwe? Czyżby to nie Akk dawał mi sygnał z przeszłości, lecz... ja sam - sobie? Ale w takim razie ten mój rękopis... i ja także... musiałbym znaleźć się w cy!

SPIS TREŚCI

Słowo wstępne
Notatnik Nieśmiertelnego
Wprowadzenie
Cześć pierwsza LUNA I
Cześć druga MIASTO
Komentarz
Posłowie

© Copyright by Janusz A. Zajdel

”Cylinder van Troffa”, entuzjastycznie przyjęty przez czytelników, został w 1980 roku nagrodzony przez ministra kultury i sztuki. Rozpoczął ”orwellowski” nurt w twórczości Zajdla, kontynuowanej później w powieściach: ”Limes interior”, ”Cała prawda o planecie KSI”, ”Paradyzja” i ”Wyjście z cienia”.

Po tragicznej śmierci autora jedną z najbardziej prestiżowych nagród dla twórców sf w Polsce nazwano jego imieniem.